Tama w Stroniu: śledztwo ▪ Biskup na granicy ▪ Najlepsze filmy w Gdyni
Patokierowcy ▪ Gaza rok później ▪ Biografia Jokera ▪ Baśń o Zakopiance

Kraków 2–8 października 2024 nr 40 (3926) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społe
TygodnikPowszechny.p

Co dziś dają studia

RAPORT O KARIERACH I ZAROBKACH MŁODYCH POLAKÓW

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Nagroda

Literacka Podróż Hestii 2024

Karolina Lewestam

„Silla"

Wydawnictwo
Agora dla Dzieci

Literacka
Podróż
Hestii

www.literackapodrozhestii.pl

Mecenas

ERGO HESTIA

Organizatorzy

w.s.
FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

KS. ADAM

Boniecki: *Człowiek się spieszy*

O samochodzie mogę powiedzieć mnóstwo. To prawda, od jakiegoś (niedługiego) czasu już nie prowadzę. Lekarz co prawda już dawnej mi mówił, że nie powinienem, ja jednak swoje wiedziałem. Teraz już nie jeżdżę i, co dziwniejsze, nie czuję się z tego powodu nieszczęśliwy. Po tylu latach za kółkiem...

Najstraszniejsze moje wydarzenie samochodowe? Droga z Krakowa przez Radom do Warszawy. Jeszcze nie była ekspresówką. Były wykopki ziemniaków, szosę pokrywała maź z tych wykopków. Jechałem za czeską ciężarówką z przyczepą. Wolno, bo nie dawało się jej wyprzedzić. Ciężarówka nagle się zatrzymała. Przyczepa zaś, nie poddając się woli kierowcy (hamulce nie działały), stanęła w poprzek drogi. Mój samochód pojechał ślizgiem po kartoflanej mazi. Nic nie mogłem zrobić. Opatrzność sprawiła, że walnąłem w koło przyczepy. Gdybym wjechał pod skrzynię, zostałbym bez głowy.

To był najgorszy wypadek. Najdziwniejszy zaś zdarzył mi się w centrum Warszawy. Wieczór, pusta ulica, jadę wolno, wjeżdżam w Złotą od Żelaznej i nagle przed moim autem podnosi się z ziemi człowiek. Oczywiście, przerażony, w porę się zatrzymałem. Na pewno nie szedł i na pewno na niego nie wjechałem. Człowiek podchodzi do auta i... przeprasza, że nie widział księżowskiej koloratki. Gorąco zapewnia, że nic się nie stało, i odchodzi w ciemność.

Droga to też pokusa. Bo człowiek się spieszy, chce wreszcie dojechać i odpocząć. A tu go ograniczają. Nerwy: przecież nic tu nie jeździ ani nikt nie chodzi. I jeszcze to okropne tłumaczenie się: „Przecież wszyscy tak jeżdżą". Tymczasem ograniczenie prędkości pozwoli w porę zahamować, gdyby ktoś niespodziewanie wszedł albo wjechał. Stawką może być czyjeś życie.

Drogi są dziś znacznie lepsze niż wtedy, kiedy zaczynałem prowadzić samochód. Wtedy jazda „szybką" szosą z Warszawy do Poznania była wyzwaniem mrożącym krew w żyłach, zwłaszcza ze względu na samochody z niemieckimi rejestracjami, które parły z prędkością, na którą nie mógłby się zdobyć nikt z jadących wąską drogą, jeden za drugim, fiatów czy warszaw. Do Poznania docierałem ledwie żywy. To był stan permanentnego zagrożenia.

Dziś mam wrażenie, że na ogół jeździmy rozważniej, zwłaszcza że samochodów jest więcej, a kierowców skrajnie nieodpowiedzialnych jednak jakby mniej. Widać to też w statystykach liczby wypadków, która z roku na rok maleje. Tylko czasem lewym pasem mknie jakiś szaleniec w znakomitym aucie, zostawiając za sobą powiew chwilowej grozy. I jednak wciąż w porównaniu z innymi państwami jesteśmy – po Cyprze – na niechlubnym szczycie statystyki osób zabitych na 100 wypadków drogowych (8,9 – dane za 2022 r.).

Zgrozą przejmują na pewno relacje o nielegalnych, nocnych wyścigach na ulicach miast. Młodzi ludzie w świetnych wozach. Co się dzieje w ich głowach? Czy dzieje się w nich cokolwiek?

Zawsze będą ludzie nieodpowiedzialni, ludzie, którzy prowadzą „pod wpływem", traktują drogę jak tor wyścigowy. Zawsze będą początkujący kierowcy, którzy myślą, że świetnie sobie radzą. Zawsze będą wreszcie ludzie, których niecodzienna sytuacja skłoniła do ryzykownych poczynań, w których ponieśli klęskę. Bezpieczeństwo na drogach jest większe, drogi są lepsze, samochody w stanie nieporównywalnym z tym, co było, kiedy zaczynałem jeździć. Ale co naprawdę ważne, zwłaszcza dla mnie ostatnio: dobrą konkurencją dla samochodów wreszcie zaczyna być kolej. Słowem, nawet jeśli nie jest dobrze, to jednak jedziemy ku lepszemu. Najlepiej – transportem publicznym. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

RYS. ZUZA KARDYŚ // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

To brutalne zdanie usłyszał **BARTOSZ JÓZEFIAK**, autor tekstu o **PATOLOGIACH NA DRODZE** z tego wydania, od kobiety, której matkę zabiło rozpędzone auto: „W Polsce to najlepiej zabić kogoś samochodem. Bo wtedy nic cię nie spotka. To już za zabicie psa dostaje się więcej”.

Po tragedii na Trasie Łazienkowskiej i wobec bezkarności tzw. miłośników motoryzacji zaczyna się chyba ważna debata – o **KARANIU ZA SPRAWSTWO** takiego wypadku jak za zabójstwo. Otóż choć od 2022 r. obowiązuje nowy taryfikator mandatów, podnoszący ich maksymalną stawkę ze śmiesznej kwoty 500 zł do 5000 zł, to w 2023 r. wzrosła, a nie zmalała, liczba śmiertelnych ofiar wypadków spowodowanych niedostosowaniem prędkości do warunków ruchu. Jak zauważa ekspert Instytutu Transportu Samochodowego, chwilowa poprawa okazała się nietrwała, bo państwo nie umie zapewnić **NIEUCHRONNOŚCI KARY**.

Józefiak przypomina, że to politycy PO dekadę temu „w populistycznym uniesieniu przed wyborami” odebrali samorządom fotoradary, przekazując je niewydolnemu ITD. Czy teraz, mówiąc o wprowadzeniu kategorii „**ZABÓJSTWA DROGOWEGO**”, nie szykuje się nam populistycznego chwytu zamiast realnych działań? Bo gdy rzecznik komendy stołecznej policji tłumaczy się Onetowi, że policja nie zdąża zapobiec nielegalnym wyścigom, gdyż organizatorzy informują o nich tajnymi QR-kodami, brzmi to jak deklaracja bezradności państwa. Józefiakowi do takiego **TAJNEGO KODU** udało się dotrzeć bez trudu.

Przepisy mamy. Policja mogłaby uruchomić wywiad kryminalny, idąc w stronę przestępstw takich, jak sprowadzenie katastrofy w ruchu lądowym, łamanie przepisów o imprezach masowych, a może nawet udział w grupie przestępczej i usiłowanie zabójstwa z zamiarem ewentualnym. Mogłaby inwigilować fora, sięgnąć po logowania komórek uczestników wyścigów i obserwować, kiedy te komórki znów zbierają się w jednym miejscu. Tymczasem tłumaczy, że może jedynie karać za **WYKROCZENIA** – prędkość czy brak gaśnicy.

Owszem, trudno oczekiwać wiele od niedofinansowanej i nieszkolącej się formacji, która w samym tylko garnizonie warszawskim ma 25 proc. wakatów. Dopuszczając do takiego stanu policji, państwo stwarza warunki dla bezkarnego narażania życia innych w tak symbolicznej przestrzeni publicznej jak **WSPÓLNA DROGA**. ©℗

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Zastępca redaktora naczelnego, dziennikarz nominowany do Grand Press, twórca podkastu „TP”, współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło”, autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni”.

20 Kto postawił tamę kontrolom
MAREK RABIJ
Czy zaporę w Stroniu Śląskim rzeczywiście przerosła skala ostatniej powodzi, czy też formalnym zabiegiem ukryto jej pogarszający się stan techniczny? Na to pytanie Wody Polskie muszą odpowiedzieć. Publicznie.

68 Sztuczna inteligencja: czas na decyzje
ROZMOWA Z JOËLLE PINEAU, WICEPREZESKĄ META AI:
Potrzebujemy globalnej klasyfikacji zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją i jednolitych sposobów ich mierzenia. Ale rozwiązania prawne musi wypracować całe społeczeństwo.

80 Doniesienia spod wulkanu
ANITA PIOTROWSKA
„Jesteśmy przed wielkim egzaminem. Walczymy o naszą twarz” – mówił podczas gali zamknięcia Festiwalu w Gdyni Wojciech Marczewski, nagrodzony Platynowymi Lwami za całokształt.

GRAŻYNA MAKARA // MARIUSZ PRZYGODA / FORUM // ALAIN JOCARD / AFP / EAST NEWS // ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Taniec na cienkiej linie
MAREK KĘSKRAWIEC

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Kto postawił tamę kontrolom
MAREK RABIJ

23 Polska 2050, a może Polska 2025?
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Partia Hołowni może podzielić los Ruchu Palikota, Kukiz'15 i Nowoczesnej*

26 Zdrowie w podejrzanie dobrej cenie
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Polska łyka suplementy diety*

■ ■ OPINIE

30 Gaz do dechy i jedziemy po śmierć
BARTOSZ JÓZEFIAK: *Po licznych tragediach na drogach Polacy kolejny raz głośno pytają: kiedy wreszcie skończy się ten koszmar?*

■ ■ WIARA

34 Kiedy obcy szuka domu
ROZMOWA Z BP. KRZYSZTOFEM ZADARKĄ, PRZEWODNICZĄCYM RADY DS. MIGRANTÓW I UCHODŹCÓW, *o sytuacji na granicy*

38 Czy objawienia są do zbawienia konieczne
PIOTR SIKORA: *Dlaczego wciąż pełnią istotną rolę w religijności?*

40 Chrystusa głoszę temperą
STANISŁAW ZASADA *o br. Marcinie Świąderze, malarzu współczesnych ikon*

■ ■ ŚWIAT

46 Izraelska wojna o pokój
MAREK MATUSIAK: *Rok od ataku Hamasu: jak się zmienił Izrael?*

TEMAT TYGODNIKA

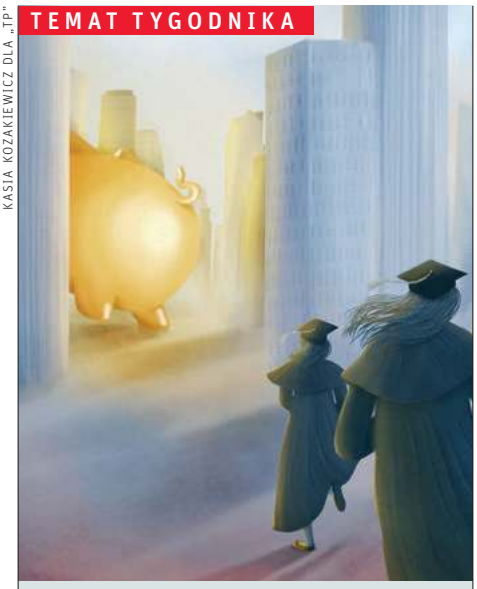

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

12 I co ja z tego będę miał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Wbrew stereotypowi „bezużytecznego papierka" studia w Polsce to nadal dobra inwestycja. Czy jednak topowe kierunki, jak psychologia albo zarządzanie, to również te najbardziej dochodowe? Sprawdziliśmy z pomocą ekspertów.

■ CENTRUM NAUKI KOPERNIK ■

65 Szklane wieżowce czy domy z grzybni

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
44 WOJCIECH BONOWICZ
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

50 Mój ból, moja wściekłość
ROZMOWA Z YUVALEM DANCYGIEM, SYNEM ZAKŁADNIKA HAMASU ALEXA DANCYGA: *Ta wojna całkowicie nas, Izraelczyków, podzieliła*

53 Ewakuatorzy
ANTONINA PALARCZYK Z UKRAINY *o ludziach wywożących cywilów ze strefy frontowej*

56 Rodzina na celowniku
TOMASZ MAĆKOWIAK: *Robert Fico wytoczył wojnę Michalowi Šimečce – z rodziny, której losy wiele mówią o Słowacji*

■ ■ HISTORIA

60 Promieniowanie zajęło step
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA: *Opowieść z dawnego radzieckiego poligonu jądrowego*

■ ■ NAUKA

68 Sztuczna inteligencja: czas na decyzje
ROZMOWA Z JOËLLE PINEAU

■ ■ KULTURA

72 Joker, biografia
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Im częściej podpala świat, tym lepiej go rozumiemy*

76 Śmierć i podatki
BARTOSZ SADULSKI *o „Danych odosobowych" Elfriede Jelinek*

79 Historia polska
MICHAŁ OKOŃSKI: *Co mówi zmiana dyrektora Muzeum Historii Polski*

80 Doniesienia spod wulkanu
ANITA PIOTROWSKA: *Po Festiwalu Filmowym w Gdyni*

83 Pytania czasu końca
LEKTOR *o „Ulicy Mazowieckiej" Tomasza Łubieńskiego*

■ ■ ZMYSŁY

86 Zakopianka
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Do historii odchodzi właśnie najbardziej mityczna z polskich dróg*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 59

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

TANIEC NA CIENKIEJ LINIE

Władze Izraela bezwzględnie realizują swoje cele. Wierzą w swoją przewagę militarną i technologiczną. Wierzą też, że Ameryka – nawet jeśli nie informowana zawczasu i oburzona ich działaniami – pozostanie niezłomnym sojusznikiem państwa żydowskiego.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ: Marsz żałobny ku pamięci Hassana Nasrallaha, przywódcy libańskiego Hezbollahu, który zginął w izraelskim ataku w Bejrucie. 29 września 2024 r.

Ostatnie miesiące są nieustannym testowaniem ze strony Tel Awiwu kolejnych granic: wobec Hamasu w Strefie Gazy, wobec Hezbollahu i Iranu, a także wobec arabskich autokracji (obojętnych zazwyczaj na los Palestyńczyków), a także wobec własnych sojuszników, również tych najbliższych, jak Stany Zjednoczone.

Jak podaje dziennik „New York Times", Biały Dom jest wściekły na Benjamina Netanjahu, że – bombardując w miniony piątek 27 września podziemną kwaterę Hezbollahu w Bejrucie i zabijając jego przywódcę Hassana Nasrallaha – po raz kolejny podjął na własną rękę działania mogące rozpalić cały region. Zdaniem dziennikarzy „NYT" premier Izraela zdecydował o ataku na Nasrallaha, monitorowanego od pewnego czasu, gdyż obawiano się nagłej zmiany miejsca jego pobytu w Bejrucie oraz tego, że władze USA mogą opóźnić akcję swoimi protestami.

Tel Awiw powtórzył tym samym swój manewr z 1 kwietnia, kiedy – nie informując Waszyngtonu – przeprowadził nalot na irański konsulat w Damaszku. Zginął w nim jeden z dowódców elitarnej irańskiej jednostki Al-Kuds. Do podobnego zdarzenia doszło też w lipcu, kiedy w zamachu w Teheranie zginął jeden z przywódców Hamasu, który przybył tam na uroczystość zaprzysiężenia nowego irańskiego prezydenta Masouda Pezeshkiana.

TA SEKWENCJA zdarzeń, wraz z regularnym dewastowaniem Strefy Gazy oraz coraz intensywniejszymi nalotami na południe Libanu, gdzie rządzi Hezbollah, to stąpanie po cienkiej linie, coraz bardziej przerażające dla Waszyngtonu i większości stolic europejskich.

Trzeba jednak przyznać, że jak na razie ten balans nad przepaścią udaje się Izraelczykom. A Iran przeprowadził demonstrację siły tylko po kwietniowej

akcji w Damaszku, wysyłając na Izrael 330 rakiet i dronów – po raz pierwszy w historii bezpośrednio ze swojego terytorium. Gest był mocny, ale miał wyłącznie medialne znaczenie. Tel Awiw mógł pokazać skuteczność Żelaznej Kopuły, swojego systemu przeciwrakietowego, a Teheran mógł grozić, że następnym razem rakiet będą nie setki, lecz tysiące.

Zabójstwo Nasrallaha i ważnych generałów (także z Iranu) oraz działaczy Hezbollahu to przesunięcie kolejnej granicy. Netanjahu i jego wojskowi zakładają, że zarówno irański przywódca Ali Chamenei (po zabójstwie Nasrallaha został ponoć przez swoją gwardię przeniesiony w bezpieczne miejsce), jak też irańska armia zdają sobie sprawę ze swoich technologicznych niedostatków i przewagi Izraela w powietrzu. Poza tym nawet oburzony Waszyngton nadal pozostanie niezłomnym sojusznikiem państwa żydowskiego. Iran, choć to potęga regionalna, nie zdecyduje się raczej na otwartą wojnę. Na razie ogłosił pięć dni żałoby po „męczenniku" z Libanu.

ZANIM DOSZŁO do zabójstwa Nasrallaha, izraelskie służby przeprowadziły misterną operację, zwieńczoną 14 września wybuchem baterii w tysiącach pagerów, używanych (między innymi, bo było też wiele ofiar cywilnych) przez członków Hezbollahu do umawiania spotkań, tak by unikać podsłuchów. Dziewięć osób zginęło, ponad 3 tys. odniosło rany. Następnego dnia wybuchły krótkofalówki (zabijając 25 osób), także używane do bezpiecznej komunikacji.

Akcje te pokazały niezwykłe zdolności wywiadowcze Izraela oraz czasowo ogłuszyły i oślepiły Hezbollah – dzięki temu podjęto zapewne decyzję o dacie eliminacji Nasrallaha. Wiadomo było, że zdezorganizowany i zszokowany Hezbollah nie będzie w stanie przeprowadzić znaczącego odwetu.

PASMO PORAŻEK tego ugrupowania, które pod rządami Nasrallaha przerodziło się z partyzantki (uznawanej przez Zachód za terrorystyczną) w ruch polityczny, mocno osadzony w biedniejszych społecznościach Libanu, każe rzucić nowe światło na faktyczną siłę szyickiego Hezbollahu.

Dotąd uważano, że jest to podmiot wielokrotnie przewyższający swymi zdolnościami palestyński Hamas i stanowiący wręcz regularną armię, dobrze wyszkoloną przez generałów z Iranu i wyposażoną w ponad 100 tys. rakiet. Biorąc te fakty pod uwagę, mało kto spodziewał się, że Izrael, prowadzący wojnę w Gazie, będzie w stanie otworzyć drugi front na północy, nie mając na to zgody najważniejszego sojusznika i jednocześnie czując zagrożenie z Teheranu. Jednak Netanjahu zdaje się sądzić, że w konflikcie z Iranem da sobie radę, a islamska republika nie znajdzie nikogo gotowego w aktywny sposób jej bronić.

ŚWIAT NIE ZAJĄŁ zdecydowanego stanowiska wobec wojny w Gazie, będącej zemstą za krwawy najazd Hamasu na żydowskie osady jesienią 2023 r. [patrz tekst w dziale Świat – red.]. Tymczasem działania Izraela zmierzają do ostatecznej rozprawy z Gazą: w ich trakcie zginęło już ok. 40 tys. Palestyńczyków, a jeszcze trzy miesiące temu naliczono ponad 360 tys. zniszczonych lub uszkodzonych budynków, co stanowi ponad 50 proc. posesji w Strefie Gazy. Wygląda na to, że teren ten przez wiele lat nie będzie nadawać się do zamieszkania, tworząc „bezpieczną" strefę przy granicy izraelskiej – a dwa miliony ludzi, którzy stracili dachy nad głową, mogą ruszyć do Europy, pogłębiając kryzys migracyjny.

Liczba niewiadomych i możliwych scenariuszy jest zbyt duża, by pokusić się o jakąś prognozę. Dziś konflikt w Gazie i Libanie, choć budzący na całym świecie frustrację, idzie wedle scenariusza izraelskiego i ma wciąż lokalny charakter. Jeśli nastąpi eskalacja i wejście do gry Iranu, nie sposób niczego przewidzieć, zwłaszcza cen ropy. Jedno jest chyba pewne: beneficjentem byłaby Moskwa, licząca, że Waszyngton zapomni wtedy o Kijowie. ©℗

AHMAD AL-RUBAYE / AFP / EAST NEWS

Zachód bez strategii

WOJCIECH KONOŃCZUK

Głównym celem podróży prezydenta Zełenskiego do USA było przekonanie administracji Joego Bidena do poparcia tzw. planu zwycięstwa. Jest to najnowsza ukraińska próba przekonania swojego najważniejszego sojusznika do bardziej odważnego wsparcia. Szczegóły „planu" nie są znane, ale z różnych przecieków medialnych wynika, że możliwa jest przynajmniej częściowa rekonstrukcja jego założeń.

Kijów najprawdopodobniej oczekuje dostarczenia nowych systemów ofensywnych, zgody na używanie zachodniej broni do uderzeń na terytorium Rosji, zaproszenia do NATO oraz wsparcia w utrzymaniu się sił ukraińskich na zajętych terenach obwodu kurskiego, co miałoby następnie wzmocnić jego pozycje negocjacyjne. „Plan zwycięstwa" nie jest zatem zapisem ukraińskich warunków zakończenia wojny, bo te – przynajmniej formalnie – pozostają niezmiennie maksymalistyczne (odzyskanie wszystkich terytoriów). „Plan" wygląda trochę jak ukraińska próba gry *va banque* z odchodzącym niebawem Bidenem z nadzieją przekonania go – na ostatniej prostej jego prezydentury – że może zapewnić sobie miejsce w historii. Warunkiem jest podjęcie bezprecedensowych decyzji dotyczących większej i bardziej ambitnej pomocy Ukrainie.

Wygląda jednak na to, że wysiłek Zełenskiego nie zakończył się sukcesem, ale awanturą. Republikanie wykorzystali bowiem jego wizytę w fabryce zbrojeniowej w Pensylwanii do swojej kampanii wyborczej: twierdzą, że w istocie była ona wsparciem dla Demokratów, gdyż odbyła się w jednym z tzw. *swing state*, które mogą zdecydować o wyniku wyborów prezydenckich w USA. Spotkanie Zełenskiego z Trumpem tylko częściowo załagodziło zinstrumentalizowanie sprawy ukraińskiej w ostrej walce przedwyborczej.

Nasilające się apele Kijowa o odważniejsze wsparcie są w pełni uzasadnione. Sytuacja sił ukraińskich na froncie jest coraz trudniejsza.

Rosjanie, nie zważając na olbrzymie straty własne, idą powoli, ale konsekwentnie do przodu, zwłaszcza w okolicach Pokrowska [patrz dział Świat – red.]. Towarzyszą temu codzienne ataki rakietowe na ukraińskie miasta. Ukraińcy próbują odpowiadać atakami dronowymi na obiekty w głębi Rosji, często skutecznymi. Ale to za mało do zwycięstwa. Szczególnie, gdy Zachód pomaga, krępując zarazem jedną ukraińską „rękę" zakazem ataków na terytorium Rosji. Potwierdza to niestety, że sojusznicy nie mają żadnego „planu zwycięstwa" dla Ukrainy, lecz nadal prowadzą politykę sytuacyjną, pozbawioną szerszej wizji strategicznej. ©

Intencje poszły z dymem

MAŁGORZATA SOLECKA

Pół roku temu huczne zapowiedzi zakazu, teraz – niepewność, czy uda się uchwalić przepisy blokujące sprzedaż nieletnim beznikotynowych jednorazówek. W maju ministra zdrowia Izabela Leszczyna planowała „do wakacji zabezpieczyć dzieci i młodzież". Z planów nic nie wyszło. Od lipca w konsultacjach publicznych jest projekt nowelizacji ustawy wprowadzającej zakaz sprzedaży niepełnoletnim również produktów niezawierających nikotyny (także przez internet i w automatach). W ubiegłym tygodniu opublikowano raport z konsultacji, resort zdrowia pracuje nad ostateczną wersją projektu, która trafi do rządu, a potem do Sejmu. Teoretycznie może się udać uchwalenie ustawy w tym roku. To, co miało być przeprowadzone błyskawicznie, wlecze się niemiłosiernie i raczej nie jest dowodem na polityczną sprawczość Leszczyny.

Jednak w tej sprawie głównym problemem nie jest ona. W lipcu Ministerstwo Finansów zaszokowało zapowiedzią wprowadzenia jednolitej opłaty w wysokości 40 zł od każdego e-papierosa. Branża tytoniowa zamarła, ale na strachu się skończyło – po spotkaniu z jej przedstawicielami resort z pomysłu się wycofał. Widać, że decyzje zapadają ponad Ministerstwem Zdrowia. I że niezależnie od tego, jak głośno politycy mówią o zdrowiu publicznym, państwo w tym kierunku robi niewiele.

Tymczasem z sympatyzujących z poprzednią władzą think tanków popłynęły w kierunku rządu wręcz wyrazy uznania, że wycofuje się z pomysłów, które mogłyby zdusić legalny biznes, a budżet państwa narazić na straty. Z dużą częścią konserwatywnych liberałów i konserwatystów, bo tak (często) definiują się eksperci zaangażowani w podobne przedsięwzięcia, jest pewien kłopot. Zdrowie publiczne uważają za „lewacką mrzonkę", bo przecież każdy jest odpowiedzialny za swoje wybory zdrowotne (a w przypadku nieletnich: rodzice). A hasło „edukacja zdrowotna w szkołach" uruchamia lawinę podejrzeń co do programu.

Rząd PiS, odmieniając zdrowie publiczne przez wszystkie przypadki, w sprawie walki z nikotynizmem poprzestał na deklaracjach, a problem wapujących nieletnich dosłownie wybuchł mu w rękach: gwałtowny przyrost ich liczby to lata 2022-2023. Teraz pozostaje sprzątać po eksplozji i lepiej byłoby się do tego zabrać energiczniej. Chyba że nie o idee tu jednak chodzi. ©

ATSURKAN / SHUTTERSTOCK

Papież w Belgii

ZUZANNA RADZIK

Sztormowa pogoda, witająca Franciszka w Belgii, była dobrą prognozą trzydniowej wizyty, której pretekstem było 600-lecie powstania uniwersytetu w Leuven. Uczelnia jest dziś (jak wszystko w Belgii) podzielona na francuskojęzyczny UC w Louvain-La-Neuve, które papież odwiedził w sobotę, i flamandzkojęzyczny KU Leuven, które odwiedził w piątek.

To ważny ośrodek katolickiej myśli z czasów soboru i do dziś jeden z najsilniejszych teologicznych wydziałów na świecie. Działa w kraju, który powstawał odróżniając się katolicyzmem od Północnych Niderlandów, po wojnie przeżył entuzjazm otwarcia się Kościoła na świat, a potem szybką sekularyzację. Dziś 57 proc. społeczeństwa jest ochrzczone, Kościół katolicki zachował przywileje, finansowanie parafii, księży i pracowników duszpasterskich, ale liczba Belgów uczestniczących w mszy waha się między 6 a 10 proc.

Belgijscy katolicy w niedosycie zmian w Kościele trwają do dziś, co może tłumaczyć, dlaczego na obu katolickich uniwersytetach przywitano papieża, nawołując do otwartości Kościoła na równość kobiet i prawa osób LGBT+.

W KU Leuven rektor Luc Sels apelował o prawa właśnie tych dwóch grup. Z kolei w UCLouvain papieża witali studenci, apelując o zmianę miejsca kobiet w Kościele. W odpowiedzi papież powiedział m.in., że „kobieta jest płodnym przyjęciem, troską, życiodajnym poświęceniem", co komentowali jako brak dialogu. Uczelnia wydała błyskawiczne oświadczenie o „braku zrozumienia i dezaprobacie" dla „konserwatywnego stanowiska papieża na temat roli kobiet w Kościele i społeczeństwie". Głośno było o spotkaniu Franciszka z ofiarami przestępstw seksualnych i wezwaniu premiera Alexandra de Croo, że słowa to za mało. Podczas mszy papież wzywał do sądu nad sprawcami, choć sam dopiero w marcu tego roku, po 14 latach, usunął ze stanu kapłańskiego belgijskiego biskupa, który wykorzystywał własnego siostrzeńca.

Wyjeżdżając, papież zostawił biskupów z innym konkretnym zadaniem: kazał przypilnować procesu beatyfikacyjnego króla Baldwina I, który w 1990 r. złożył urząd na dwa dni, by uniknąć podpisania ustawy legalizującej aborcję. To zaskoczyło pałac królewski, rząd, jak i samych biskupów i stało się ostatnim, dość konserwatywnym przesłaniem tej pielgrzymki.

Czy papież wiedział, jaką Belgię odwiedza? Bo nie wygląda, by się z nią naprawdę spotkał. ©℗

NA PUNKTY

DWIE WŁADZE
Izba Karna Sądu Najwyższego uznała, że powołanie w czasach rządów PiS Dariusza Barskiego na funkcję prokuratura krajowego odbyło się zgodnie z przepisami, a więc nie było podstaw do usunięcia go ze stanowiska. Min. Adam Bodnar ocenił, że orzeczenie SN „nie jest wiążące", a rozpoznający sprawę „neosędziowie" działali w „obronie własnych stanowisk i upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości".

WIELE POSAD
À propos stanowisk i upolitycznienia: Onet informuje, że dyrektorskie posady w należącym do Skarbu Państwa Totalizatorze Sportowym objęli w ostatnich miesiącach lokalni działacze PO, PSL i Lewicy, bliscy współpracownicy ważnych parlamentarzystów koalicji rządzącej, a nawet boiskowy kolega Donalda Tuska.

HUMOR BOBRÓW
Chociaż tyle, że ten ostatni polityk zmienił zdanie w sprawie odstrzału bobrów jako elementu polityki przeciwpowodziowej. „Będzie dobrze, panie bobrze" – powiedział premier, zapowiadając zabezpieczanie odbudowywanych oraz powstających na nowo wałów specjalnymi siatkami. ©℗

W lustrze wody

PIOTR ŚMIŁOWICZ

W słynnym filmie Michelangelo Antonioniego „Powiększenie" fotoreporter odkrywa leżące w lesie zwłoki dzięki temu, że przypadkowo znalazły się w kadrze robionego przez niego zdjęcia. W „Lalce" Bolesława Prusa Stanisław Wokulski odkrywa niewierność Izabeli Łęckiej, obserwując jej zachowanie w odbiciu szyby wagonu kolejowego. W podobny sposób ostatnia powódź stała się okazją, byśmy w lustrze zmąconych wód zobaczyli prawdziwszą naturę polskiej polityki.

Katastrofa obnażyła przede wszystkim jej teatralną sztuczność. Na przykład politykom PiS, mimo ogromu starań, raczej nie udało się przekonać wyborców, iż rząd był w czasie powodzi skrajnie nieudolny – a Tusk wprowadził nas w błąd, mówiąc, że nie ma wielkiego zagrożenia. Rytualność tych oskarżeń była bardziej niż widoczna, czego dowiodły najnowsze sondaże, zgodnie z którymi notowania głównej partii opozycyjnej nie wzrosły.

Premier Tusk z kolei, spędzając czas na transmitowanych naradach z szefami podległych służb, przekroczył cienką czerwoną linię oddzielającą uzasadnioną troskę władz centralnych, by przez swoją obecność na miejscu zdarzeń bardziej zmobilizować struktury państwa, od pokazówek, w których główną troską uczestników jest jak najlepsze zabłyśnięcie w mediach. Nasiadówki te zostały przez Jacka Żakowskiego wręcz porównane do tych organizowanych i reżyserowanych przez Władimira Putina. Poprzez częstotliwość medialnych wypowiedzi Tusk naraził się na rzadkie u tego polityka wpadki, takie jak słynny już zwrot o możliwej eksterminacji bobrów.

PIOTR JĘDZURA / REPORTER

Mimo ogromnego doświadczenia premier pokazał, że nie jest nieomylny. To zapewne nie jest aż takim zaskoczeniem, jak niespodziewane wydarzenia podczas ubiegłotygodniowego posiedzenia Sejmu. Choć debata znów obfitowała w rytualną wymianę politycznych ciosów, to już w kwestii realnych działań skłócone ze sobą obozy zdecydowały się na zaskakująco zgodną współpracę. Większość rządowa nie odrzuciła w pierwszym czytaniu PiS-owskiej ustawy powodziowej, a parlamentarzyści PiS poparli w komisji jej rządową wersję. ©

Milion Polaków z bronią

MAREK RABIJ

Tytuł tej notki jest przedwczesną, ale trafną prognozą. Według danych policji na koniec ub. roku osoby zameldowane na stałe w Polsce miały łącznie 843 755 sztuk broni palnej. Wkrótce jej liczba faktycznie osiągnie milion sztuk. W zeszłym roku w Polsce zakupiono 83 537 egzemplarzy, tylko o 18 302 mniej niż w rekordowym roku 2022. Od wybuchu wojny w Ukrainie nie słabnie w Polsce zainteresowanie strzelectwem, a ludzie zawodowo z nim związani podsycają ten trend zapewnieniami, że uzbrojone społeczeństwo to bezpieczniejszy kraj. PiS, który obiecywał liberalizację i tak relatywnie łagodnych dla obywateli przepisów o posiadaniu broni palnej, chętnie podbijał te nastroje, ale nie zdecydował się na ich uproszczenie; skrócono tylko ścieżkę do pozwolenia dla mundurowych. Czy zatem zmierzamy w stronę Teksasu – jak alarmują zwolennicy ukrócenia prawa obywateli do broni palnej? Nie. Tak jak wiązanie potencjału obronnego kraju z liczbą pistoletów w polskich domach nie ma sensu w epoce wojen wygrywanych przez artylerię i lotnictwo, tak straszenie strzelaninami w podstawówkach jest nieodpowiedzialnym podsycaniem lęku przed obecnością broni w przestrzeni publicznej. Lęku, który w kraju tak dotkniętym przez wojnę, wydaje się zrozumiały nawet 80 lat później. Zainteresowanie różnymi formami strzelectwa, mimo szybkiego wzrostu, pozostaje w Polsce zjawiskiem niszowym, a w dodatku nie rodzi negatywnych konsekwencji. Liczba przestępstw z użyciem broni palnej od kilku lat sukcesywnie maleje, pomimo coraz większej liczby broni w rękach obywateli. To najlepszy argument za tym, by z rosnącej liczby Polaków zainteresowanych jej posiadaniem nie robić potencjalnych terrorystów. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

ALEKSANDRA KALATA-ZAWŁOCKA, LINGWISTKA MIGOWA:

W 229 powiatach nie ma tłumacza polskiego języka migowego

ANNA GOC: Coraz częściej pojawiają się w telewizji, w miejscach publicznych. Jednak z pierwszego w Polsce „Spisu Powszechnego Tłumaczek i Tłumaczy Języka Migowego" wynika, że w sześciu województwach jest zaledwie od dwóch do pięciu tłumaczy. Trudno wtedy mówić o dostępności.

ALEKSANDRA KALATA-ZAWŁOCKA: O dostępności tłumaczy PJM możemy mówić właściwie tylko w Warszawie. Jakiś czas temu głuchy uczestnik badania, który mieszka w jednym z większych miast w Polsce, opowiadał, co działo się przed wywiadówką w szkole dla głuchych. Nie wszyscy nauczyciele biegle migają, więc głusi rodzice potrzebowali tłumaczy. W mieście było kilku, ich terminy były już zarezerwowane – ci głusi, którzy zdążyli, mieli tłumacza.

Z raportu Najwyższej Izby Kontroli z 2022 roku wynika, że 60 proc. nauczycieli w szkołach dla głuchych nie posługuje się biegle PJM. Szkoła to tylko jedno z miejsc, gdzie głusi potrzebują tłumaczy. Inne to m.in. gabinety lekarskie, urzędy, sale sądowe.

O potrzebie zapewnienia dostępności komunikacyjnej osobom głuchym mówimy w Polsce od kilkunastu lat. Instytucje publiczne zobowiązują do tego dwie ustawy – Ustawa o polskim języku migowym z 2011 r. i Ustawa o dostępności z 2019 r. Obie opierają się na pracy tłumaczy, jednak o tej grupie zawodowej dotąd niewiele wiedzieliśmy. Dlatego wspólnie z Kamilą Skalską ze Stowarzyszenia Tłumaczy PJM i Bartoszem Margańcem z Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW postanowiliśmy sprawdzić, ilu jest tłumaczy i czy zapewnienie dostępności w naszym kraju jest możliwe. W naszym badaniu ankietowym wzięło udział 236 osób. Tłumacze są na miejscu w 85 powiatach, w 229 trzeba korzystać z ich usług z odleglejszych lokalizacji. To oznacza, że głusi mogą tam nie mieć dostępu do informacji. Żeby mówić o dostępności, potrzebowalibyśmy kilka razy więcej tłumaczy w całej Polsce, i to nie tylko w głównych miastach.

Spis był także okazją, by dowiedzieć się, kim są tłumacze, czego im brakuje i jak ten zawód jest postrzegany społecznie.

Nieco ponad połowa tłumaczy ma w rodzinie kogoś głuchego, zwykle rodziców. Wciąż się zdarza, że tłumaczeniem zajmują się osoby, które nie powinny – znają język, ale nie mają kompetencji tłumacza. Brakuje pełnej ścieżki kształcenia dla tłumaczy PJM, analogicznej do tej, którą przechodzą tłumacze inny języków. Na listach tłumaczy biegłych PJM przy sądach są tylko 33 nazwiska, co oznacza, że na salach sądowych głusi mogą nie mieć pełnego dostępu do informacji.
Z drugiej strony w środowisku tłumaczy jest coraz większa dbałość o profesjonalizm, ale też docenienie własnej pracy. Pojawiają się tłumaczenia specjalistyczne, np. w czasie porodów czy podczas sesji psychoterapeutycznych. Coraz rzadziej pada też pytanie: „Po co tłumacz?", a to oznacza, że świadomość społeczna o potrzebach osób głuchych wzrasta. ©℗

ALEKSANDRA KALATA-ZAWŁOCKA – *prekursorka badań nad translatoryką migową i porównawczą, pracuje w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW.*

Nie wpatrywać się w pępek Kościoła

SYNOD ▪ „Łazarzu, wyjdź z grobu i żyj!" – wołał o. Timothy Radcliffe OP do delegatów na drugą, ostatnią sesję synodu o synodalności. Jej otwarcie poprzedziły, podobnie jak rok temu, dwudniowe rekolekcje oraz – po raz pierwszy – nabożeństwo pokutne za grzechy Kościoła. Do listy starych win dodano całkiem nowe, jak „wykorzystywanie doktryny do atakowania inaczej myślących" czy „grzech antysynodalny". Gdyby za ten ostatni uznać krytykę trwającego od czterech lat Franciszkowego projektu, niejeden z zebranych w Bazylice św. Piotra kardynałów i biskupów musiałby mocno bić się w piersi.

Nie wszyscy chcą uznać synodalność za najważniejszą cechę Kościoła – zasadę jego działania i istnienia. Nie wszyscy chcą, by świeccy mieli w nim głos równy biskupom. By Kościół przestał pouczać, a zaczął słuchać. By otworzył się na różnorodność kultur, tradycji i poglądów, także antropologicznych i teologicznych. By podejmował „rozmowę w Duchu" (a więc: z szacunkiem, bez wyższościowego tonu i apologetycznej polemiki) z inaczej myślącymi. By uznał ich propozycje – również te dotyczące zmian w doktrynie i dyscyplinie – za godne namysłu i dyskusji.

MATERIAŁY PRASOWE KEP

Nawet jeśli wiemy, że synod takich zmian nie wprowadzi (najgorętsze tematy, jak zniesienie celibatu, święcenia kobiet czy liberalizacja etyki seksualnej nie będą przedmiotem głosowań – odesłano je do prac w grupach studyjnych), nie spisujmy go na straty. Bo jego celem nie są zmiany strukturalne, ale zmartwychwstanie – mówił Radcliffe. Nie terapia stanów zapalnych, ale reanimacja całego organizmu.

Jak tego dokonać? Jak wyjść „z ciasnego, zamkniętego świata" i przestać wpatrywać się „we własny, kościelny pępek" (by znów przytoczyć słowa rekolekcjonisty)? Przez najbliższe cztery tygodnie zastanawiać się nad tym będzie 368 uczestników obrad, biskupów i świeckich, reprezentujących Kościoły lokalne, zakony żeńskie i męskie, uczelnie teologiczne, instytucje i ruchy katolickie.

Polskę na synodzie reprezentują: abp Józef Górzyński, bp Sławomir Oder, bp Jacek Grzybowski, kard. Grzegorz Ryś i prof. Aleksander Bańka (obaj na zdjęciu z kard. Konradem Krajewskim w auli synodu, 30 września 2024 r.).

©℗ **EDWARD AUGUSTYN z Rzymu**

Więcej na **www.tygodnikpowszechny.pl/synod**

LEONHARD FOEGER / REUTERS / FORUM

Herbert Kickl, lider Wolnościowej Partii Austrii (w okularach), świętuje swoją wygraną w wyborach parlamentarnych. Wiedeń, 29 września 2024 r.

Trzęsienie ziemi w naddunajskiej polityce

AUSTRIA ▪ „Dem Sieger gehört die Beute", do zwycięzcy należy łup jego – głosi staroniemieckie przysłowie, datujące się z czasów, gdy Austriacy wraz z innymi krainami germańskimi tworzyli Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. W tym jednak przypadku zwycięzca musi obejść się smakiem. Nawet jeśli sukces, który odniósł Herbert Kickl, lider Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ), jest niekwestionowany, a nawet, jak piszą komentatorzy nad Dunajem, historyczny.

W komentarzach tych często pojawiają się superlatywy. Ponad 29 proc. głosów oddanych na nią w wyborach (plus 13 proc. w stosunku do roku 2019) to zatem największy sukces, jaki w swej historii odniosła prawicowo-narodowa FPÖ. Kickl, który od trzech lat stoi na jej czele, sformułował zaś najbardziej radykalny program, który nie tylko przewiduje zredukowanie do zera nielegalnej imigracji, ale też reemigrację „tych, których tu nikt nie zapraszał". „Potrzebujemy dziś »Festung Österreich«. Austria powinna stać się twierdzą. Austriacy dość się już nacierpieli na skutek negatywnych skutków niekontrolowanej i masowej imigracji" – mówił w kampanii.

W istocie to imigracja i jej skutki była tematem numer jeden. Nie znaczy to, by rywale Kickla nie doceniali tej kwestii: kryzysowi migracyjnemu przeciwdziałały już wcześniejsze rządy w Wiedniu. Ale to Kickl sformułował hasła idące najdalej – takie, których głośno nie mówią nawet politycy niemieckiej AfD. Ci zresztą gratulują dziś Kicklowi. Gratulacje złożyła też Marine Le Pen, pisząc, że jego sukces potwierdza europejski trend, który „niesie ze sobą obronę narodowych interesów, ochronę tożsamości i renesans suwerenności".

Superlatywy, tylko inne, widzimy też w ocenach rywali Kickla. I tak, rządząca centrowo-konserwatywna Partia Ludowa (ÖVP) i współrządząca z nią Partia Zielonych odniosły największe spadki, tracąc jedną trzecią poparcia (ÖVP dostała prawie 27 proc., Zieloni 8 proc.). Najgorszy zaś w ogóle wynik w swej historii odnieśli socjaliści (SPÖ, 21 proc.), kiedyś polityczna potęga (bywało, że sami tworzyli rząd). Jedynymi, którzy poprawili notowania, są Neos (Nowa Austria, 9 proc.), formacja liberalno-proeuropejska.

Podczas wieczoru wyborczego liderzy tych czterech partii zadeklarowali, że nie wejdą w koalicję z Kicklem. Wygląda więc na to, że rząd w Wiedniu stworzy „koalicja przegranych": ÖVP i SPÖ (mający razem większość, choć tylko jednym głosem) albo koalicja trojga, z udziałem jeszcze Neos lub Zielonych. Pytanie, czy wyciągnie wnioski z „sygnału alarmowego" (tak wybory podsumowała szefowa resortu obrony, z ÖVP). Bo 55-letni Kickl może czekać: całe życie związany z FPÖ, jest długodystansowcem. Będzie przekonywać, że walczy z „systemem", który, jak to ujął w niedzielny wieczór, atakuje jego, który jest tylko „ambasadorem zwykłych ludzi".

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Jak stosować defibrylator

MEDYCYNA ▪ W 2014 r. w czasopiśmie „Resuscitation" opublikowano pracę podsumowującą filmowe sceny resuscytacji krążeniowo-oddechowej (RKO) z lat 2003-2012. W ponad 80 proc. scen używany był defibrylator, który w efektowny sposób wstrząsa ciałem chorego w trakcie wyładowania. Niestety w zaledwie 28 proc. filmowych scen przypadek chorego nadawał się do defibrylacji, a w prawie 20 proc. łyżki defibrylatora były położone nieprawidłowo. Mimo to skuteczność hollywoodzkiej RKO wynosiła 67-88 proc.

W rzeczywistości pozaszpitalna resuscytacja kończy się sukcesem rozumianym jako powrót spontanicznego krążenia krwi w organizmie w ok. 10 proc. przypadków. Jednym z powodów nagłego zatrzymania krążenia może być nieefektywna praca serca, które wykazuje elektryczną aktywność, ale nie pompuje krwi. Taka sytuacja występuje w przypadku migotania komór i częstoskurczu komorowego bez tętna. Tylko wtedy wskazana jest defibrylacja, czyli wyładowanie elektryczne, którego celem jest swego rodzaju zresetowanie serca. Standardowo jedną elektrodę układa się tuż pod prawym obojczykiem, a drugą niżej, po lewej stronie klatki piersiowej (ułożenie przednio-boczne), tak aby serce znajdowało się pomiędzy elektrodami.

Jednak taki schemat może nie być najbardziej korzystny. Joshua Lupton wraz ze współpracownikami dowodzą, że ułożenie jednej łyżki z przodu klatki piersiowej, a drugiej z tyłu zwiększa ponad dwuipółkrotnie szansę na powrót spontanicznej akcji serca. Badanie opisane w czasopiśmie „JAMA" przeprowadzono na dużej grupie 255 pacjentów. Biorąc jednak pod uwagę pozostałe badane skutki, zmiana ustawienia elektrod nie miała istotnego statystycznie wpływu na przeżycie do czasu przyjęcia do szpitala albo do wypisu ze szpitala.

Najważniejszym czynnikiem wpływającym na przeżycie nagłego zatrzymania krążenia pozostaje czas podjęcia akcji resuscytacyjnej. Warto zatem wiedzieć, gdzie w naszym miejscu pracy czy szkole znajduje się automatyczny defibrylator i znać podstawowe zasady RKO lepiej niż hollywoodzcy scenarzyści. Każdy z nas może kiedyś zostać ratującym albo ratowanym.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

I CO JA Z TEGO BĘDĘ MIAŁ

Wbrew stereotypowi „bezużytecznego papierka” studia w Polsce to nadal dobra inwestycja. Czy jednak topowe kierunki, jak psychologia albo zarządzanie, to również te najbardziej dochodowe? Sprawdziliśmy z pomocą ekspertów.

TEKST: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ILUSTRACJA: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Dlaczego wybrałaś/wybrałeś akurat ten kierunek? Co przeważyło: pasja czy kalkulacja? Takie pytania zadaliśmy pod koniec września polskim studentom. Pierwszego roku i dalszych. Uczelni wielkich i mniejszych. Kierunków modnych – jak psychologia czy informatyka, na które walą drzwiami i oknami szkół dziesiątki tysięcy – ale też tych mniej popularnych.

Jakub, zaczynający II rok fizjoterapii w Collegium Medicum UJ, zapytał ponad rok temu sam siebie: „Jak będzie wyglądać moja przyszła praca? Czy będzie mi dawać satysfakcję?”. – Bardzo chciałem, by wykształcenie pozwoliło mi dobrze zarabiać. Co mi jednak po pieniądzach, jeśli spędzę pół życia, robiąc coś, czego nie lubię? – komentuje.

Ania, wchodząca w drugi rok komunikacji interkulturowej w biznesie (wykładowy niemiecki) na Uniwersytecie Śląskim, opowiedziała o rodzicach germanistach, o pasji do niemieckiego i o swoim temperamencie pasującym do pracy w korporacji, w której ten niemiecki wykorzysta.

Roland, prywatnie jej partner, student także na II roku, również na UŚ, tyle że polonistyki – w odróżnieniu od Ani widzi się przy szkolnej tablicy: – Wybrałem kierunek ze specjalizacją nauczycielską świadomie. To dla mnie gwarancja przyszłej pracy.

– Szczerze? – zapytał Bartek z III roku informatyki na Politechnice Warszawskiej. – Nie myślałem o tym wyborze wiele, bo był naturalny. Jako malec interesowałem się grami. Gdy miałem 14 lat, zacząłem programować. Później zająłem się stronami internetowymi. Ale wiedza, że informatyka daje dobry i pewny chleb, też odgrywała jakąś rolę.

– Trochę w tym pragmatyki, trochę humanistycznych predyspozycji, które zawsze miałem – odpowiedział Marek, za chwilę student I roku psychologii na UJ. – Dla mnie to jest z jednej strony kierunek przyszłościowy, z drugiej taki, na którym się nie będę nudził. Inne dyscypliny humanistyczne, jak socjologia, mogłyby się nie przydać. Z kolei prawo, które brałem pod uwagę jako inny kierunek przyszłościowy, raczej by mnie nie zainteresowało.

– To był pierwszy i jedyny wybór, dokonany dawno temu, i będący wynikiem prawdziwego zainteresowania – stwierdziła Ania z II roku psychologii na krakowskim Ignatianum. – Widzę siebie w tym zawodzie, ale jako psychoterapeutka. Raczej nie w publicznej instytucji, bo w ten sposób trudno się utrzymać.

Nikt tego nie powie wprost

Pasja i pragmatyka. Zainteresowania i realia rynku. Te dwa zestawy uzasadnień przeplatają się ze sobą nie tylko w pojedynczych losach, ale też w uchwyconych przez badaczy – niestety nielicznych – pomiarach studenckich motywacji.

Raport SW Research z 2018 r. pokazał, że pierwszorzędnym czynnikiem przy wyborze studiów były zainteresowania. Wskazało na nie 62 proc. pytanych, 40 proc. zaś akcentowało „późniejsze oferty na rynku pracy" (badanie było niereprezentatywne, przepytano 152 osoby). Z kolei znacznie świeższy, bo ogłoszony w kwietniu tego roku raport z badań ilościowych na zlecenie Politechniki Wrocławskiej pokazał nieco inne proporcje odpowiedzi.

Ponad tysiąc uczniów liceów i techników zapytano m.in. o poglądy nt. studiów, dając możliwość wybrania pięciu spośród zestawu gotowych odpowiedzi. Na studia jako „okazję do rozwoju osobistego i poszerzania horyzontów" wskazało 40 proc. pytanych, ale dwie kolejne odpowiedzi – „wyższe wykształcenie jest kluczowe do osiągnięcia sukcesu zawodowego" oraz stanowi „niezbędny krok do kariery zawodowej" – w sumie wybrało niemal 60 proc. W odpowiedzi na pytanie o czynniki motywujące do podjęcia studiów większość wskazała na studiowanie jako lepszą perspektywę zawodową (61,4 proc.) i inwestycję w przyszłość (39 proc.), a tylko mniej niż co szósty (14,5 proc.) na „pasję i głębokie zainteresowanie".

Według dr. hab. Mikołaja Jasińskiego, socjologa Uniwersytetu Warszawskiego, a zarazem kierownika zespołu Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego analizującego dane z ogólnopolskiego systemu monitorowania Ekonomicznych Losów Absolwentów szkół wyższych (ELA), wybory dzisiejszych studentów coraz bardziej się pragmatyzują, ale czynnik pasji pozostaje jednym z istotniejszych. – Sam swoim dzieciom, dziś w wieku 23, 25 i 27 lat, mówiłem: „Idź za pasją, ale też miej wiedzę, ile to daje kasy". Dzisiaj młodzi ludzie poszukują nadal drogi zgodnej ze swoimi marzeniami, ale racjonalizują swoje wybory, spoglądając na realia rynku pracy. ↦

Odbiciem tego są dane dotyczące najpopularniejszych kierunków. Tylko w roku akademickim 2023/2024 na informatykę – to nie po raz pierwszy lider zestawienia – zgłosiło się ponad 43 tys. kandydatów, na psychologię ponad 42 tys., na zarządzanie ponad 33 tys., na medycynę (kierunek lekarski) ponad 32 tys., a na prawo 23 tys. osób (kolejne w pierwszej dziesiątce ekonomia, finanse i rachunkowość, fizjoterapia, anglistyka oraz pielęgniarstwo – to już „tylko" po kilkanaście tysięcy kandydatów).

Według Magdaleny Kwak-Wójcik, doradczyni z Biura Karier Centrum Wsparcia Dydaktyki UJ, za każdym z „topowych" kierunków stoi inny zestaw motywacji. – W przypadku prawa i medycyny dużą rolę odgrywa od lat prestiż związany z tymi dyscyplinami – uważa doradczyni. – Psychologia jest dla wielu kandydatów interesującym kierunkiem, dającym szerokie możliwości na rynku pracy, biorąc pod uwagę zmieniające się społeczeństwo i jego potrzeby związane ze zdrowiem psychicznym. Za popularnością informatyki stoi rozwój technologiczny i popularność takich tematów jak np. sztuczna inteligencja.

Szczególnie ciekawa, bo „trendująca" w ostatnich latach, jest psychologia. Jak wynika z analizy „Studia psychologiczne w Polsce. Raport za lata 2019-2023" (wspólna praca ekspertów UJ i SWPS), przez pięć lat liczba uczelnianych ofert w tej dziedzinie wzrosła ze 144 do 254, a studentów tego kierunku – z ponad 34 do 56 tys.

– Na naszych kierunkach, czyli polonistyce i germanistyce, jest sporo osób, które są tutaj, bo nie dostały się właśnie na psychologię – mówią Ania z Rolandem.

– Krąży żart, że tutaj idzie się dla autoterapii, ale to oczywiście uproszczenie – mówi druga Ania, studentka psychologii na Ignatianum. Kiedy łączymy się pod koniec września, od kilku dni jest w Hiszpanii w ramach programu Erasmus. – U większości przeważają inne motywy. Spotkałam się z osobami, które przyszły tu ze względu na opinię dochodowej i pewnej rynkowo dziedziny, ale wiele z takich osób zdążyło już odpaść. Inni wybrali psychologię świadomie, kierując się zainteresowaniem, i mają jasno sprecyzowane plany – chcą np. po studiach iść na kurs psychoterapeutyczny i otworzyć własny gabinet.

GRAŻYNA MAKARA X2

ROLAND, STUDENT POLONISTYKI NA UNIWERSYTECIE ŚLĄSKIM,
wybrał specjalizację nauczycielską świadomie: dla niego szkoła to gwarancja pracy.

ANIA, STUDENTKA KOMUNIKACJI INTERKULTUROWEJ W BIZNESIE NA UŚ,
nie chce być nauczycielką: wykładowy niemiecki wykorzysta w korporacji.

Co powoduje kandydatami wybierającymi inne kierunki?

– Fizjoterapia jest przyszłościowa – mówi Jakub – bo otwiera drogę do specjalizacji, których do wyboru mamy ogromną liczbę i które są zróżnicowane.

– Nikt nie powie wprost, że wybrał informatykę dla pieniędzy, ale to na tym kierunku istotny czynnik – uważa Bartek. – Gdy zaczynałem technikum informatyczne, większość chłopaków to byli pasjonaci. Ale potem przyszedł boom na tę dziedzinę i czynnik ekonomiczny na pewno zyskał na wartości.

Choć wyraźnej zmiany nie widać w danych dotyczących akademickich motywacji, według prof. Jasińskiego zmiana ta jest dostrzegalna w ścieżkach życiowych studentów. – Dawniej się dorabiało, sam nosiłem stalowe szyny, by jeszcze podczas nauki mieć środki na własne potrzeby – mówi socjolog. – Teraz coraz więcej studentów prowadzi świadomą karierę zawodową.

Kiedyś dorabiali, dziś zarabiają

Gdy pod koniec września łączę się przez Messengera z Bartkiem (III rok informatyki), w tle widzę ulice i parking nieopodal centrum Stambułu. – Jestem z kolegami na wycieczce, za moment idziemy razem zwiedzić meczet Hagia Sophia – mówi Bartek zdyszanym głosem. Wycieczkę sfinansował sobie sam, podobnie jak finansuje codzienne życie – pracuje na część etatu w niewielkim start-upie, gdzie współprojektuje aplikacje internetowe.

Ogłoszone właśnie przez Pracownię Ewaluacji Jakości Kształcenia UW „Ogólnouniwersyteckie badanie sytuacji bytowej osób studiujących" pokazało, że w ciągu poprzedniego roku akademickiego 66 proc. pytanych zarobkowało, a 51 proc. pracowało w kwietniu 2024, czyli w momencie przeprowadzania pomiaru. Co ważne, masowo w trakcie poprzedniego roku akademickiego pracowali też uczestnicy studiów stacjonarnych (62 proc.) i studenci pierwszego roku (51 proc.).

– Coraz częściej w momencie otrzymania dyplomu absolwent może się pochwalić kilkuletnim doświadczeniem zawodowym – komentuje Magdalena Kwak-Wójcik. – W ten sposób zaciera się twardy niegdyś podział na etap nauki i etap kariery.

– Z roku na rok widać poprawę sytuacji absolwentów w momencie kończenia studiów – mówi prof. Jasiński. To wniosek z twardych danych: baza ELA pozwala na analizę – m.in. na bazie danych z ZUS – sytuacji bytowej i zarobków absolwentów do pięciu lat po ukończeniu przez nich studiów. – Oni mają się coraz lepiej także w świetle względnego wskaźnika zarobków, który opracowaliśmy, by rzetelnie porównywać sytuację absolwentów z roku na rok niezależnie od bieżącej sytuacji ekonomicznej. Im dłużej się bazie ELA przyglądam, tym większą

Tak studiuje Polska

▪ **354 UCZELNIE** wyższe działały w Polsce w roku akademickim 2023/2024, a kształciło się na nich (stan na koniec ubiegłego roku) ponad 1 240 tys. studentów. Wśród wszystkich uczących się większość stanowiły kobiety (ponad 58 proc.), a jeśli chodzi o tryb nauki, przeważali słuchacze kursów stacjonarnych (63,5 proc.) i uczestnicy studiów pierwszego stopnia (ponad 60 proc., wobec ponad 19 proc. studentów drugiego stopnia i 19 proc. uczestników jednolitych studiów magisterskich). Wzrasta w ostatnich latach odsetek cudzoziemców na polskich uczelniach. W 2019 r. wynosił on 6,6 proc., obecnie przekracza 8 proc. W roku akademickim 2023/2024 studiowało w Polsce ponad 107 tys. obywateli innych państw, z czego najwięcej było Ukraińców (46 tys., czyli niemal połowa ogółu), Białorusinów (12 tys.) i Turków (4,8 tys.).

▪ **PONAD 240 TYS.** osób otrzymało dyplomy ukończenia polskich uczelni wyższych w ubiegłym roku akademickim. W tej grupie przeważali kończący kierunki z grup: biznes, administracja i prawo (niemal co czwarty absolwent), technika, przemysł i budownictwo oraz zdrowie i opieka społeczna (obie grupy ponad 13 proc.). Wśród tegorocznych absolwentów było ponad 17 tys. cudzoziemców, z czego niemal 40 proc. stanowili Ukraińcy.

▪ **NAJWIĘKSZĄ POLSKĄ UCZELNIĄ** pod względem liczby studentów jest Uniwersytet Warszawski, na którym pod koniec 2022 r. uczyło się ponad 36 tys. osób. Drugi był Uniwersytet Jagielloński z 34 tys. słuchaczy, a trzeci poznański UAM – z niemal 30 tys. studentów. Największą uczelnią techniczną pozostaje Politechnika Warszawska.

▪ **DALEKIE MIEJSCA** zajmują polskie szkoły wyższe w światowych zestawieniach akademickich. W ogłoszonej w czerwcu tego roku 21. edycji rankingu QS World University Rankings, obejmującej ponad półtora tysiąca placówek, najwyższe, 258. miejsce zajął Uniwersytet Warszawski, 312. Uniwersytet Jagielloński, a 527. lokatę miała Politechnika Warszawska.

©℗ PW

zyskuję pewność, że młode pokolenia są bardzo racjonalne. Ich świadome strategie rynkowe napawają mnie szacunkiem – mówi socjolog UW.

Mniejszym optymizmem napawa wgląd w przyczyny, dla których studenci jeszcze podczas nauki podejmują pracę. Aż 45 proc. tych przepytywanych na UW zarabia z konieczności, i dotyczy to także studentów stacjonarnych (tu na konieczność wskazuje 40 proc.). Ilu młodych na studia nie poszło, bo mieszkają poza ośrodkami akademickimi, a horrendalne ceny wynajmu przekroczyły ich możliwości – tego nie da się nawet oszacować.

Wiadomo, jak wielu ze studiów rezygnuje. Stworzony przez Ośrodek Przetwarzania Informacji raport „Zjawisko drop-outu na polskich uczelniach" pokazał, że w latach 2012-2020 ponad 1,3 mln osób rzuciło studia i w ciągu roku nie podjęło ich ponownie, co stanowiło aż 40 proc. całej populacji studiujących w tym okresie. To na tyle dużo, i na tyle więcej, niż wynosi europejska średnia, że zjawisko uznano za plagę, a Narodowe Centrum Badań i Rozwoju rozpisało konkurs w ramach programu Fundusze Europejskie dla Rozwoju Społecznego. Uczelnie mogą się ubiegać o środki, jeśli przedstawią wiarygodną strategię walki z własnymi drop-outami.

Ich przyczyny, zaznaczają autorzy raportu OPI, są złożone, ale wśród nich widać również te ekonomiczne. Należą do nich m.in. poziom opłat, indywidualna sytuacja finansowa i konieczność podjęcia pracy. Wśród pozaekonomicznych czynników znalazły się choćby: poziom studiów, niewłaściwa wedle studentów proporcja przekazywanej wiedzy teoretycznej do praktycznej czy mało elastyczne podejście do planu zajęć.

– Wielu studentów zderza się z inną rzeczywistością niż ta, której się spodziewali – komentuje Anna Marciniak, kierowniczka Sekcji Programów UE w NCBR. – Bywa, że czego innego oczekiwali po danym kierunku, innym razem są zawiedzeni programem studiów albo formą przekazu. Systemowo zawodzi na pewno współpraca pomiędzy szkołami a uczelniami. Absolwenci wkraczają nagle w świat, który jest dla nich obcy.

– Niektóre kierunki mają wizerunek niezgodny z tym, czym są – dodaje prof. Jasiński. – Był czas, gdy niejeden student idący na archeologię był przekonany, że będzie Indianą Jonesem. Do dziś niektórzy nowi studenci anglistyki są zaskoczeni, że nie trafili na zaawansowany kurs językowy, ci z psychologii, że nie będą uczeni, jak się prowadzi psychoterapię, a ci z ekonomii nie przejdą przyspieszonego kursu prowadzenia biznesu.

– Często pierwszy wybór studiów to wypadkowa pasji. Jeśli decyzja nie jest przemyślana, kończy się to rezygnacją. Brat, który studiował filmoznawstwo, spotykał osoby, które poszły na te studia, „bo lubią filmy" – mówi Roland. Jego dziewczyna Ania przyznaje, że sama padła w pewnym sensie ofiarą podobnego zjawiska. – Idąc na kierunek z wiodącym niemieckim myślałam, że będę się uczyć, jak tłumaczyć literaturę – śmieje się studentka. – Potem mi uświadomiono, że owszem, to można robić po godzinach, ale z literackich tłumaczeń nie da się nawet utrzymać, a na studiach uczą dziesiątek innych rzeczy.

Wyobrażenia dotyczące kierunku łatwo skorygować jego zmianą. Co z oczekiwaniami wobec „premii", jakie dany kierunek może dać po uzyskaniu stopnia magistra?

Psycholog się nie wzbogaci

O odpowiedź na to pytanie poprosiłem prof. Jasińskiego, a także współpracującego z nim dr. Marka Bożykowskiego. W bazie obsługiwanego przez badaczy systemu ELA sprawdziliśmy, jakie są średnie zarobki absolwentów pięciu topowych polskich kierunków pięć lat po uzyskaniu dyplomu (na analizę więcej niż pięciu lat danych z ZUS nie pozwala ustawa).

Główny wniosek kwerendy? Rzeczywiście duże zarobki gwarantują statystycznie w tak krótkim czasie tylko dwa z owych pięciu kierunków – medycyna i informatyka. Choć lekarze, którzy uzyskali dyplom w 2018 r., na początku wykazują relatywnie niskie dochody ze względu na odbywany staż, po pięciu latach zarabiają już przeciętnie ok. 13 tys. złotych brutto. I to z samego etatu oraz prac zleconych, gdyż baza ELA nie obejmuje zarobków z tytułu działalności gospodarczej. – A że mamy do czynienia z bodaj najbardziej zapracowaną ↦

grupą zawodową w Polsce, to należy pamiętać, że wielu „etatowców" dorabia już po 5 latach w prywatnych gabinetach – mówią socjolodzy z UW i OPI PIB.

Całkiem podobnie wygląda sytuacja informatyków. – Choć tutaj analiza nie jest tak prosta, bo liczba kierunków z „informatyką" w nazwie jest bardzo duża – zastrzega dr Bożykowski. – Jednak średnia dla nich wszystkich pięć lat po uzyskaniu dyplomu wynosi przeciętnie ponad 13 tys. brutto z samego etatu.

– Moi starsi koledzy kończący informatykę są „zgarniani" przez korporacje i dostają na dzień dobry około 12 tys. – potwierdza Bartek. Bywa i lepiej: system ELA pokazuje np., że przeciętny absolwent informatycznych studiów II stopnia na Wydziale Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Wrocławskiego zarobi już w pierwszym roku po dyplomie 15 900 zł. – Karierę robią też wszelkie studia z „analizą danych" w nazwie – słyszę od prof. Jasińskiego. – Coraz częściej powtarzane zdanie, że dane to nowa ropa świata, ma tu zastosowanie.

Na medycynie i informatyce kończy się – przynajmniej jeśli idzie o kierunki topowe – polskie ekonomiczne eldorado. Zarządzanie to w pięć lat po ukończeniu studiów rozpoczętych w 2018 roku statystycznie 7100 zł brutto z etatu, prawo 6600 zł, a psychologia – 6300 zł.

– W przypadku prawa zarobki są odłożone w czasie, bo musimy doliczyć trwanie aplikacji – słyszę od analityków ELA.

> Rzeczywiście duże zarobki gwarantują statystycznie w pięć lat po dyplomie tylko medycyna i informatyka – ok. 13 tys. zł z etatu. Zarządzanie to 7100 zł brutto, prawo 6600 zł, a psychologia 6300 zł.

– Psychologia daje zaskakująco niską w porównaniu z popularnością kierunku stopę zwrotu, ale aż 25 proc. absolwentów tego kierunku to po pięciu latach od dyplomu samozatrudnieni, dla których część zarobków nie jest uwzględniona w systemie ELA – zastrzegają prof. Jasiński i dr Bożykowski.

W przypadku psychologii trudno też zgadnąć, co będzie za pięć, dziesięć lat. O ile plaga problemów psychicznych wydaje się niestety pewnikiem, o tyle trudno wyrokować, czy obecna nadprodukcja magistrów tego kierunku nie wysyci wkrótce rynku. – Nie boję się tego – wyznaje Ania (II rok psychologii na Ignatianum). – Dużo osób odpada, bo to studia trudne i wymagające. Żeby się utrzymać, trzeba mieć dużo serca do tej dyscypliny. Dlatego mam nadzieję, że ci, którzy jednak wytrzymają, za ileś lat się przydadzą.

Autorzy cytowanego już raportu „Studia psychologiczne w Polsce..." mają jednak swoje obawy. Trend wzrostowy „produkcji" magistrów to w dużej mierze pokłosie otwierania kierunków przez trudne do sprawdzenia uczelnie (w 2022 r. 23 tys. osób, czyli aż 40 proc. wszystkich studentów psychologii, „studiowało w uczelniach, które nie poddały się ewaluacji naukowej"). Różna jest też zawartość „psychologii w psychologii" – program studiów z tą dyscypliną w nazwie odbiega często od akademickiej wersji psychologicznego wykształcenia.

Prof. Jasińskiemu i dr. Bożykowskiemu zadaję jeszcze jedno zasadnicze pytanie: czy w Polsce opłacają się studia jako takie? Czy przeciętny polski posiadacz dyplomu magistra ma się lepiej od jego rówieśnika i sąsiada, który tego tytułu nie uzyskał?

– Niewątpliwie tak – odpowiada bez wahania prof. Jasiński. – A najlepiej widać to, gdy porównamy przeciętnych absolwentów do tzw. drop-outerów, a więc osób, które przerwały studia. W tym zestawieniu porównajmy sobie np. tych, którzy razem poszli na studia II stopnia w 2018 r. Co ciekawe, w pierwszym roku po rezygnacji drop-outer zarabia przeciętnie nieco więcej niż absolwent w pierwszym roku po magisterce: to 81 proc. średniej pensji na jego / jej lokalnym rynku pracy wobec 80 proc. absolwenta. Być może jest tak dlatego, że osoba

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marek Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

rezygnująca ze studiów robi to często z powodu konkretnej oferty pracy.

Jednak z czasem, dodają socjolodzy z UW i OPI PIB, przeciętny absolwent zyskuje, wyprzedzając drop-outera już w drugim roku. A po pięciu latach zarabia ponad 100 proc. średniej na jego lokalnym rynku pracy, podczas gdy pracownik bez dyplomu pozostaje wyraźnie poniżej tej granicy. Co ważne, zaznaczają badacze, wszystkie wspomniane ekonomiczne walory dotyczą, wbrew stereotypom, także uczelni prowincjonalnych. – Ich absolwenci, co udowodniliśmy w niedawnym raporcie, są liderami i na swoich lokalnych rynkach pracy, i niejednokrotnie w dużych miastach, do których trafiają po dyplomie – mówią prof. Jasiński i dr Bożykowski.

Nie tylko pieniądze

– Nie spotykacie się z zarzutem, że dane takie jak te z ELA wyrządzają więcej szkód niż pożytków? – pytam na odchodne badaczy UW i OPI PIB, precyzując, że chodzi mi o instrumentalizację studiów, których walory są przecież szersze niż tylko przygotowanie do zawodu.

– Spotykamy się, i to często – odpowiada prof. Jasiński. – To najczęściej zarzut, że sprowadzamy studia do bezdusznych cyferek. Odpowiadam wtedy, że dla mnie baza ELA ma charakter misyjny. Tak, misyjny, bo przywraca jako taką równowagę między pracodawcami a niedoświadczonymi pracownikami. Kiedyś pracodawca mógł niemal wszystko, np. rzucić dowolną kwotę przyszłej pensji, a kandydat na pracownika nie mógł zweryfikować, czy nie jest oszukiwany. Dzięki bazie ELA jest w stanie precyzyjnie ustalić, na jaki zarobek po danym kierunku na danej uczelni może liczyć X lat po uzyskaniu dyplomu.

– A co do innych walorów studiów, studenci je doceniają – mówią socjolodzy. – Gdy pytamy na UW w ankietach o wartości płynące z nauki, wskazują np. na ogólne wykształcenie i sieci społeczne. Po prostu wiedzą, że człowiek, który przez pięć lat przechodził przez wyzwania intelektualne, jest lepiej wyuczalny. I że lepiej sobie poradzi. Tak w pracy, jak i poza nią.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Współpraca: DOMINIK BEREZOWSKI

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN

Monika Ochędowska:

Chcę patrzeć na literaturę szerzej, opowiadając o książkach przez pryzmat aktualnych wydarzeń. Wierzę, że opowieści powstające w tym samym czasie w różnych miejscach mają moc komunikowania się ze sobą, tworząc mapę naszych emocji, pragnień i lęków.

Na zdjęciu w towarzystwie koleżanek z „Tygodnika": Anny Łabuszewskiej, Eweliny Burdy, Urszuli Honek, Anny Golus, Anny Goc i Katarzyny Kubisiowskiej

Autorki „Tygodnika" odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.

powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę

OPP

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Pokonać Boga

Przed żydowskim nowym rokiem w synagogach czytamy fragment z Księgi Powtórzonego Prawa zawierający następujące wersy: „Gdyż przykazanie to, które ci przykazuję dzisiaj, ani niedościgłém dla ciebie, ani dalekiém; Nie na niebie ono... Ani za morzem ono... Lecz nader bliskiém tobie... abyś je pełnił!" (Pwt 30, 11-14; Cylkow). „Przykazanie to" – na podstawie kontekstu – dotyczy nawrócenia się do Najwyższego; można je też rozszerzyć na ogół przykazań. Podstawowy przekaz będzie ten sam: spełnianie Bożych oczekiwań nie przekracza naszych możliwości, lecz jest dla nas jak najbardziej wykonalne. Słowa „nie na niebie ono" / „nie jest w niebie" padają w Talmudzie w słynnej opowieści o dyspucie prawnej między rabinami. Ich wydźwięk tamże wydaje mi się w stosunku do oryginału subwersywny. Czy dla Państwa to też brzmi *à rebours*?

Oto ta dysputa: jej przedmiot nie jest istotny, w każdym razie rabin Eliezer syn Hurkanosa ma w pewnej kwestii przeciw sobie wszystkich innych zgromadzonych w domu nauki rabinów. Przytacza on wszystkie możliwe logiczne argumenty, lecz oponenci pozostają niewzruszeni. Rabin Eliezer w końcu mówi: „Jeśli prawo jest zgodne z moim stanowiskiem, udowodni to drzewo chleba świętojańskiego".

Drzewo przemieszcza się na znaczną odległość, ale rabini mówią, że to nie dowód. Rabin Eliezer próbuje więc z rzeką, która na potwierdzenie jego tezy zaczyna płynąć w drugim kierunku. Znów ta sama reakcja dyskutantów! Trzecia próba: jeśli rabin Eliezer ma rację, ściany domu nauki tego dowiodą. Ściany lekko się pochylają, ale zostają zbesztane przez rabina Jehoszuę syna Chananii. Z szacunku dla obu uczonych mężów ani nie ruszają się dalej, ani nie wracają do pierwotnej pozycji. Rabin Eliezer prosi niebo o interwencję. Wówczas rozlega się głos z nieba, przyznający mu rację. Na to rabin Jehoszua cytuje Pismo: „Nie jest w niebie".

Znaczenie tego cytatu w tym kontekście wyłuszcza rabin Jeremiasz: Tora została już nadana na Synaju i odtąd nie bierzemy pod uwagę głosu z nieba. Decyduje większość (to interpretacja Wj 23, 2, niekoniecznie dająca się wyłowić z tłumaczenia). Prorok Eliasz, zapytany wiele lat później o reakcję Najwyższego na takie *dictum*, odpowiada: „Święty – oby był błogosławiony – uśmiechnął się i przyznał: »Moje dzieci Mnie pokonały«". ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Giętka doktryna

„Mężczyzna opuści ojca swego i matkę i złączy się ze swoją żoną. I staną się dwoje jednym ciałem. I tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Tego więc, co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela!". Tymczasem w Konstytucji dogmatycznej o Kościele czytamy: „Bóg udziela niektórym ludziom (łaski), aby w dziewictwie czy celibacie niepodzielnym sercem łatwiej poświęcali się samemu tylko Bogu". Czyli co: my, celibatariusze, idziemy na łatwiznę?

Ksiądz grekokatolicki, ojciec sześciorga dzieci, błogosławiony Emilian Kowcz, zamordowany na Majdanku, tak pisał do żony: „Dziękuję Bogu za Jego miłość do mnie. Oprócz nieba, jest to jedyne miejsce, w jakim pragnę pozostawać. Tu widzę Boga niezależnie od różnic religijnych, które są między nami. Gdy odprawiam Liturgię, wszyscy się modlą razem, a ja pomagam im przejść próg śmierci. Każdego dnia tysiąckroć dziękuję Bogu, że posłał mnie tu. Nie śmiem go prosić o nic więcej. Nie rozpaczajcie za mną – radujcie się ze mną! Módlcie się za twórców tego obozu i tej ideologii. Niech Bóg zmiłuje się nad nimi". Podobnie prawosławni duchowni wspominają, że pamięć o rodzinie pomagała im przetrwać łagry. A luteranin, ks. Dietrich Bonhoeffer, który zaraz po zaręczynach został stracony w obozie koncentracyjnym, oddając życie – oddawał je połowicznie, jedną część Bogu, a drugą ludziom, czy też w całości jednocześnie ludziom i Bogu.

Kard. Robert Sarah twierdzi, że udzielanie święceń kapłańskich żonatym mężczyznom „definitywnie przełamie Tradycję apostolską". Czyżby? Według Pawła biskupem powinien być mężczyzna żonaty, „umiejętnie zarządzający własnym domem (...), bo kto nie umie zarządzać własnym domem, jak będzie zdolny troszczyć się o Kościół Boży?". Nie bez powodu Franciszek w Dżakarcie mówił do duchownych: „Są tacy ludzie, którzy boją się współczucia (...) trzymając się z dala od wszystkich, nie pozwalając się »dotknąć« przez cokolwiek lub kogokolwiek". Ale „tym, co napędza świat, jest miłosierdzie, które daje siebie. To prowadzi naprzód. A współczucie sprawia, że widzimy rzeczy lepiej oczami serca". A co do Tradycji, to kard. Avery Dulles SJ mówi: „Gdyby dogmat był nieelastyczny, to byłby niezmiernie kruchy; ponieważ ma on wewnętrzną giętkość, może przetrwać i przetrwa". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
W poszukiwaniu sensu

Kochać to,
co jest skazane
na zniszczenie,
wiedząc, że jest skazane
na zniszczenie.

SIMONE WEIL

Są dwa rodzaje szaleństwa.
Jedno pochodzi
z choroby ludzkiej.
Drugie – z udzielonego
przez bogów
przekroczenia miary
możliwości ludzkich.

SOKRATES

Wybrał PIOTR SIKORA

„Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: Jest czas rodzenia się i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono (...); czas burzenia i czas budowania; czas płaczu i czas śmiechu” – z tym przepięknym, poetyckim tekstem Koheleta (Koh 3, 1-11) liturgia skonfrontowała nas w miniony piątek.

Kohelet zestawia aż czternaście takich „par” momentów składających się na ludzkie życie, momentów zwyczajnych i powszechnych (milczenie–mówienie; miłość–nienawiść; pieszczoty i wstrzemięźliwość itd.), a nie nadzwyczajnych i wyjątkowych. Liczby w Biblii są ważne: czternaście to podwojenie cyfry siedem oznaczającej pełnię. A więc każdy moment rozciągający się w życiu człowieka od urodzenia do śmierci („czas rodzenia się i czas umierania”) jest sensowny.

Skąd bierze się ten sens? Kohelet odpowiada: stąd, że pierwszym działającym w każdym czasie jest sam Bóg: „Wszystko pięknie uczynił w swoim czasie”. Po stronie człowieka jest rozeznanie działania Bożego i włączenie się w nie. To piękne: mieć możliwość bycia współpracownikiem Boga. To bardzo piękne zwłaszcza wtedy, gdy nie od razu widzimy sens. Gdy nie rozumiem tego, co się dzieje, gdy wszystko wydaje mi się bez sensu i bez celu. Jest tak – mówi Kohelet – gdyż „człowiek nie pojmuje dzieł, jakich Bóg dokonuje od początku do końca” (w. 11). Boże działanie, motywy, cele całkiem nierzadko zdają się nam zakryte. W jaki sposób mogę w nich wtedy uczestniczyć, skoro nie rozumiem?

Odpowiedź brzmi: na mocy zaufania. Nie rozumiem (albo: nie rozumiem do końca) tego, co się dzieje, ale mam głębokie zaufanie do Tego, który dokonuje tych rzeczy, który znalazł dla nich właściwy im czas, który trzyma rzeczywistość w swoich dłoniach.

To nie rezygnacja, to nadzieja! Skąd się ona bierze w człowieku? Tu pada przepiękna odpowiedź Koheleta. Kryje się ona w zdaniu: „[Bóg] dał im [ludziom] nawet wyobrażenie o dziejach świata” – tak brzmi tłumaczenie zawarte w lekcjonarzu. W wielu wydaniach Pisma Świętego (z Wulgatą włącznie) zdanie to brzmi: „umieścił wieczność w ich sercach”.

Człowiek z „wiecznością w sercu” nie żyje jedynie tym, co „tu i teraz”, nie daje się zredukować do doczesności i tymczasowości. Jego nadzieja zakorzeniona jest znacznie dalej i głębiej: w oczekiwaniu spotkania, które wszystko rozjaśni i objawi do końca każdy sens. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 X)

27. niedziela zwykła: Rdz 2, 18-24; Ps 128; Hbr 2, 9-11; Mk 10, 2-16;
Poniedziałek: Ga 1, 6-12; Ps 111; Łk 10, 25-37;
Wtorek: Ga 1, 13-24; Ps 139; Łk 10, 38-42;
Środa: Ga 2, 1-2. 7-14; Ps 117; Łk 11, 1-4;
Czwartek: Ga 3, 1-5; Łk 1; Łk 11, 5-13;
Piątek: Ga 3, 7-14; Ps 111; Łk 11, 15-26;
Sobota: Ga 3, 22-29; Ps 105; Łk 11, 27-28;
28. niedziela zwykła: Mdr 7, 7-11; Ps 90; Hbr 4, 12-13; Mk 10, 17-30.

KRAJ

KTO POSTAWIŁ TAMĘ KONTROLOM

Czy zaporę w Stroniu Śląskim rzeczywiście przerosła skala ostatniej powodzi, czy też formalnym zabiegiem ukryto jej pogarszający się stan techniczny? Na to pytanie Wody Polskie muszą odpowiedzieć. Publicznie.

MAREK RABIJ

W pierwszych sekundach wysoka na ponad 40 metrów fala poruszała się z prędkością około 70 kilometrów na godzinę. Zanim dotarła do sennego francuskiego miasteczka Fréjus, co zajęło jej około 20 minut, zmiotła na swej drodze wsie Malpasset i Bozon oraz przemknęła przez pobliską autostradę. We Fréjus fala miała już tylko trzy metry wysokości i poruszała się – jak szacowali potem śledczy – z prędkością człowieka jadącego rowerem. W wyniku zawalenia się tamy Malpasset – jednej z najgłośniejszych katastrof budowli hydrotechnicznych na świecie – zginęły 423 osoby. Do zdarzenia doszło 2 grudnia 1959 r. po godzinie 21.00 i woda zaskoczyła wiele ofiar we śnie. Straty materialne oszacowano na równowartość ówczesnych 68 mln dolarów.

PAWEŁ RELIKOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Zapora w Stroniu Śląskim wytrzymała napór wody. Poddało się obwałowanie zbiornika retencyjnego. 17 września 2024 r.

Awaria co dwa dni

Przypadek Fréjus bywa często przywoływany w dyskusjach o roli zapór i zbiorników retencyjnych w polityce przeciwpowodziowej. Takie budowle bez wątpienia pozwalają do pewnego stopnia kontrolować przebieg powodzi. Stosunkowo łatwo mogą jednak zamienić się w jej katalizator: błędy konstrukcyjne, niedopatrzenia w konserwacji czy wreszcie pomyłki obsługi w niesprzyjających okolicznościach sprawiają, że woda zgromadzona w zbiorniku retencyjnym przerywa zaporę i w niekontrolowany sposób spada na położone niżej miejscowości.

We Fréjus w momencie katastrofy nie było filmowców – mamy jedynie nagrania spustoszeń, jakich dokonała fala. Jednoznaczna przyczyna nie została dotąd ustalona, najprawdopodobniej doszło jednak do błędów na etapie projektowania i budowy, którą ukończono zaledwie pięć lat wcześniej.

W Stroniu Śląskim, na które w południe 15 września spłynęły wody ze zbiornika retencyjnego na Morawce, siłę żywiołu uwolnionego z gorsetu tamtejszych instalacji przeciwpowodziowych uwiecznili telefonami mieszkańcy. Przyczyn katastrofy poszuka teraz prokuratura, która zbada stan techniczny obiektu. Tamtejsza zapora i zbiornik w chwili katastrofy liczyły 116 lat. Pod tym względem nie były jednak wyjątkiem. W Europie – jak pisali w 2021 r. autorzy raportu o zagrożeniu, którym jest szybko starzejąca się infrastruktura hydrologiczna – blisko połowa z niemal ośmiu tysięcy dużych tam liczy od 50 do 100 lat. A co dziesiąta – od 100 do 500 lat. W Wielkiej Brytanii średni wiek takiej instalacji wynosi już 106 lat.

Autorzy wspomnianego raportu zebrali również dostępne dane o awariach zapór na całym świecie. Podkreślali w nim, że ryzyko katastrofy wywołanej pęknięciem takiej budowli rośnie z każdym rokiem. Jeszcze w latach 1950-2004 liczba awarii tam na całym świecie nie przekraczała 25 rocznie. W latach 2005-2009 wzrosła już średnio do 73 rocznie. W pierwszej połowie minionej dekady skoczyła do 98 rocznie, by w latach 2015-2019 osiągnąć liczbę 174 przypadków w skali roku – czyli średnio co dwa dni.

Te zabytki myśli inżynieryjnej z każdym rokiem stanowią więc coraz poważniejsze zagrożenie dla okolicznych mieszkańców, a w coraz mniejszym stopniu są przewidywalnym elementem systemu regulacji poziomu wód powierzchniowych.

Gra w klasy

W poprzednim numerze „Tygodnika", analizując pierwsze reakcje instytucji państwa na powódź, pisaliśmy, że „w zeszłorocznym raporcie Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej o stanie technicznym 108 budowli piętrzących na terenie kraju, kondycję aż 23 oceniono jako niedostateczną, a 18 opisano po prostu jako niebezpieczne dla okolicy. Część z tych zapór od dawna spiętrza wodę poniżej stanu przewidzianego przez konstruktorów, bo nie wytrzymałyby większego naporu. Stan techniczny 53 proc. tam i zbiorników oceniono na dostateczny, a tylko 26 proc. uznano za dobry. Wśród regionów z infrastrukturą w najgorszym stanie znalazło się Dolnośląskie. Aż osiem z 25 budowli piętrzących podlegających pod Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej we Wrocławiu nie spełniało w 2023 r. minimów technicznych, a pięć uznano za groźne dla otoczenia".

Biuro Prasowe IMGW nie odpowiedziało nam wtedy na pytanie, czy na liście obiektów zagrażających bezpieczeństwu tysięcy ludzi była także przeszło stuletnia zapora na Morawce w Stroniu Śląskim. Odpowiedź przyszła dopiero po zamknięciu poprzedniego numeru. Jak się okazuje, tamtejszy zbiornik i tama nie podlegały kurateli IMGW, bo działające przy nim Centrum Technicznej Kontroli Zapór zgodnie z prawem zajmuje się tylko obiektami klasy pierwszej i drugiej. Budowle w Stroniu były natomiast instalacjami klasy trzeciej.

Według nieoficjalnych informacji, zmiany zaszeregowania obiektu dokonano w roku 2021. Po szczegóły IMGW odesłał nas jednak do zarządzających obiektem Wód Polskich.

Wyjaśnijmy: wszystkie znajdujące się na terenie Polski budowle, piętrzące wodę o wysokości powyżej pół metra, są przypisane do jednej z czterech klas ważności. Instalacje o największym znaczeniu dla gospodarki wodnej i te, których awaria mogłaby wiązać się ze szczególnym zagrożeniem dla ludzi i mienia, należą do klasy pierwszej i drugiej. ↦

W ubiegłym roku do obu tych grup zaszeregowano łącznie 108 obiektów, w tym m.in. zapory w Goczałkowicach, Solinie, Tresnej i Jeziorsku, które są obiektami pierwszej klasy. Instalacje w Chańczy czy zbiornik Świerklaniec zaklasyfikowano oczko niżej.

Dla każdej z klas przepisy przewidują nieco inne zasady eksploatacji, np. w odniesieniu do tam pierwszej i drugiej kategorii wymagają przygotowania planów ewakuacyjnych, których nie trzeba opracowywać dla pozostałych zbiorników zaporowych. Dwie pierwsze klasy wymagają również zdublowania systemów łączności (np. telefony plus krótkofalówki), które pozwolą skutecznie zawiadomić inne służby o potencjalnym zagrożeniu. W kontekście zapory w Stroniu Śląskim brak tego ostatniego wymogu mógł okazać się brzemienny w skutkach: tuż po powodzi kłodzcy samorządowcy oskarżali jej operatora, Wody Polskie, o brak szybkiej informacji o pęknięciu tamy.

Niemieckie rachunki

Wody Polskie w swoich komunikatach zapewniają, że i zbiornik, i sama zapora spełniały wymogi prawne i techniczne, jakie przepisy stawiają takim obiektom. „Zespół Budowli Hydrotechnicznych Stronie Śląskie przeszedł ostatnią kontrolę pięcioletnią w 2022 r., natomiast ostatnią kontrolę roczną w listopadzie 2023 r." – podaje biuro prasowe instytucji. Ocena stanu technicznego i bezpieczeństwa w 2022 r. wypadła również pozytywnie. Obiekt był „w dobrym stanie". Stan bezpieczeństwa oceniono na niezagrażający bezpieczeństwu. W 2011 r. przeprowadzono zresztą remont zapory zbiornika. Trzy lata później, w porozumieniu z gminą Stronie Śląskie, poprowadzono ścieżkę pieszo-rowerową na koronie zapory wraz z rampą wejściową i instalacją oświetlenia.

Podczas niedawnej katastrofy, po przerwaniu wałów przez wody powodziowe, w Stroniu pojawiły się plotki, jakoby budowa biegnącej ich koroną trasy nadwyrężyła całą konstrukcję, jednak eksperci od budowy i renowacji tego typu obiektów uważają taki scenariusz za bardzo mało prawdopodobny. Skłaniają się raczej ku temu, co sugerują w komunikacie same Wody Polskie: że feralnego 15 września napór wody na wały okalające zbiornik w Stroniu był zbyt duży, by wytrzymała go infrastruktura zaprojektowana ponad sto lat temu.

> Konstruktorzy zapory i zbiornika w Stroniu Śląskim założyli, że fala powodziowa nie przekroczy 80 metrów sześciennych na sekundę. **15 września była ona czterokrotnie większa.**

Tamę oddano do użytku w 1908 r. W oparciu o dostępne wówczas dane o opadach, sięgające w owych czasach ledwie 50 lat wstecz, jej niemieccy konstruktorzy założyli, iż w zlewni potoku Morawka, na którym zaplanowali zaporę ze zbiornikiem retencyjnym, nie wystąpią opady, które mogą zmienić się w falę powodziową poruszającą się z energią większą niż 70-80 metrów sześciennych na sekundę. W niedzielę 15 września w godzinach przedpołudniowych urządzenia pomiarowe na zaporze w Stroniu zanotowały przepływ wody rzędu aż 320 metrów sześciennych na sekundę.

W konfrontacji z takim żywiołem zbiornik nie miał szans. Po przelaniu się przez koronę wału, woda zaczęła błyskawicznie wymywać ziemne umocnienia, aż przerwała je całkowicie i w Stronie Śląskie z impetem uderzyło ok. 1,38 mln metrów sześciennych opadu, który przez trzy dni spływał z okolicznych gór do zbiornika retencyjnego.

Scenariusz, który przedstawiają Wody Polskie dla wytłumaczenia tego, co wydarzyło się 15 września w Stroniu i niżej położonych miejscowościach, brzmi wiarygodnie. Nie przynosi jednak satysfakcjonującej odpowiedzi na chyba kluczowe w tej sprawie pytanie: jak to możliwe, że nawet po dwóch katastrofalnych powodziach, jakie nawiedziły tę część Dolnego Śląska, nie próbowano dostosować wytrzymałości konstrukcji do aktualnych warunków pogodowych?

Woda nie do przewidzenia

Próbowaliśmy dowiedzieć się w Wodach Polskich, na czym dokładnie polegał remont obiektu w Stroniu Śląskim w 2011 r. i czy doszło wtedy do przebudowy obiektu, skutkującej wzrostem odporności zbiornika na wysoką i silną falę powodziową. Bez efektu. Z publicznie dostępnych informacji wynika jedynie, że prace koncentrowały się wówczas na samej zaporze, podczas gdy 13 lat później katastrofę wywołało pęknięcie wału okalającego zbiornik. Nie otrzymaliśmy również oficjalnej odpowiedzi na pytanie, kiedy i dlaczego budowlę w Stroniu „zdegradowano" do obiektu trzeciej klasy. W raporcie NIK z kontroli „nadzoru nad stanem technicznym i stanem bezpieczeństwa wodnych budowli piętrzących" z lutego 2016 r. zespół budowli hydrotechnicznych Stronie Śląskie jest jeszcze wymieniany jako obiekt klasy drugiej.

Wiadomo natomiast co innego. Sama zmiana kwalifikacji zapory „w dół" sprawia, że tamę i towarzyszący jej zbiornik można uznać za bezpieczne wtedy, kiedy ich stan nie spełnia kryteriów technicznych narzuconych przez przepisy obiektom z klas wyższych. Przykładowo, wymagana „maksymalna wytrzymałość na przepływy wezbraniowe" zapór ziemnych i wałów (a mówiąc prościej – ich wytrzymałość na silny prąd) w przypadku obiektów trzeciej klasy jest niemal o jedną trzecią niższa niż dla zapór klasy drugiej. Gdy mowa o wytrzymałości na maksymalne poziomy wód, różnica jest jeszcze większa: sięga aż 50 procent. Żonglując klasami, Wody Polskie mogłyby więc twierdzić, że „utrzymują" swoją infrastrukturę w należytym stanie technicznym, jednocześnie nie wydając na ten cel ani grosza.

Komu ten scenariusz wydaje się nierealny, powinien zajrzeć do przywoływanego powyżej raportu NIK, który stwierdza, że w latach 2013-2014 w Polsce „nie kierowano kontroli na obiekty hydrotechniczne ocenione jako zagrażające lub mogące zagrażać bezpieczeństwu", mimo że ówczesny organ kontrolujący zapory

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

(Główny Urząd Nadzoru Budowlanego) w swoim regulaminie wewnętrznym kategorycznie nakazywał coroczne sprawdzanie stanu takich budowli.

Powódź jak z tropików

Od lutego 2016 r. zbiornik w Stroniu nie zmienił ani rozmiarów, ani pojemności, zapewne nie to stało zatem za obniżeniem jego klasy. Lecz jeśli doszło do tego na skutek obniżenia oceny ryzyka powodzi w regionie, mielibyśmy do czynienia z błędem o katastrofalnych konsekwencjach.

Kilka dni po przejściu fali powodziowej przez Kotlinę Kłodzką hydrolog prof. Artur Magnuszewski na prośbę Polskiej Akademii Nauk obliczył tzw. wskaźnik potencjału powodziowego dla terenu, który przed takim kataklizmem chroniły zapora i zbiornik w Stroniu Śląskim. Badacz użył do tego prostego równania na „indeks K", używanego powszechnie przez hydrologów. Niezbędnych danych w komunikacie o przyczynach uszkodzenia zapory dostarczyły same Wody Polskie.

– Tak wysokiego wyniku, jaki otrzymałem dla tej okolicy, nie odnotowano dotychczas dla żadnego obszaru Polski – mówi „Tygodnikowi" prof. Magnuszewski. – Indeks sięgnął 4,42, czyli wartości charakterystycznych raczej dla powodzi występujących w innych, gorętszych strefach klimatycznych. To zarazem jasny dowód na to, że modele szacowania ryzyka powodziowego, którymi posługiwaliśmy się dotychczas w Polsce, należy pilnie zaktualizować.

Obliczenia Magnuszewskiego uwzględniały już dane o wielkości opadu i natężeniu fali powodziowej z feralnego weekendu 13-15 września. „Czyste szaleństwo" – tak hydrolog opisuje sytuację, w której na obszarze o wielkości zaledwie 52 kilometrów kwadratowych – bo tyle liczy zlewnia potoku Morawka – spada taka ilość wody, że wytwarza ona falę powodziową o przepływie rzędu ponad 320 metrów sześciennych na sekundę.

Dokonując obliczeń wytrzymałości zbiornika w Stroniu, Wody Polskie istotnie mogły nie przewidzieć, że opady przybiorą tak katastrofalną skalę. Z ich dotychczasowych komunikatów nie wynika jednak, by próbowały szacować cokolwiek. ©℗ MAREK RABIJ

TOMASZ KUBIAK / ARTSERVICE / FORUM

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia i przewodniczący klubu parlamentarnego Polska 2050 Mirosław Suchoń w drodze na wiec wyborczy w Chorzowie, maj 2024 r.

Polska 2050, a może Polska 2025?

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Partia Szymona Hołowni może podzielić los Ruchu Palikota, Kukiz'15 i Nowoczesnej – politycznych gwiazd jednej kadencji, stworzonych wokół popularnego lidera, a potem niszczonych przez wewnętrzne konflikty i brak doświadczenia.

Na początku września w sejmowych kuluarach gruchnęła wieść, że dotychczasowy przewodniczący klubu parlamentarnego Polski 2050 Mirosław Suchoń złożył rezygnację. Wzbudziło to zdziwienie, bo Suchoń był jednym z nielicznych doświadczonych posłów w klubie – swoją parlamentarną karierę zaczynał 9 lat temu, jeszcze w klubie Nowoczesnej. W 2019 r. dostał się do Sejmu z list KO, ale dwa lata później zasilił parlamentarną frakcję nowego ugrupowania Szymona Hołowni.

Suchoń zrezygnował „ze względów osobistych". Zastąpił go Paweł Śliz, który wcześniej dał się poznać jako wiceprzewodniczący komisji śledczej ds. Pegasusa, a od jakiegoś czasu również szef sejmowej komisji sprawiedliwości. Od razu pojawiły się spekulacje, że to przejaw kryzysu w formacji Hołowni.

Z naszych nieoficjalnych rozmów wynika, że grupa posłów Polski 2050 zagroziła rozłamem, więc dokonano zmiany, by bunt okiełznać. Tej wersji zaprzeczają jednak zdecydowanie liderzy partii. – Nigdy nie było żadnej groźby rozłamu. Słyszeliśmy te plotki, ale nie są one zbudowane na faktach – przekonuje Paweł Śliz.

Druga wersja zdarzeń zakłada, że Suchoń po prostu był zbyt słabo rozpoznawalny, co dla nowego klubu jest szczególnie ważne. Bo choć jako przewodniczący (na otarcie łez powierzono mu ↦

↦ stanowisko szefa nadzwyczajnej komisji ds. ustaw powodziowych) chętnie wypowiadał się w mediach, to poza światem sprawozdawców parlamentarnych był praktycznie nieznany. Natomiast Paweł Śliz, który go zastąpił, choć jest posłem debiutantem, już wywalczył sobie szacunek pracą w komisji śledczej ds. Pegasusa.

– Mirek nas wszystkiego nauczył, choć na początku kadencji miał prawie 30 ludzi, którzy pierwszy raz byli posłami – mówi Śliz. Nie potwierdza, że chciał zająć miejsce mistrza. Oficjalnie zmiana wynikła z tego, że poszerzono prezydium klubu i z tego wyłoniła się nowa konstelacja kadrowa.

Trochę przypadkowi ludzie

Podobne wydarzenia są przedmiotem spekulacji, jeśli zdarzają się w nowych ugrupowaniach. Co prawda gwałtowne kryzysy przytrafiały się wielu partiom, niektóre usuwając na margines (LPR, Samoobrona), ale najbardziej spektakularne upadki obserwowaliśmy w przypadku „rewelacji sezonu", czyli nowych na naszej scenie sił, jak Ruch Palikota, Kukiz'15 czy Nowoczesna. Tworzonych wokół charyzmatycznego lidera lub nośnego postulatu politycznego.

Jeden z doświadczonych parlamentarzystów uważa jednak, że Polska 2050 nie przypomina tamtych formacji, może poza jedną kwestią – jej klub to zbieranina trochę przypadkowych osób, po części spadochroniarzy z innych formacji, a po części osób bez doświadczenia w polityce, podatnych na ruchy odśrodkowe i niecierpliwych. Nie można się więc dziwić takim zdarzeniom, jak nagła wymiana szefa klubu. U Palikota wycofywano poparcie dla urzędującej wicemarszałek Sejmu Wandy Nowickiej, u Kukiza klub rozpadł się na kilka kół, w przypadku Nowoczesnej wymieniano w ogóle przewodniczącego partii.

Politycy Polski 2050 przekonują, że porównywanie ich do tamtych formacji nie jest uprawnione. Przede wszystkim, jak zwraca uwagę Bartosz Romowicz, wiceszef komisji śledczej ds. wyborów kopertowych, Polska 2050 jest członkiem koalicji rządzącej, a także ma swojego marszałka Sejmu. Poza tym, jak zapewniają Romowicz, Śliz, a także Marcin Skonieczka (członek władz klubu, który pozostał z czasu, gdy kierował nim Suchoń), Polska 2050 jest jedyną formacją, która stanowiska wobec różnych spraw wypracowuje autentycznie, poprzez dyskusje na posiedzeniach klubu. – Trwają one długo właśnie dlatego, że naprawdę rozmawiamy, a nie jest tak, że posłowie otrzymują przekazy dnia, co na jaki temat mają sądzić i mówić – przekonuje Romowicz.

Politolog Antoni Dudek widzi najwięcej podobieństw do Nowoczesnej Ryszarda Petru. – Polska 2050 nie wystawiła nikogo w wyborach prezydenckich w Warszawie, co pomogło Rafałowi Trzaskowskiemu zwyciężyć w pierwszej turze i rozpostarło czerwony dywan przed konkurentem Hołowni w wyborach prezydenckich. Marszałek Sejmu co prawda jeszcze nie poleciał „na Maderę", ale już „kupił bilet" – mówi Dudek, nawiązując luźno do sytuacji, gdy media wytropiły, jak lider Nowoczesnej Ryszard Petru (skądinąd dziś poseł Polski 2050) w czasie blokady sali sejmowej przez posłów jego klubu i PO, na przełomie 2016 i 2017 r. poleciał z posłanką swojego klubu Joanną Schmidt (dziś żoną) na wakacje. Sytuacja ta stała się potem gwoździem do trumny formacji, dziś wchłoniętej przez PO.

Partia ludzi aktywnych

Ludzie bliscy kierownictwu formacji Hołowni zaprzeczają tym porównaniom, nie tylko z powodu obyczajowego charakteru tamtej historii. Zwracają uwagę, że Polska 2050 powstała nie tylko w odpowiedzi na deficyt określonych wartości w życiu politycznym, jak to było w przypadku Ruchu Palikota czy Nowoczesnej, ale że jest to zarazem partia oparta na ludziach aktywnych, którzy całe życie spędzili w różnych ruchach społecznych czy NGO-sach i nie poddają się łatwo pod wpływem trudności.

Tyle że, jak przyznają z kolei ci, którzy byli przy zakładaniu Polski 2050, a dziś są już poza tą formacją, w jej tworzeniu ważną cezurą były ostatnie wybory parlamentarne, kiedy przestano u kandydatów promować doświadczenie w organizacjach społecznych na rzecz tego politycznego. Poza tym potrzeby finansowe kampanii spowodowały, że selekcja stała się znacznie mniej restrykcyjna, wręcz potrzebowano ludzi, którzy mają pieniądze. To skutkowało pewną przypadkowością osób, które znalazły się na „biorących" miejscach list. Efekty? Choćby afera wokół najmłodszego posła Adama Gomoły, który miał ponoć handlować miejscami na listach Trzeciej Drogi. – W obecnym klubie parlamentarnym nie znam dwóch trzecich posłów – przyznaje osoba, która była przy zakładaniu Polski 2050.

Zdaniem prof. Dudka przyszłość tej partii zależy przede wszystkim od tego, jaki wynik w przyszłorocznych wyborach prezydenckich będzie miał Hołownia, który swoją aktywność polityczną budował na wizji prezydentury, a przygodę z polityką zaczął od wyścigu o Pałac w 2020 r., nie może sobie więc pozwolić na rezygnację z udziału w wyborach wiosną przyszłego roku. Słaby wynik może okazać się niszczący dla przyszłości politycznej i jego, i Polski 2050: jeśli dostanie mniej niż 14 proc. z 2020 r. i wypadnie poza podium, zaczną się procesy erozji.

Na dziś sondaże nie dają Hołowni zbyt wielkich szans, ale Dudek uważa, że w pewnych okolicznościach może wypaść lepiej. Jeśli np. KO wystawi kogoś innego niż Rafała Trzaskowskiego, szanse Hołowni urosną. Podobnie będzie, jeśli obecny prezydent Warszawy popełni błędy w kampanii (jak w sprawie krzyży w urzędach). – Gdyby PiS postawił na twardego zawodnika, a Trzaskowski mocno skręcił w lewo, co już zaczął robić, w centrum otworzy się pole dla kandydata numer trzy. I tym kandydatem może być Hołownia. Musi tylko zacząć się czymś wyraźnie różnić od nominata KO i ściągać centrowy elektorat – mówi Dudek.

Jeśli Hołowni nie uda się zaistnieć w walce o Pałac, Donald Tusk może zacząć wyciągać z Polski 2050 wybranych ludzi, jak robił to już w przeszłości (np. sprowadzając Bartosza Arłukowicza z SLD). Wtedy nawet element stabilizujący obecność partii w wielkiej polityce, czyli udział w rządzie, może stać się zagrożeniem – ze strony Tuska, uważnie obserwującego najciekawszych polityków sojusznika i posiadającego wiele instrumentów kuszenia potencjalnych uciekinierów.

Jeden warunek rezygnacji

Ludzie z bezpośredniego zaplecza Hołowni przyznają, że marszałek jeszcze nie podjął decyzji, czy wystartuje. Jest jed-

nak niemal wykluczone, że zrezygnuje, wskazując na kandydata KO. – Szymon wycofa się tylko wtedy, jeśli będzie jeden kandydat całej koalicji i nie będzie nim nikt wywodzący się bezpośrednio z któregoś z tych ugrupowań – mówi osoba z otoczenia marszałka. Zatem na pewno nie zrezygnuje na rzecz Trzaskowskiego, Sikorskiego lub Tuska.

W otoczeniu Hołowni obecny jest też inny pogląd na przyszłość partii: nawet słaby wynik Hołowni nie musi oznaczać automatycznego upadku Polski 2050. Jeśli pojawią się napięcia odśrodkowe, to bliżej końca kadencji w 2027 r.

Politycy Polski 2050 opowiadają zresztą, że Hołownia od dawna przygotowuje swoich ludzi do samodzielności, więc czują się z nim dobrze. W Sejmie często można usłyszeć opinie, że marszałek zajmuje się głównie sprawami sejmowymi, a blisko współpracuje przede wszystkim z osobami ze swojego bezpośredniego zaplecza – Jackiem Cichockim czy Stanisławem Zakroczymskim; nie bywa też na posiedzeniach klubu parlamentarnego. Z drugiej strony, ta jego alienacja jest jednocześnie jedną z przyczyn opóźnionej reakcji na napięcia, do jakich ostatnio doszło w klubie.

Jedno jest pewne: gwiazda Hołowni trochę zgasła w porównaniu ze sławą, jaką cieszył się, zanim powstał rząd Tuska. Jest też uważniej obserwowany. Jakub Dymek np. poświęcił mu niedawno jeden z odcinków podkastu na Kanale Zero. Określił marszałka jako „najniebezpieczniejszego polityka w Polsce", zarzucając mu i Polsce 2050, że mimo krótkiej egzystencji zmienili o 180 stopni poglądy na wiele spraw.

Dymek przypomniał, że kiedyś Hołownia był za zwiększeniem finansowania służby zdrowia, dziś jest za ograniczeniem składki zdrowotnej. Kiedyś popierał Zielony Ład, teraz jest mu przeciwny. Kiedyś bronił uchodźców na granicy, a dziś w sprawie ich ochrony jest twardy jak PiS. Opowiadał się też za likwidacją 500 plus, a obecnie już tego nie postuluje, analogicznie jak atakował CPK, którego dziś broni. Ma to dowodzić, że „w polityce Szymon Hołownia jest pustym naczyniem, w które można wlać każdą polityczną treść". Zdaniem Dymka polityk, który nie ma żadnych stałych poglądów, jest wymarzonym obiektem zainteresowania dla wszelkiej maści lobbystów.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Poseł Mirosław Suchoń był zbyt słabo rozpoznawalny. **Nowy szef klubu, Paweł Śliz,** choć jest posłem debiutantem, już wywalczył sobie szacunek pracą w komisji śledczej ds. Pegasusa.

Politycy Polski 2050 oczywiście nie zgadzają się z takim przedstawianiem swojego ruchu i lidera. Podkreślają, że odkąd są w koalicji rządowej, twardo bronią własnego programu. Zwracają uwagę, że zablokowali mieszkaniowy kredyt zero procent, który był na rękę lobby deweloperskiemu. A w sprawie składki zdrowotnej, także dzięki ich twardemu stanowisku, już niedługo uda się wypracować kompromis (choć akurat niska składka lansowana przez Polskę 2050 jest korzystna głównie dla najbogatszych).

To klub Polski 2050 zablokował też „rewolucyjny" projekt przygotowany przez Stowarzyszenie „Iustitia", uderzający w tzw. neosędziów i mogący zdezorganizować sądownictwo. Pokazało to, że nie zawsze uzasadnione są zarzuty, iż partia jest tylko przystawką KO i nie potrafi skutecznie przeciwstawić się polaryzacji.

Przyszłość Trzeciej Drogi

Kredyt zero procent był zresztą najpoważniejszą sprawą, jaka podzieliła dwa ugrupowania tworzące Trzecią Drogę – Polskę 2050 i PSL. W przyszłości, jak można usłyszeć w sejmowych kuluarach, takich spraw będzie więcej, bo obie partie pochodzą z różnych światów. W tym sensie wybory prezydenckie mogą okazać się nie tylko poważną cezurą w dziejach Polski 2050, ale też końcem Trzeciej Drogi. – To jest małżeństwo z bardzo dużego rozsądku, który zakończy się po wyborach prezydenckich – ocenia Antoni Dudek.

Niezależnie od wyników wyścigu o Pałac, dziś nie widać nikogo, kto mógłby sięgnąć po schedę po Hołowni. Najlepszą pozycją cieszy się ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Ma wysokie notowania u samego Hołowni, jest kompetentna, stać ją na odwagę i skonfrontowanie się z samym Tuskiem. Ma jednak tę wadę, że nie czuje życia partyjnego. Inna popularna niegdyś w partii osoba – Agnieszka Buczyńska – ma kłopoty zdrowotne. Z kolei do niedawna ważny w partii Michał Kobosko wybrał Brukselę. Są jednak ludzie zdradzający cechy naturalnych liderów, jak Paweł Śliz czy Bartosz Romowicz, wzmacniający wpływy w klubie.

Generalnie bowiem, i to można usłyszeć od doświadczonych parlamentarzystów różnych formacji, Polska 2050 odróżnia się od Ruchu Palikota czy partii Kukiza jakością kadr. Ma też działaczy w terenie, nie jest tylko „wydmuszką parlamentarną".

Fakt, ministra klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska budzi duże kontrowersje, ale kompetencji Pełczyńskiej-Nałęcz nikt nie podważa, wysoko oceniani są też wiceminister funduszy i polityki regionalnej Jan Krzysztof Szyszko oraz wiceminister rozwoju i technologii Ignacy Niemczycki.

Dosyć optymistyczne dla Polski 2050 są też ostatnio sondaże, choć partia ta oceniana jest wspólnie z PSL – po okresie spadków Trzecia Droga jako całość wróciła na trzecią lokatę z poparciem w granicach 10-11 proc.

– Mamy jeszcze trzy lata, żeby pokazać, iż jesteśmy potrzebni – mówi Paweł Śliz, a Marcin Skonieczka zwraca uwagę, że żadnemu ugrupowaniu spoza „wielkiej dwójki" nie udało się od 2005 r. uzyskać fotela marszałka Sejmu. Dlatego porównywanie Hołowni z Palikotem i Kukizem jest, jego zdaniem, błędem. Polski 2050 nie należy spisywać na straty.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

RONSTIK / STOCK.ADOBE.COM

Zdrowie w podejrzanie dobrej cenie

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Bez niego gwiazda nie zagra koncertu, student nie zda egzaminu, a pielęgniarka nie zaśnie po dyżurze. Dzięki niemu wyleczymy bielactwo, wzrośnie nam apetyt na seks, powstrzymamy stres, a nawet depresję. Wszystko tanio i bez recepty.

Jeszcze się państwo nie domyślają, co to takiego? Tym razem w roli „cudownego specyfiku" występuje ashwaganda, czyli indyjski żeń-szeń – zioło bardzo cenne, ale zarazem będące ofiarą własnej popularności, wykorzystywanej do bólu przez żądnych pieniędzy marketingowców.

To nie jedyny „wielozadaniowy" preparat polecany przez instagramerów i youtuberów. To cały trend, obecny w reklamowaniu suplementów diety, które mają nam pomóc w walce z niemal wszystkim: obniżonym nastrojem, bezsennością, kłopotami z wątrobą i tuszą. A także mają wzmocnić potencję, kości lub paznokcie oraz uleczyć z zespołu niespokojnych nóg, który zresztą najczęściej sami sobie wmawiamy. Produkty „obrandowane znaną twarzą", ale też polecane przez autorów popularnych kanałów w mediach społecznościowych muszą docierać do szerokiego grona odbiorców i oferować pomoc, nawet na kilka dolegliwości jednocześnie. Toteż popularny specyfik na trawienie równocześnie „troszczy się o wątrobę i szczupłą sylwetkę". Dzięki niemu Aśka z reklamy wypiękniała i może jeść bez ograniczeń. Przy okazji zawarta w nim witamina E „poprawi wzrok i zatrzyma objawy starzenia się".

Wykreować potrzebę

– Reklamy suplementów bardzo dobrze obnażają ludzką naturę. Chcę być szczupła, podobać się, ale ten rodzaj motywacji jest uważany w naszej kulturze za objaw próżności, zatem substancja jest przedstawiana jako produkt w zasadzie na coś innego. Twórcy reklam bazują na naszych narcystycznych skłonnościach, ale też kreują potrzeby i ukierunkowują uwagę odbiorcy na sprawy, które dotąd uznawał za nieistotne – wyjaśnia dr Łukasz Jach z Instytutu Psychologii na Uniwersytecie Śląskim.

Nie kupilibyśmy wielu suplementów diety, gdyby nie reklama, na którą firmy farmaceutyczne przeznaczają miliony. Dla przykładu Aflofarm, największy producent w tej branży, wydał w 2022 r. na promocję produktów w mediach 2,4 mld złotych. Nie tylko najwięcej ze wszystkich firm farmaceutycznych, wyprzedził nawet popularne dyskonty spożywcze oraz firmy handlujące sprzętem elektronicznym i AGD. Na trzecim miejscu w rankingu znalazł się inny producent suplementów: Natur Produkt Zdrovit, który na marketing przeznaczył 816,2 mln złotych.

Reklama łączy się bardzo często z „medykalizacją" towaru, polegającą na prezentowaniu produktów przez aktorów w fartuchach lekarskich ze stetoskopem w ręce i sprzedawaniu ich w aptekach. Sprzyja temu pakowanie suplementów w pudełka bardzo podobne do tych, w jakich nabywamy leki, i dołączanie do nich ulotek zredagowanych w podobny sposób.

– Suplementy diety są produktami spożywczymi, zawierają witaminy i składniki mineralne, ale nie leczą, co najwyżej wzbogacają pożywienie o potrzebne elementy. Jeśli dostarczymy naszemu organizmowi niezbędnych składników w codziennych posiłkach, nie powinniśmy już niczego więcej zażywać. Ponadto organizm najczęściej pozbywa się nadmiaru substancji, których nie potrzebuje, nie da się więc suplementować na zapas. W przypadku witaminy C, polecanej na wiele schorzeń, bez względu na to, jak dużą dawkę przyjmiemy, wchłoniemy ok. 200 mg, resztę zaś wydalimy z moczem – wyjaśnia prof. Paweł Januszewicz, pediatra i psychiatra związany z Centrum Zdrowia Dziecka, a także kierownik Katedry Chorób Cywilizacyjnych i Medycyny

Regeneracyjnej w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie.

Wszyscy coś biorą

– Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego, aż 72 proc. Polaków deklaruje spożywanie suplementów diety, a prawie połowa robi to regularnie. Największą popularnością cieszą się probiotyki, witamina D i witamina C – podaje Konrad Madejczyk, szef biura prasowego Naczelnej Izby Aptekarskiej.

Wartość tego rynku już dwa lata temu szacowana była na niemal 8 mld zł, choć jeszcze w 2017 r. wynosiła 4,4 mld. Gwałtowny wzrost przyniosła pandemia – raport „Polacy a suplementy diety" sporządzony w 2022 r. pokazuje, że nie tylko znacznie powiększyła się liczba osób kupujących takie produkty (27 proc. badanych przyznała, że zażywa je częściej niż przed pandemią), okazuje się również, że zaledwie 15 proc. respondentów konsultuje ich przyjmowanie z lekarzem, a tylko co piąty badany przed zakupem prosi o radę farmaceutę. Głównym źródłem wiedzy pozostaje dla pacjentów internet (44 proc. badanych). I pół biedy, o ile dzięki takim „poradom" zażywamy potrzebną większości z nas witaminę D; gorzej, że dla wielu z nas to tylko jedna z wielu tabletek w ciągu dnia.

Spożywanie suplementów diety rośnie nie tylko w Polsce. Światowy rynek sprzedaży tych produktów osiągnął w 2022 r. 173 mld dolarów, a przychody w samej Europie oszacowano na 30 mld dolarów – tak podaje globalna firma analityczna IQVIA.

– Można wskazać kilka przyczyn odpowiadających za wzrastające spożycie suplementów. Jedną z nich jest bogacenie się społeczeństw, ale kupujemy też dlatego, że nawet jak nam nie pomoże, to nie zaszkodzi, zaspokoi zaś wewnętrzną potrzebę. Obiecujemy sobie, że będziemy jeść zdrowo, ćwiczyć i wysypiać się, ale bardzo trudno nam zmienić styl życia i przyzwyczajenia. A reklama podsuwa suplementy, które dają poczucie rozgrzeszenia i ulgi – tłumaczy dr Jach.

Bierzemy więc suplementy, bo chcemy osiągnąć efekty bez żadnego wysiłku, za pomocą magicznej pastylki. Tak się nie da, choć produkty te (o ile są w formie dobrze wchłanialnej przez organizm) mogą dostarczać niezbędnych składników odżywczych i wspomagać funkcjonowanie organizmu. Jednak zanim weźmiemy sprawy w swoje ręce i zrobimy poważne zakupy w aptece, wykonajmy badania. Może się okazać, że ulegając reklamie i społecznej presji, iż „wszyscy coś biorą dla zdrowia", nie tylko stracimy pieniądze, ale jeszcze pogorszymy swój stan.

Szkodzą zamiast pomagać

– Jest takie powiedzenie: „Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną, tylko dawka czyni różnicę". Przykładów nadużywania suplementów diety czy też przyjmowania zbyt wielu leków w naszym społeczeństwie jest bardzo dużo. Jeśli nie zachowujemy się racjonalnie i nie stosujemy zalecanych przez producenta bezpiecznych dawek, musimy liczyć się z wystąpieniem reakcji niepożądanych. Nadmierne spożycie witamin czy minerałów zawartych w suplementach może przekroczyć górne granice przyjętych norm bezpieczeństwa i wywołać skutki uboczne. Do takich składników możemy zaliczyć m.in. witaminę A, B, karoten, miedź, fluor, jod, żelazo, selen – wylicza prof. Anna Bogucka-Kocka z Zakładu Biologii i Genetyki na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie.

Dla przykładu spożywanie witaminy A powyżej zalecanej normy objawia się drażliwością, torsjami i zmianami skórnymi. Nadmiar żelaza powoduje choroby układu krążenia, udary i miażdżycę. Natomiast duże ilości witaminy D niszczą nerki. Krzysztof Adam Stępień, Jakub Niewiarowski i Anna Harasimiuk – naukowcy z Uniwersytetu Medycznego w Warszawie – w artykule „Powszechność suplementów diety a zagrożenia związane z ich stosowaniem" podają, że badania zrobione w grupie osób starszych wykazały, iż dostarczały one sobie w pożywieniu około 315 proc. normy witaminy A, 290 proc. normy witaminy C, 230 proc. koniecznego sodu, 175 proc. fosforu i 140 proc. żelaza. Podobne badanie przeprowadzono na grupie studentów rzeszowskiego uniwersytetu i okazało się, że choć w większości przypadków dostarczali swoim organizmom w sposób naturalny potrzebne składniki poprzez pożywienie, to i tak wspomagali się suplementami.

Zanim lek zostanie dopuszczony do obrotu, przechodzi trzy fazy badań klinicznych; czwarta, otwarta faza nigdy się nie kończy, bo przez lata zbierane są informacje na temat skutków ubocznych. Suplementy diety nie podlegają podobnym procedurom – traktowane są jak żywność. Wystarczy, że producent zgłosi dany specyfik do Głównego Inspektora Sanitarnego, i już może czerpać zyski ze sprzedaży. Nie musi czekać na dopuszczenie do obrotu. Nikt też nie prowadzi monitoringu działań niepożądanych ani nie bada toksyczności suplementów. Dopiero jeśli ktoś wykaże szkodliwe działanie danego produktu, podejmowane są analizy, które mogą prowadzić do wycofania go z rynku. Jednym słowem, najpierw trzeba się czymś zatruć, żeby dany specyfik został dokładnie przebadany. W latach 2017-2020 producenci suplementów zgłosili do Głównego Inspektoratu Sanitarnego ponad 62 tysiące nowych produktów. Najwięcej wpłynęło ich w 2020 r., a na jednego pracownika przypadało 300 zgłoszeń miesięcznie. GIS poddał analizie tylko 11 proc. z nich; weryfikowano je pod względem składu i bezpieczeństwa dla zdrowia.

Z kolei dane zgromadzone przez Najwyższą Izbę Kontroli pokazują, że w oceanie suplementów pływają też zatrute ryby. Kontrole wykazały, że nie tylko procedury sprawdzające wydłużyły się do kilku lat – niektóre specyfiki w ogóle nie zostały zgłoszone do GIS, a w składzie dwudziestu suplementów znaleziono substancje wręcz szkodliwe dla zdrowia.

Trudno nas przekonać

– Podczas mojego życia nastąpiła ogromna zmiana w dostępie do produktów sprzedawanych w aptece. Kiedyś nawet witaminy były na receptę, teraz skomplikowane substancje są dostępne bez konsultacji z lekarzem. Bardzo rzadko spotykam się z pytaniem o to, czy przyjmować suplementy. Mało tego, spora grupa osób nie czyta też ulotek dołączonych do produktu. Dochodzi do sytuacji, że pacjenci przychodzą do gabinetu z gotowym rozpoznaniem choroby, o której usłyszeli w reklamie lub przeczytali w sieci. I trudno ich przekonać, że problem leży gdzie indziej – opisuje prof. Paweł Januszewicz.

Według raportu „Polacy a suplementy diety" prawie 30 proc. z nas przyjmuje dwa suplementy diety dziennie, a co piąty łyka trzy tabletki. Większość badanych oczekuje od tych produktów tego, czego spodziewamy się po lekach – najczęściej ↦

↦ podniesienia odporności (68,8 proc.) i poprawy ogólnego zdrowia (67 proc.).

Mariusz Mazurek, właściciel biura rachunkowego w Zamościu, znajduje się w niedużej, liczącej 2 proc. grupie Polaków, którzy zażywają więcej niż pięć pigułek dziennie. Miesięcznie wydaje na suplementy ponad tysiąc złotych, sprowadzając je m.in. z Kuby, Pakistanu i Norwegii.

– Kupuję tylko od sprawdzonych i certyfikowanych producentów. Ważny jest dla mnie zespół badawczy, który tworzył suplement – opowiada Mazurek, który suplementami i ziołami interesuje się od 30 lat. Wzmacnia nimi odporność, krążenie, układ nerwowy, wzrok, chroni się przed zakrzepicą. Dziennie przyjmuje w ten sposób ponad dziesięć różnych substancji, które mogą wchodzić w interakcje i zakłócać swoje działanie. Twierdzi jednak, że mimo siedzącego trybu życia ma bardzo dobre wyniki badań.

– Suplementy mogą być zażywane bez kontroli lekarza tylko przez osoby zdrowe. W pozostałych przypadkach, gdy pacjent przyjmuje leki na stałe, powinien zawsze konsultować decyzję o włączeniu suplementu ze specjalistą, ze względu na możliwość wystąpienia interakcji z przyjmowanymi lekami – wyjaśnia prof. Anna Bogucka-Kocka, która wraz z zespołem badaczy z Uniwersytetu Medycznego i Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie opracowała nautraceutyk – suplement mający działać prewencyjnie m.in. w chorobie Alzheimera i chorobie niedokrwiennej mózgu.

Gips w gratisie

Interakcje między suplementami a lekami mogą być przyczyną poważnych problemów. Cenna dla zdrowia ashwaganda, przywołana na początku artykułu, osłabia działanie leków stosowanych przy nadciśnieniu, a nasila wpływ przeciwcukrzycowych. Jednak pomimo licznych apeli lekarzy i naukowców, by takie produkty objąć większą kontrolą, w tym weryfikacją jakości, ich obecność na rynku reguluje tylko ustawa o bezpieczeństwie żywności i żywienia.

JAN BIELECKI / EAST NEWS

PROF. PAWEŁ JANUSZEWICZ:

Pacjenci przychodzą do mojego gabinetu z gotowym rozpoznaniem choroby, o której usłyszeli w reklamie. Trudno ich przekonać, że problem leży gdzie indziej.

To furtka dla nieuczciwych producentów. NIK wykazała wiele nieprawidłowości i różnic między deklarowanym na ulotce składem produktu a rzeczywistością. I tak jeden z suplementów na „poprawienie męskości" zawierał substancje przynależne wyłącznie lekom, inny – wspomagający odchudzanie – zawierał dimetylotryptaminę, substancję psychoaktywną zakazaną ustawą o przeciwdziałaniu narkomanii. Z kolei niektóre produkty chińskiej medycyny naturalnej zanieczyszczone były m.in. prometazyną i klometiazolem (mają działanie uspokajające i nasenne). Badania ujawniły również suplementy, w których substancją pomocniczą był gips, a barwnikiem tusz używany w drukarkach. Wszystkie one zostały wycofane z rynku, ale brak dbałości w przestrzeganiu procedur i materiałów używanych do produkcji i tak się opłaca. Zyski są ogromne, a wykrywalność nieprawidłowości minimalna, kary zresztą też.

– Główny Inspektorat Sanitarny nie prowadzi skomplikowanych analiz tego rynku. Kompetencje do prowadzenia działań kontrolnych, wydawania decyzji administracyjnych i nakładania kar mają terenowe organy Państwowej Inspekcji Sanitarnej. W 2023 r. wydały one łącznie 90 decyzji zakazujących wprowadzenia do obrotu różnych produktów kwalifikowanych do grupy suplementów diety. Kiedy dochodzi do takiej sytuacji, na stronie internetowej publikowane są ostrzeżenia publiczne na temat produktu – wyjaśnia Marek Waszczewski, rzecznik prasowy GIS.

Z danych sporządzonych w 2022 r. na podstawie wpisów do KRS wynika, że na polskim rynku działa około 30 tys. podmiotów związanych z produkcją i dystrybucją suplementów. Najstarszą i najliczniejszą organizacją branżową jest Krajowa Rada Suplementów i Odżywek; jej członkowie współtworzyli m.in. Kodeks Dobrych Praktyk Reklamy Suplementów Diety (2017) i od lat działają na rzecz zwiększenia świadomości konsumentów oraz promowania pozytywnego wpływu świadomej i zrównoważonej suplementacji na zdrowie.

– Trzeba pamiętać, że suplementy to żywność służąca uzupełnieniu diety, mają na celu wspomaganie zdrowia i dobrostanu organizmu. Suplementacja nie zastąpi jednak ani zdrowego trybu życia, ani aktywności fizycznej czy też leczenia w chorobie – podkreśla dr Joanna Uchańska, wiceprezeska zarządu KRSiO.

■■■

Raport „Polacy a suplementy diety" z 2022 r. podaje, że najczęściej kupujemy produkty witaminowo-mineralne (81 proc.), na drugim miejscu są preparaty poprawiające wygląd skóry, włosów i paznokci – trzecią pozycję zajmują specyfiki wzmacniające stawy i kości. Jednym z najbardziej popularnych w suplementacji pierwiastków jest magnez i choć obniża on skuteczność leków stosowanych w nadciśnieniu tętniczym, zmniejsza absorpcję leków przeciwbakteryjnych i przeciwzakrzepowych, to aplikujemy go sobie bez umiaru i zazwyczaj bez konsultacji z lekarzem.

– Suplementy wzmacniają relatywnie szybko i niedrogo poczucie sprawstwa i poprawiają samopoczucie osobom zatroskanym o swoje życie. Mogą być też sposobem na radzenie sobie z poczuciem winy, które nas dopada, kiedy przyglądamy się naszemu życiu i widzimy, że znacznie odbiega ono od społecznych czy też wewnętrznych oczekiwań – podsumowuje dr Łukasz Jach.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

TOMASZ

Stawiszyński: *Metoda w maskaradzie*

„Semantyka, semantyka! Użyłem tego sformułowania metaforycznie!" – krzyczał pewien dowcipniś, wyraźnie rozczarowany brakiem poczucia humoru u obsługi warszawskiego lotniska. Chwilę wcześniej, zapytany, czy przewozi jakieś niebezpieczne przedmioty, wskazał na swoje dziecko siedzące w wózku i wesoło oznajmił, że, owszem, jego synek to „bomba z opóźnionym zapłonem". Na dźwięk słowa „bomba" pracownik terminalu, zamiast wybuchnąć śmiechem, od razu zawezwał ochronę, ta zaś po przybyciu, również wcale się nie śmiejąc, zawezwała (podobnie niewesołą) policję. Dyskusja pomiędzy dowcipnisiem, ochroną a policjantami toczyła się długo i obfitowała w terminologię z zakresu językoznawstwa, a nawet filozofii. Jak się to skończyło, czy dowcipniś z rodziną poleciał, czy pozostał na ziemi – nie mam pojęcia. Ale w takich przypadkach mandat i konieczność modyfikacji planów to nierzadko stosowana reprymenda.

W gronie widzów całego tego komediodramatu, czyli innych pasażerów stojących w kolejce do odprawy, opinie były podzielone. Jedni trzymali stronę dowcipnisia, skądinąd słusznie podkreślając, że przecież wszyscy doskonale widzimy, jak jest: dziecko z całą pewnością nie wybuchnie, ani od razu, ani też „z opóźnieniem". Po co więc ta maskarada i strata czasu? A do tego – zwrócił ktoś przytomnie uwagę – żaden faktyczny zamachowiec nie zadeklarowałby wszak ładunku wybuchowego. Kto więc deklaruje, ten właśnie zamachowcem raczej nie jest. A że na sto procent nie jest w omawianym przypadku – to da się bez wahania stwierdzić gołym okiem, nie trzeba być do tego profilerem. Wreszcie kwestia zasadnicza, czyli ta nieszczęsna semantyka. Ostatecznie języka używamy na różne sposoby i to one – a nie wyłącznie słownik – decydują, w połączeniu z kontekstem, o znaczeniu poszczególnych słów i zdań. O czym pracownik lotniska, ochrona oraz policja, wyraźnie naburmuszeni, zdawali się po prostu nie pamiętać.

Cóż, trudno się z tymi argumentami nie zgodzić. Zarazem zdecydowanie zgodzić się z nimi nie należy. W gruncie rzeczy nie stosują się one bowiem do tej sprawy, w niej samej odzwierciedla się natomiast bardzo powszechne nieporozumienie. Obecne nie tylko w oczach naszego żartownisia, ale także np. we współczesnym kryzysie zaufania do nauki i rosnącej popularności różnych dziwnych teorii, w tym spiskowych.

Zacznijmy od tego, że w procedurach stosowanych w lotnictwie – w kwestii bezpieczeństwa i w ogóle – chodzi o systematyczność, powtarzalność i brak wyjątków. Jeśli, dajmy na to, wystąpi określona usterka, należy przesunąć start do czasu jej usunięcia, niezależnie od tego, czy z taką usterką samolot mógłby spokojnie lecieć, czy nie. Nawet jeśli mógłby i wszyscy to wiedzą – podobnie jak wszyscy wiedzieli, że dowcipniś nie mówi poważnie – to i tak samolot zostaje uziemiony, choć zapewne nic by się nie stało, gdyby wystartował. Dopiero taka właśnie sztywność i nieselektywność – *summa summarum* – owocuje statystycznie najwyższym bezpieczeństwem spośród istniejących środków transportu. W tej „maskaradzie" zatem ukrywa się metoda, cokolwiek by na ten temat sądził dowcipniś.

Oczywiście, jest to teoretycznie paradoks, bo osiąga się ten najwyższy stopień bezpieczeństwa wykonując często działania, wydawałoby się, bezsensowne i bezzasadne w konkretnych przypadkach. Ale istota sprawy tkwi w prawdopodobieństwie. W wielu sytuacjach, kiedy musimy podjąć jakąś decyzję lub działanie, nie mamy po prostu pełnych danych, możemy więc coś przeoczyć, czegoś nie zauważyć, coś nam może umknąć. Ścisłe stosowanie procedur ma nas na każdą taką okoliczność ubezpieczyć. Dodatkowo tam, gdzie w grze jest jednocześnie bardzo wiele czynników i ośrodków decyzyjnych, dochodzi czasem do zjawiska rozproszenia odpowiedzialności. Ludzie nie zajmują się pewnymi sprawami nie z niedbalstwa, lecz z bezwiednie przyjmowanego założenia, że ktoś inny z pewnością się nimi zajmie. Ów „ktoś inny" jednak, zdarza się, myśli podobnie. W rezultacie nikt nie robi tego, co zrobić trzeba. Tymczasem ścisłe stosowanie procedur ma tego typu przeoczeniom zapobiegać. I rzeczywiście, statystycznie, zapobiega.

Prowadzi to nas do zaskakującej konstatacji, która, znowu: paradoksalnie, bywa używana jako oręż choćby we współczesnych atakach na naukę czy medycynę (nasiliły się one zwłaszcza od czasu pandemii). A mianowicie: kto generalnie postępuje racjonalnie, ten niekiedy w pojedynczych przypadkach postępuje nieracjonalnie. I odwrotnie: kto w pojedynczym przypadku postępuje, wydawałoby się, racjonalnie, nie musi wcale kierować się racjonalnymi regułami działania. W osiąganiu statystycznie najlepszych możliwych wyników nie chodzi jednak o każdy pojedynczy przypadek z osobna, lecz o zasadę, która sprawdza się w ogólności. Na tym oparta jest choćby polityka zdrowotna, tak działa w ogóle – a może raczej: tak działać powinna – mechanika instytucji społecznych.

Zrozumienie tej paradoksalności, dostrzeżenie, że z niej właśnie bierze się siła tych rozwiązań – niedoskonałych, bo doskonałości nie ma, lecz najlepszych możliwych i wystarczająco dobrych – może być skuteczną szczepionką (nomen omen) przeciwko wielu różnym pseudonaukowym i spiskowym teoriom.

A gdyby tylko dowcipniś rozumiał, na czym ona polega, nie mam wątpliwości – poleciałby sobie spokojnie z rodziną na wakacje, zamiast wykłócać się z policją o semantykę. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

OPINIE

GAZ DO DECHY I JEDZIEMY PO ŚMIERĆ

Po licznych tragediach na drogach Polacy kolejny raz głośno pytają: kiedy wreszcie skończy się ten koszmar?

BARTOSZ JÓZEFIAK

Nagranie jest przerażające. Na filmiku widać osobowego forda, który nocą przejeżdża przez trasę Łazienkowską. Nagle z impetem wpada w niego luksusowy volkswagen arteon. Siła uderzenia jest ogromna, wypycha forda kilkaset metrów do przodu. Wóz uderza w barierki, silnik wybucha.

Fordem podróżowała czteroosobowa rodzina. Siedzący z tyłu 37-letni ojciec zginął na miejscu. Matka wraz z 8-letnią córką i 4-letnim synem trafili do szpitala. Cudem przeżyli. Kierowca volkswagena zbiegł z miejsca zdarzenia, do tego najprawdopodobniej był pijany.

Po pijaku to jednak wstyd

To kolejna samochodowa katastrofa, która wstrząsa Polską. W ubiegłym roku czwórka młodych mężczyzn pędziła renault megane przez centrum Krakowa z prędkością 162 km/godz. Uderzyli w mur nad Wisłą, zginęli na miejscu. Kierowca i pasażerowie byli pijani.

Minęły też równo dwa miesiące, odkąd w wypadku na autostradzie A1 pod Piotrkowem zginęła trzyosobowa rodzina. Ich kia spłonęła po tym, jak uderzyło w nich pędzące ponad 300 km na godzinę sportowe bmw. Historia ta bulwersuje do

FOTODAX / SHUTTERSTOCK

dzisiaj, bo policja na miejscu zdarzenia popełniła szereg błędów, a sprawca wypadku zdążył uciec do Dubaju. Mimo osobistego zaangażowania ministra spraw zagranicznych, wciąż nie wiadomo, czy uda się go stamtąd ściągnąć.

Z kolei nieco ponad miesiąc temu w Warszawie kierowca suva potrącił kobietę na pasach, stracił panowanie nad samochodem i uderzył w przystanek. Dwie osoby zmarły, cztery trafiły do szpitala. Tym razem policjanci, nauczeni chyba doświadczeniem kolegów z Piotrkowa, od razu zatrzymali kierowcę. Nie był pijany, ale w przeszłości miał już cofnięte prawo jazdy.

Jedna rzecz łączy wszystkie te wypadki – i jest to prędkość, do której jeszcze wrócimy. Na razie przyjrzyjmy się alkoholowi.

Wypadek na moście Łazienkowskim jest wyjątkowo oburzający. Sprawca Łukasz Ż. z miejsca zdarzenia uciekł za granicę – udało się go zatrzymać w Niemczech. W samochodzie podróżowała z nim Paulina K., dziewczyna Łukasza Ż. Kobieta odniosła poważne obrażenia, ale pozostali pasażerowie auta nie zamierzali jej pomóc. Mało tego – odganiali świadków, którzy chcieli ułożyć ją w pozycji bocznej bezpiecznej. Śledczym próbowali wmówić, że to ona prowadziła volkswagena. Prokuratura nie dała się nabrać. Trójka pijanych pasażerów trafiła do aresztu za utrudnianie śledztwa i nieudzielenie pomocy ofierze.

Policjanci zdobyli nagrania z kamer w knajpie, w której wcześniej Łukasz Ż. balował razem z kumplami. Wiemy więc prawie na sto procent, że w momencie wypadku był pijany. Pod wpływem był również kierowca renault z krakowskiego wypadku sprzed roku.

Czy to właśnie alkohol zbiera najbardziej śmiertelne żniwo na naszych drogach? Statystyki tego nie potwierdzają.

W 2023 roku pijani użytkownicy dróg (zarówno kierowcy, jak i piesi) odpowiadali raptem za 7,6 proc. wypadków oraz 13 proc. ofiar śmiertelnych, co przełożyło się na 251 zgonów. Każdy wypadek to tragedia, a jazdy pod wpływem nie da się usprawiedliwić, ale musimy wiedzieć, że liczba wypadków z udziałem alkoholu od lat systematycznie spada.

Pracując dla programu „Uwaga!" TVN, miałem okazję rozmawiać z kierowcami, którzy zostali złapani za jazdę pod wpływem. Stracili prawo jazdy, obowiązkowo musieli też udać się na kurs prowadzony przez psychologa. Głównym uczuciem wśród kursantów był wstyd. Nie było właściwie osoby, która bagatelizowałaby swoje zachowanie. Od jednego chłopaka usłyszałem: „w sumie dobrze, że mnie złapali. Bo tak to bym dalej jeździł naje..., aż by doszło do tragedii". Wszyscy ukrywali ten fakt przed rodziną i przyjaciółmi. Jedna z kursantek powiedziała tylko mężowi. Przed rodzicami udawała, że wciąż może prowadzić auto.

Widać, że miał pieniądze

Moja teoria jest taka: jazda na gazie nie jest już społecznie akceptowana. To już nie te czasy, gdy pijany wujek z imprezy wyskakiwał po flaszkę i nikt z gości nie reagował.

Dlaczego więc mamy wrażenie, że pijani kierowcy masowo wsiadają za kółko? Bo – i to teza druga – nadal znajdują się grupy społeczne, gdzie jazda pod wpływem alkoholu jest bagatelizowana. To, wbrew stereotypom, nie są mieszkańcy małych ośrodków czy osoby gorzej wykształcone. Wręcz przeciwnie – mówimy tu o ludziach majętnych, celebrytach, ↦

Nielegalne nocne wyścigi samochodowe. Wrocław, 3 grudnia 2023 r.

↦ gwiazdach estrady, sportowcach. Gdy osoby ze świecznika zostaną złapane na gazie, słyszymy o tym od razu. Stąd mylne wrażenie powszechności zjawiska.

Zadziwia mnie jednak brak jakiejkolwiek skruchy u pijanych kierowców: ludzi z pierwszych stron gazet. Świętej pamięci Jerzy Stuhr, który potrącił motocyklistę, mając we krwi 0,7 promila, twierdził, że jego skazanie to atak PiS-owskich służb. Beata Kozidrak przy zatrzymaniu wydmuchała 2 promile. W sądzie wygłosiła typowe nie-przeprosiny, po czym odwołała się od wyroku, który skazywał ją na prace społeczne. Tłumaczyła, że nie może sobie pozwolić na przerwanie trasy koncertowej. Sąd przychylił się do wniosku uznanej artystki.

Przyjaciółka Łukasza Ż., sprawcy wypadku na Trasie Łazienkowskiej, opowiadała o nim reporterowi „Uwagi!": „Miał pieniądze i zawsze bardzo obnosił się z tym, że je ma. Zawsze miał dużo gotówki przy sobie. Wiem, że samochody zmieniał kilkakrotnie. Były to drogie fury".

Z kolei Patryk P., który spowodował wypadek w Krakowie, był synem celebrytki. Być może w przypadku osób z pewną pozycją społeczną i zawodową nie działa naturalny mechanizm obronny – w ich otoczeniu brakuje osób, które odważyłyby się powiedzieć: „nie przeginaj", albo zwyczajnie zabrały kluczyki.

Od marca tego roku sytuacja wydaje się czytelna. Kierowcy, którzy w wydychanym powietrzu mają 1,5 lub więcej promili alkoholu, obligatoryjnie tracą nie tylko prawo jazdy, ale też samochód – i to niezależnie od tego, czy spowodowali wypadek.

Przez trzy miesiące obowiązywania nowych przepisów liczba kierowców zatrzymanych na rauszu spadła jednak tylko o 10 procent. Nie są to więc imponujące liczby, ale na całościową ocenę nowych przepisów powinniśmy poczekać przynajmniej rok. Wiadomo już, że nowe prawo – mimo wątpliwości, czy rekwirowanie aut jest na pewno zgodne z prawem – nie zostanie złagodzone. Taką decyzję miał ponoć podjąć sam Donald Tusk.

Zapraszamy na ćwiartki

Jeszcze jedna rzecz, która łączy Patryka z Krakowa i Łukasza z Warszawy. Obaj mieli należeć do subkultury kierowców biorących udział w nocnych miejskich wyścigach. Łukasz Ż. białego arteona pobrał z wypożyczalni sportowych aut. Według dziennikarzy w momencie wypadku ścigał się z jadącym obok właścicielem wypożyczalni.

Nielegalne nocne wyścigi odbywają się niemal w każdym dużym polskim mieście i wielu mniejszych. Schemat zawsze jest podobny: ktoś organizuje wydarzenie na Facebooku; zazwyczaj część „oficjalna" odbywa się na parkingu przed galerią handlową. Tam fani motoryzacji zaglądają sobie pod maski, oglądają poprzerabiane fury. Tam też organizatorzy podają kod QR, który zaprowadzi uczestników na tajny kanał na Telegramie. A tam już podawane są miejscówki na „ćwiartki", czyli wyścigi na ćwierć mili, znane fanom filmowej serii „Szybcy i wściekli".

Wielbiciele wyścigów dzielą się na dwie grupy: pierwsza to bananowa młodzież z bogatych domów, którą stać na zakup lub wypożyczenie luksusowego auta. Drugą, ze skromniejszym portfelem, charakteryzuje „miłość do motoryzacji". W przyblokowych garażach i na podwórkach podrasowują swoje fury na własną rękę lub z kumplem – mechanikiem.

Brałem udział w takich zlotach i nielegalnych wyścigach w Łodzi, pracując nad książką „Wszyscy tak jeżdżą". Średnia wieku wynosiła na oko 20 lat. Ja sam niedługo będę miał dwa razy tyle, ale bez problemu zdobyłem kod QR i informację o miejscówkach na wyścigi.

Tej nocy policja pojawiła się po godzinie, specjalnie nam nie przeszkadzając. Dlaczego funkcjonariusze nie interweniowali? Widzę dwie przyczyny. Pierwsza: ciężko oczekiwać, że dwa radiowozy skutecznie sprawdzą ponad stu kierowców. Notorycznie niedofinansowana policja nie ma mocy przerobowych, żeby regularnie organizować obławy z prawdziwego zdarzenia. Ale nie ma też czytelnych podstaw prawnych, bo sam udział w zlocie nie jest nielegalny. Nielegalne jest „jedynie" przekroczenie prędkości, a na zlotach w danym momencie ścigają się tylko dwa auta. Reszta się przygląda i czeka na swoją kolej.

Co pcha młodych mężczyzn do szaleńczej jazdy? Psychologowie dobrze znają odpowiedź: szukanie stymulacji, np. przez nagły przypływ testosteronu. Potrzeba rywalizacji i akceptacji wśród rówieśników. Chęć zaimponowania znajomym. A także brak poczucia konsekwencji swoich czynów. No i social media, gdzie młodzi ludzie z dumą dokumentują swoją brawurową jazdę. Tak było w wypadku Rafała z Krakowa, który zginął chwilę po tym, jak nagrał filmik z wnętrza rozpędzonego wozu. Tak samo zrobiły dwie 18-latki, które srebrnym audi pędziły przez wsie pod Świebodzinem. Nagrały wideo, na którym widać drogę i licznik, a roześmiana kierowczyni woła: „sto osiemdziesiąt... sto dziewięćdziesiąt!". Chwilę później odebrały trzech kumpli spod bloku. Na koniec cała piątka w srebrnym audi wylądowała w jeziorze. Nikt nie przeżył.

Rok temu przy okazji krakowskiego wypadku pisałem w tekście dla „Tygodnika": „W naszym kraju większość młodych ludzi robi prawo jazdy natychmiast, gdy tylko skończy 18 lat. »Zdanie prawka« stało się rytuałem wejścia w dorosłość. (...) Rodzice sami wypychają dzieci na kursy prawa jazdy, bo nie chcą już wszędzie ich wozić. Tyle tylko, że masowo wpuszczając osiemnastolatków do samochodów prosimy się o kłopoty – bo to nie jest wiek, w którym podejmuje się najbardziej odpowiedzialne decyzje".

Swoje zdanie podtrzymuję. Jak i to, że naczelną przyczyną wypadków, w tym tych najgłośniejszych, wcale nie jest alkohol czy wiek sprawców, tylko... tak, zgadli Państwo – prędkość.

Drogowe zabójstwo? Nareszcie!

2023 rok przełomu w tej kwestii nie przyniósł. Znowu prędkość odpowiada za największą liczbę wypadków śmiertelnych (662 ofiary, blisko 40 proc. ogółu) i niemal największą liczbę wypadków w ogóle. Łącznie na naszych drogach zginęły w zeszłym roku 1622 osoby. To o 1622 ludzkie dramaty za dużo, ale znowu: statystyki pozwalają na umiarkowany optymizm. Wskaźnik liczby ofiar wypadków śmiertelnych w przeliczeniu na milion mieszkańców dla Polski wynosi 52, przez co trafiamy w środek unijnej tabeli, obok Czech, Słowacji, Włoch czy Węgier. Znacznie wyprzedzamy np. Rumunię (81) czy Bułgarię (82), z którymi jeszcze do niedawna okupowaliśmy najgorsze rejony tego zestawienia. Dużo nam jednak brakuje do takich liderów bezpiecznych dróg, jak Szwecja (22), Szwajcaria (28) czy Dania (26).

Co możemy zrobić, żeby poprawić sytuację? Odpowiedzi na te pytania jest wiele, dotyczą m.in. prawodawstwa, systemu szkoleń czy odpowiedniej infrastruktury. Ja zwrócę uwagę na dwie przyczyny.

Od jednej z moich bohaterek, której matka zginęła, potrącona przez rozpędzone auto, usłyszałem: „W Polsce to najlepiej zabić kogoś samochodem. Bo wtedy nic cię nie spotka. To już za zabicie psa dostaje się więcej".

Gorzkie, ale – niestety – często prawdziwe.

W Polsce maksymalna kara za spowodowanie wypadku to 8 lat więzienia, a jeśli kierowca był pod wpływem – 12 lat. W przypadku najgłośniejszych drogowych tragedii sędziowie faktycznie przyklepują ośmioletnie lub zbliżone wyroki bezwzględnego więzienia. Ale codzienność w Polskich sądach jest inna.

Z informacji wyciągniętych z Ministerstwa Sprawiedliwości wiem, że w sądach I instancji 4 na 5 sprawców wypadków, w których ofiary zmarły lub zostały ciężko ranne, dostają wyrok w zawieszeniu. Sprawca może pędzić stówą przez teren zabudowany, może jechać w niesprawnym aucie albo nie posiadać prawa jazdy (lub mieć wszystkie te przewinienia na koncie – taką sprawę też widziałem), a i tak nie trafi za kratki. Prokuratorzy proponują niskie kary, a sądy na nie przystają – chyba że rodzina ofiary się odwoła.

Temat łagodnego traktowania drogowych bandytów wrócił przy okazji wypadku na Trasie Łazienkowskiej. Kierowca Łukasz Ż. miał już pięciokrotnie zabrane prawo jazdy za prowadzenie pod wpływem. Teoretycznie za tak rażące lekceważenie prawa powinien trafić za kratki. Tak się jednak nie stało. Dlaczego? Tego, miejmy nadzieję, niebawem się dowiemy.

Pobłażliwość wymiaru sprawiedliwości jest porażająca, ale też systemowa. W polskim prawie spowodowanie wypadku jest przestępstwem nieumyślnym. Nawet jeśli kierowca świadomie łamie przepisy, to zabija rzekomo nieświadomie. Na logikę jest inaczej – jeśli ktoś pędzi przez wieś, to raczej powinien się liczyć z tym, że kogoś zabije. Dla polskiego prawodawcy sprawa widocznie nie jest oczywista.

Być może sytuacja ta ulegnie zmianie. Resort sprawiedliwości pod naporem medialnych spraw i dziennikarskich pytań obiecał, że przyjrzy się propozycjom zmian przepisów, takim jak: „wprowadzenie do katalogu przestępstw zabójstwa drogowego, stworzenie systemu identyfikacji na drogach osób z orzeczonymi zakazami prowadzenia pojazdów czy też przepadek pojazdu kierowanego przez osobę posiadającą zakaz jego prowadzenia".

FOTODAX / SHUTTERSTOCK

Zwłaszcza przepisy o zabójstwie drogowym (jeśli kara byłaby wystarczająco wysoka, a przepisy precyzyjne) mogłyby stać się prawdziwym game changerem na polskich drogach.

Fotoradar nam pomoże

Proponowane przepisy to sposób na karanie kierowców, którzy już prawo złamali. Lepiej jest jednak zapobiegać temu, by kierowcy w ogóle mogli się rozpędzać. Osiągnąć to można np. poprzez przebudowę infrastruktury. Tam, gdzie są trzy pasy w środku miasta, robimy dwa, lub – jako rewolucję – jeden, a na pozostałych wyznaczamy drogę rowerową lub buspas. Przejścia dla pieszych wynosimy, żeby stawały się też progami spowalniającymi. Istniejące pasy ruchu zwężamy z 7 do 6 metrów, poszerzamy za to chodnik. Kierowca ma wtedy poczucie, że musi zwolnić.

Już widzę kierowców (a w ślad za nimi – prezydentów miast), którzy słysząc te pomysły, dostają palpitacji serca. Takie przebudowy mogą być politycznie, ale też całkiem dosłownie, kosztowne.

Jest jednak tańsze, choć równie niepopularne rozwiązanie – zwiększamy liczbę fotoradarów i odcinkowych pomiarów prędkości. Kierowca, który chce się rozpędzić, zastanowi się pięć razy, mając w pamięci nowy taryfikator mandatów.

To są metody niezawodne, co wie każdy, kto przejeżdżał np. ekspresówką S2 w Warszawie. Rozpędzone wozy gwałtownie zwalniają do osiemdziesiątki, widząc znak informujący o odcinkowym pomiarze. Przez tunel pod Ursynowem jadą już grzecznie jak baranki.

Obecnie w Polsce mamy około 600 urządzeń do automatycznego pomiaru prędkości. Dramatycznie mało. Francja ma ich 7 tys., Włochy – ponad 6 tys., Wielka Brytania czy Niemcy – około 4 tys.

Dekadę temu politycy PO w populistycznym uniesieniu przed wyborami odebrali samorządom prawo do posiadania fotoradarów. Do dziś jedyną instytucją, która zajmuje się tymi urządzeniami, jest Inspekcja Transportu Drogowego. Do tej pory, z powodu braku środków, ITD z tego obowiązku wywiązywała się fatalnie. Efekt? W Polsce tylko za ok. 20 proc. wystawionych mandatów odpowiadają maszyny, za 80 proc. – policjanci. W zachodniej Europie jest dokładnie na odwrót. To tak, jakbyśmy cały czas prali ręcznie, chociaż wszyscy sąsiedzi kupili już elektryczne pralki. A przecież rozwiązania są proste. Trzeba radykalnie dofinansować ITD (może z wykorzystaniem funduszy unijnych?) oraz przywrócić samorządom prawo do ustawiania fotoradarów – być może tak zmieniając przepisy, by „zyski" z mandatów trafiały do budżetu centralnego, a nie kasy gminy. Unikniemy w ten sposób niesławnego ustawiania fotoradarów po krzakach przez straż miejską, która w ten sposób w niektórych gminach łatała dziurawy budżet.

Pomysły leżą na stole. Tylko czy obóz rządzący będzie miał odwagę, by po nie sięgnąć? Samo podwyższanie kar, nawet jeśli słuszne i sprawiedliwe, problemu nie rozwiąże. © BARTOSZ JÓZEFIAK

Autor jest reporterem „Uwagi!" TVN. Napisał książkę „Wszyscy tak jeżdżą".

WIARA

KIEDY OBCY SZUKA DOMU

BP KRZYSZTOF ZADARKO:

Ciągle zdarzają się przypadki, że ludzi, którzy pomagają na granicy, traktuje się jak zdrajców. To, według mnie, hańba.

EDWARD AUGUSTYN: „Ci którzy systemowo chcą zatrzymywać imigrantów, poprzez ich zawracanie i militaryzację granic, popełniają grzech ciężki". To jedna z ostatnich wypowiedzi papieża Franciszka. Nie jest Ksiądz Biskup rzecznikiem papieża, ale musi się za niego wytłumaczyć.

BP KRZYSZTOF ZADARKO: Każdy biskup jest rzecznikiem papieża. A przynajmniej powinien być, solidaryzować się z tym, co papież mówi, rozumieć, o co mu chodzi. Biskupstwo ma sens wtedy, kiedy jest w jedności z papieżem.

O co więc chodzi? O otwarcie granic na oścież? Przyjęcie wszystkich?

Nie do końca. Dokumenty Kościoła na temat uchodźców, a zwłaszcza ten najważniejszy, „Przyjęcie Jezusa Chrystusa w uchodźcach i przymusowo przesiedlonych" z 2013 roku, formułują warunki, jakie muszą spełnić osoby, które chcą zostać przyjęte w nowym kraju. A więc: uszanowanie lokalnej tradycji, kultury, religii, prawa i zasad bezpieczeństwa. Papież może nie za często o tym mówi, ale to oficjalna nauka Kościoła.

Zwykle po prostu apeluje o przyjęcie.

To prawda. Bo to jest najważniejsze. Jeżeli zaczniemy od dyskusji o warunkach, to nigdy nie dopuścimy do przyjmowania. Uczepimy się tych warunków i znajdziemy tysiące sposobów, żeby nie pójść krok dalej. A tu chodzi nie tylko o nasze ewangeliczne podejście, ale o zwykłą wrażliwość, która jest tak bardzo potrzebna w czasach pełzającej obojętności, jak mówił już Jan Paweł II. To obojętność na drugiego człowieka, który w pewnym momencie staje się niedostrzegany, traktowany jak śmieć. To ważna część nauczenia Franciszka. Przyjęcie musi być jednoznaczne. Dlatego że rośnie liczba ludzi odrzuconych i wyzyskiwanych.

Najważniejszym kryterium nie jest interes państwa czy bezpieczeństwo narodowe, lecz człowiek, niezależnie od tego, czy został formalnie uznany za uchodźcę, czy nie – mówi wspomniany dokument.

Papież kilka razy to zdanie przypomniał. Powtórzył je też abp Gądecki. W przypadku konfliktu wartości – ratowanie człowieka czy ochrona granic – priorytetem dla chrześcijanina jest dobro człowieka. To się tyczy np. granicy polsko-białoruskiej. Nie można posługiwać się z góry przyjętymi założeniami, że to wrogowie przysłani przez Putina. Że sami są sobie winni, bo dali się naciągnąć. Że przekraczają granicę nielegalnie, a powinni zdobyć wizę i pójść na legalne przejście. To wszystko może być prawdą, tylko że wtedy ginie nam z oczu człowiek. A my czujemy się w porządku, mamy po swojej stronie argumentację prawniczą, socjologiczną, polityczną, tylko nie mamy tego, co najważniejsze dla chrześcijanina

WOJTEK RADWAŃSKI / AFP / EAST NEWS

Kurdyjska rodzina z Iraku zatrzymana przez polską straż graniczną w okolicach Narewki, listopad 2021 r.

– wrażliwości ewangelicznej i humanitarnej.

Papież i Kościół nie widzą w migracji żadnego zagrożenia?

Kościół ma doświadczenie dwóch tysięcy lat i takich „fal migracyjnych" było bardzo dużo, choćby wędrówki ludów z I tysiąclecia. Na podstawie tych doświadczeń Kościół formułuje bardzo roztropne warunki, które muszą być spełnione, by uniknąć naiwności czy utopijnych wizji, które mają tylko pozory ewangelicznych ideałów. Ewangelia jest bardzo konkretnie zakorzeniona w życiu człowieka.

Wiemy, jak się skończyły te wędrówki ludów – przemocą i grabieżą, upadkiem państw i kultur.

Powstała nowa Europa. Chrześcijaństwo nie zniknęło. Pojawiła się cywilizacja *christianitas*. To wszystko stałoby się niezależnie od tego, czy Kościół zachowałby się wtedy tak, czy inaczej. Nic by nie dało zwieranie szyków czy przeciwstawianie się nawałnicy obcych.

Wiele osób uważa, że można i trzeba się przeciwstawić. Mówi Ksiądz Biskup, że ważny jest konkretny człowiek, który przechodzi przez płot, ale dlaczego mniej ważni mają być ci, którzy boją się o swoje rodziny, zgwałcone kobiety, ci, którzy ucierpieli z rąk islamskiego nożownika. Ludzie po prostu się boją.

Lęki są uzasadnione, nie wolno ich ignorować. Ale problem polega na tym, że zamiast zarządzać zjawiskiem migracji, zarządzamy lękiem. To dwie różne rzeczy, tylko z pozoru wspólne. Jeżeli na naszej granicy stanie człowiek, który prosi, by go wpuścić, i chce spełnić warunki, o których wspominałem, a my mamy narzędzia, żeby to kontrolować, dlaczego mamy go nie wpuścić? Dlaczego mamy odmówić lepszej przyszłości człowiekowi, który ucieka ze swego kraju nie dla kaprysu, ale by zapewnić przyszłość swoim dzieciom?

Tyle że takich osób jest coraz więcej. W samej Afryce żyje 1,5 miliarda ludzi. Nawet niewielki procent chętnych daje kilkadziesiąt milionów osób u granic Europy.

I to jest problem, na który musimy już teraz zacząć reagować. A nie widać żadnych działań w tym kierunku. Dlatego papież mówi, że muszą zostać podjęte wysiłki na płaszczyźnie międzynarodowej, by stworzyć mechanizmy legalnej, regulowanej migracji.

Jakie mogą być legalne metody migracji dla kilkuset milionów ludzi?

Przede wszystkim musimy tworzyć mechanizmy zatrzymania ich w Afryce, stworzenia dla nich perspektyw na przyszłość. Ale to nie jest zadanie dla Kościoła, przepraszam bardzo. To zadanie dla polityków, ludzi biznesu, korporacji. To oni są głównymi sprawcami nieszczęścia, jakim jest migracja. Oni doprowadzają do tego, że ludzie uciekają ze swoich krajów. Kościół nie jest od formułowania technicznych rozwiązań.

A co może zaproponować?

Moim zdaniem najlepszym i najbardziej ewangelicznym podejściem są „korytarze humanitarne" stworzone przez wspólnotę Sant'Egidio. To nie tylko ratowanie ludziom życia, wydobywanie ich z piekła wojny, ale także przygotowywanie tych, którzy zechcą się nimi opiekować. Każda sprowadzona rodzina jest przypisana do konkretnej rodziny, która towarzyszy im przez kilka lat, pomaga w edukacji, pracy, odnalezieniu się w lokalnej społeczności. W ciągu 8 lat tylko do Włoch udało się legalnie sprowadzić 7,5 tys. osób. To jest niesamowita liczba. Korytarze działają w czterech krajach: Włoszech, Francji, Belgii i Andorze.

My jednak mówimy o milionach imigrantów. Skąd wziąć tyle rodzin, które ich przyjmą?

Zgoda. Ale mówię o mechanizmie, nie o liczbach, które dla wielu mogą się ↦

↦ wydać nieznaczące. Nie możemy mówić, że skoro nie da się przyjąć wszystkich, to nie przyjmujmy nikogo. Znamy wezwanie Jezusa z Ewangelii św. Mateusza, rozdział 25: „byłem obcy, a przyjęliście mnie". Lub nie przyjęliście. Uważam, że korytarze humanitarne to model, który powinno się powielać, by ratować życie. Zupełnie inny, niż przyjęto na Zachodzie, gdzie myśli się tylko o demografii i ekonomii.

Model niemiecki czy francuski oparty jest na pracy. Jeden ze szwajcarskich filozofów powiedział: „ściągnęliśmy siłę roboczą, a okazało się, że przyjechali ludzie". Ludzie – mający rodzinę, żonę, dzieci, tradycję, kulturę. Zbagatelizowano fakt, że ludzie oprócz pracy potrzebują też pielęgnować swoje tradycje, a przede wszystkim poznać miejsce i społeczeństwo, które ich przyjęło. Korytarze humanitarne Sant'Egidio polegają na budowaniu relacji.

Dlaczego w Polsce nie udało się ich wprowadzić?

Już w 2015 r., w odpowiedzi na apel papieża, by każda plebania przyjęła jedną syryjską rodzinę, przyjęliśmy na konferencji episkopatu projekt „Rodzina rodzinie", by pomóc syryjskim uchodźcom materialnie. Potem pojawiła się kwestia korytarzy humanitarnych, ale została kategorycznie odrzucona przez rząd. Przez następny również. Wtedy to było niemożliwe.

Mówimy o rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. A czy przy rządzie Donalda Tuska jest to możliwe?

Mam wątpliwości, czy dziś w ogóle znaleźliby się chętni do włączenia się w taki projekt, gdybyśmy nawet znowu go ogłosili. Jest zupełnie inna atmosfera. Bardzo nad tym boleję. Pozostają rozwiązania populistów.

Kontakty Księdza Biskupa z obecnym rządem są łatwiejsze?

Czekamy na jeden bardzo ważny krok, czyli dokument o polityce migracyjnej państwa polskiego. Myślę, że dopiero z czasem zobaczymy, jak ten rząd sobie radzi z imigracją. Wspólnota chrześcijan, podobnie jak organizacje pozarządowe, mogą podejmować swoje wysiłki na rzecz integracji po działaniach rządu i samorządów. Nie jesteśmy od tworzenia alternatywnych modeli imigracyjnych. To kompetencja państwa.

Za poprzedniego rządu po polskiej stronie granicy z Białorusią zginęło co najmniej kilkadziesiąt osób. Z powodu nieudzielenia im pomocy.

Ofiar było więcej. Ale nie tylko z tego powodu. Sytuacja nie jest czarno-biała. Część ludzi odmawiała złożenia wniosku o azyl w Polsce. Dlatego całkowicie *lege artis* byli zawracani. Niektórzy świadomie wybierali *pushback*, żeby spróbować jeszcze raz, bo może się uda przejść, zabiorą ich umówieni przemytnicy, dojadą do Berlina. Nie wszyscy więc zostali źle potraktowani czy odmówiono im pomocy. Niektórzy ryzykowali sami. Takie przypadki też mogły się zdarzyć.

Co Ksiądz Biskup czuł, słysząc o śmierci na granicy?

Byłem kilka razy na cmentarzu muzułmańskim w Bohonikach. Za każdym razem zadaję sobie to pytanie: czy zrobiliśmy wszystko – my, katolicy, chrześcijanie – żeby do tych śmierci nie dopuścić. Wiem, że na wojnie ludzie giną, a tu też mieliśmy fragment wojny, tak zwanej hybrydowej. Ale to nie może nas usprawiedliwiać.

A zatem: zrobiliśmy wszystko?

Na pewno mogliśmy zrobić więcej. Na pewno za mało o tym mówiliśmy. Choć w grudniu 2021 r. napisaliśmy apel o humanitarne traktowanie imigrantów na granicy. Podpisaliśmy go we czterech: Michael Schudrich, naczelny rabin Polski, bp Jerzy Samiec, zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego, Tomasz Miśkiewicz, mufti Muzułmańskiego Związku Religijnego w Polsce, i ja. Złożyliśmy go w sekretariacie gabinetu prezydenta Andrzeja Dudy. Potem ten apel podjął jeszcze abp Wojciech Polak, kierując go do ministra Mariusza Kamińskiego.

Apele nic nie dały. Rząd zabronił udzielania pomocy na granicy.

Padły zapewnienia, że pomoc funkcjonariuszy jest wystarczająca. Uważam, że wybieg ze stworzeniem „strefy zero", w której nie wolno było nikomu przebywać i nie można było uzyskać żadnych zezwoleń, nie był dobrą decyzją. Dla mnie ważne jest też pytanie, czy Caritas, nasza organizacja, zrobiła wszystko. Owszem, otworzyliśmy punkty z pomocą, tzw. namioty nadziei, ale mam wrażenie, że można było zrobić więcej. Na przykład pójść do lasu, tak jak wolontariusze z różnych organizacji pozarządowych.

To było traktowane jako przestępstwo.

Tak. Dlatego rozumiem ludzi, z Caritasu czy tamtejszych parafii, którzy nie poszli. Nie oceniam ich. Ryzykować więzienie, zostawić żonę i dzieci – to krok heroiczny. Ale dobrze, że znaleźli się tacy, którzy zostawili wszystko i poszli do lasu. W kilku przypadkach spotkało się to z represjami ze strony państwa i jego służb. Dotknęły choćby wolontariuszy z Klubu Inteligencji Katolickiej z Warszawy, ale nie tylko. Lista tych, którzy byli w jakiś sposób poddani represjom, jest dłuższa.

Dziś jest lepiej?

Z tego, co wiem, nastąpiła zmiana w podejściu do migrantów na granicy białoruskiej i do tych, którzy spieszą z pomocą humanitarną. Widać, że można to robić inaczej. Co prawda nadal jest strefa, ale mniejsza i jest możliwość dotarcia do potrzebujących przez organizacje humanitarne, które są tam obok służb, bo te przecież nie są w stanie wszędzie dojść z pomocą.

Natomiast ciągle zdarzają się przypadki, że ludzi, którzy pomagają na granicy, traktuje się jak zdrajców. To jest, według mnie, hańba. Powiedzieć, że ktoś, kto śpieszy z pomocą, jest zdrajcą albo ruską onucą, jest okrutne, niesprawiedliwe i nieodpowiedzialne.

Niepokoi mnie też sprawa tzw. patroli obywatelskich, które są już nie tylko na granicy, na Białostocczyźnie czy Podlasiu, ale także w innych miejscach w Polsce. Tego nie wolno przemilczeć. Ideologicznie motywowana wrogość wobec człowieka obcego przybiera strój patriotyzmu. To deformacja miłości bliźniego. Chrześcijańska miłość bliźniego nie może być adresowana jedynie do swoich. Jezus mówi w Kazaniu na Górze: „Jeśli pozdrawiacie tylko swoich braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią?" (Mt 5, 47).

Jak Kościół będzie reagować?

Powinniśmy o tym mówić, gdzie się da. Krążące w sieci obrazy przypomi-

JACEK TARAN

BP KRZYSZTOF ZADARKO jest biskupem pomocniczym diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej i przewodniczącym Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migrantów i Uchodźców.

nają samosądy. To zaprzeczenie cywilizacji chrześcijańskiej, naszej rodzimej kultury polskiej, którą w ten sposób broni się przed obcymi. Z drugiej strony jest pytanie: jak reagować na patologiczne, wręcz przestępcze zachowania obcokrajowców? Wyłudzanie pomocy społecznej, manifestowany nacjonalizm, przywieziony ze sobą z kraju pochodzenia, przestępstwa, nawet zorganizowane, połączone z agresją, przywileje kosztem naszych obywateli. To musi niepokoić, by nie powstało wrażenie tolerancji dla nieuczciwości.

Dlaczego nie było listu pasterskiego biskupów na temat kryzysu imigracyjnego?

Były komunikaty Rady ds. Migrantów i Uchodźców.

Ale one nie są odczytywane w kościołach. Trzeba je sobie znaleźć na stronie internetowej episkopatu.

Są przekazywane do wykorzystania duszpasterskiego, czyli o tym, czy będą czytane, decyduje biskup, ewentualnie proboszcz. Listu pasterskiego rzeczywiście nie było. One w ogóle są bardzo rzadkie, kilka w roku. Poza tym myślę, że ludziom nie potrzeba listu biskupów, by zachowali się jak należy, co pokazała choćby reakcja społeczeństwa po wybuchu wojny w Ukrainie. Choć oczywiście chciałbym, żeby taki dokument powstał.

Reakcja na uchodźców wojennych z Ukrainy to inna sprawa.

Dlaczego?

To był piękny gest Polaków, ale stał się wymówką, że skoro przyjęliśmy Ukraińców, to nie musimy przyjmować muzułmanów.

Owszem, jest problem z przyjęciem imigrantów obcych kulturowo. Tyle że oni w naszym społeczeństwie i tak już są. Mamy w Polsce Wietnamczyków, Koreańczyków, Chińczyków. Mamy 200 tys. muzułmanów z Azji i Afryki. Myślę, że oni są coraz bardziej akceptowani, że następuje proces uczenia się albo oswajania z nimi. Czy słyszał pan o jakichś incydentach na ulicach, manifestacjach, buntach?

Sam Ksiądz Biskup mówił o patrolach obywatelskich.

Incydenty są. Ale myślę, że naprawdę zdajemy w tym momencie egzamin z otwartości.

Polacy oglądają telewizję i widzą, co dzieje się w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii.

Tak. I te lęki należy poważnie traktować. Nie potępiać ich i w imię politycznych rozgrywek nie oskarżać się o ksenofobię. Ale też nie karmić społeczeństwa tylko takimi obrazami. Badania opinii społecznej pokazują, jak bardzo zmienia się nasz stosunek do imigrantów podczas kampanii wyborczej, gdy operuje się kliszami i propagandowymi hasłami. Nie słyszę odpowiedzialnego głosu w Polsce, czy chcemy budować przyszłość w społeczeństwie wieloetnicznym i wieloreligijnym. Kościół jest z natury powszechny i chce głosić Ewangelię wszystkim.

Kościół jest instytucją hierarchiczną, jak wojsko. Biskupi mają słuchać papieża, księża biskupów, a wierni – swoich proboszczów. Od tych proboszczów, księży pierwszego kontaktu, bardzo dużo zależy, bo oni co tydzień mówią ludziom, jak żyć. Jaki wpływ ma Rada, którą Ksiądz Biskup kieruje, na zwykłych księży? Na ich formację?

Dziwny model Kościoła pan ma, taki koszarowy. Tak, Polska katolicka to Polska proboszczów. Jeśli proboszcz jest wystarczająco przygotowany i chętny, aby być na bieżąco z nowymi wyzwaniami, otwarty na nauczanie Kościoła, to dzieją się rzeczy cudowne i wielkie. Ale jeżeli stracił tę otwartość i pojawiła się rutyna, to taka parafia staje się katolicką grupą rekonstrukcyjną. Czyli odtwarzamy modele z przeszłości, formy pobożności, które już nie przemawiają do współczesnego człowieka.

Niestety, mamy w Polsce tylko dwóch księży, którzy profesjonalnie, od strony naukowej, zajmują się sprawami imigracji. Do niedawna było trzech, kilka dni temu zmarł jednak ks. profesor Wojciech Necel, chrystusowiec, który zajmował się tą tematyką od strony prawa kanonicznego. Mamy mnóstwo księży doktorów habilitowanych, zajmujących się różnymi dziedzinami, ale sprawa migracji i uchodźców jest „gorącym kartoflem". Nie ma specjalisty od teologii moralnej albo katolickiej nauki społecznej, który by się tą tematyką zajął bez uprzedzeń i ideologicznych afiliacji. Staram się często słuchać świeckich specjalistów, tych jest sporo, żeby nie uprawiać ideologii czy pobożnej propagandy. I apeluję, gdzie się da, o badania i pisanie doktoratów z tematyki imigracyjnej, bo ona będzie nas angażowała przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Niestety, nie ma chętnych.

Mało jest też chętnych do pomocy imigrantom na co dzień. Czy każda diecezja ma duszpasterza imigrantów?

Nie, ale w kilku diecezjach są, na przykład w Łodzi, Przemyślu, Katowicach. Są też duszpasterze innych wyznań, bo przecież nie wszyscy imigranci są katolikami. A jeśli chodzi o działalność charytatywną, ↦

↦ to od samego początku została zlecona naszemu Caritasowi. Mamy 27 punktów Caritasu opiekujących się imigrantami i uchodźcami. Działają od pięciu lat, udzielają np. pomocy prawnej, najbardziej poszukiwanej, poza lekcjami języka polskiego.

Jaki jest problem, by na rekolekcje parafialne zaprosić rodzinę uchodźców, która opowie ludziom o swoim życiu, jak się w Polsce znaleźli, skąd przyjechali. Mamy w kościołach świadectwa nawróconych, byłych narkomanów, alkoholików...

Żyjemy sprawami imigracji tak naprawdę dopiero od 10 lat. Nie da się w takim czasie zmienić mentalności. Wątek migrantów i uchodźców już się znalazł w ogólnopolskich programach duszpasterskich.

Rzeczywiście imponujące.

(*śmiech*) Ale niech pan będzie sprawiedliwy. Bo jednak stać nas na to, by powiedzieć szczerze, że przerabiamy zupełnie nową lekcję, której do tej pory w Polsce nie było. I chyba właśnie dzięki naszej chrześcijańskiej postawie nie ma w Polsce prowokacji, dyskryminacji, ataków, nienawiści. Wiemy, nawet intuicyjnie, że trzeba wobec drugiego człowieka być życzliwym, nawet jeśli jest od nas inny. Myślę, że to jest świadectwo naszej ogólnej wrażliwości – nie tylko humanitarnej, ale również chrześcijańskiej.

Oczywiście życzyłbym sobie, żeby na rekolekcjach parafialnych pojawiał się temat pomocy imigrantom, żeby katecheci dotykali go na lekcjach religii, zwłaszcza w starszych klasach. Przecież niemal w każdej szkole są dzieci imigrantów, w dużych miastach również muzułmańskie. Chciałbym, żeby to było robione odważnie i po chrześcijańsku. Takie inicjatywy już się pojawiają, ale ciągle za mało, to prawda. Jednak budowanie nowej mentalności, społeczeństwa otwartego na biedę drugiego człowieka i na to, że ten obcy będzie chciał tu u nas znaleźć nowy dom, to jest coś, co się rozkłada na lata, na dziesięciolecia. Na razie staram się karmić przede wszystkim tymi pozytywnymi sygnałami, że idziemy w dobrym kierunku.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Czy objawienia są do zbawienia konieczne

PIOTR SIKORA

Skoro istotne dla wiary jest to, co wiadomo i bez wizji, skąd bierze się ich siła i dlaczego wciąż pełnią istotną rolę w religijności?

Czy wiara w zjawiska nadprzyrodzone, specjalne objawienia Chrystusa, Marii czy świętych jest czymś istotnym, czy marginalnym dla chrześcijaństwa? Gdyby popatrzeć z punktu widzenia socjologii religii, odpowiedź jest oczywista: nawet w dobie sekularyzacji i panowania naukowego obrazu świata grupy powiązane z nadzwyczajnymi fenomenami religijnymi stanowią zdecydowaną większość ludzi głęboko zaangażowanych religijnie.

Z drugiej strony, jak niedawno pisaliśmy w „Tygodniku", istnieje możliwość czysto naturalnego wyjaśniania „nadprzyrodzonych" doświadczeń. Ludzie wierzący muszą więc postawić sobie pytanie, jaką rolę w ich wierze pełnią (domniemane) wtargnięcia tego, co nadprzyrodzone, w zwykłą, empirycznie uchwytną codzienność.

Dobre skutki ambiwalentnych przeżyć

Dla katolików pouczające może tu być opublikowane ostatnio stanowisko Dykasterii Nauki Wiary na temat „fenomenu Medziugoria". Fenomen ów rozpoczął się w latach 80. XX w. od – domniemanych – objawień maryjnych, których miała (i nadal ma) doświadczać szóstka osób „wybranych" przez Gospę (czyli „Panią"). Objawiająca się Maria ma przekazywać „widzącym" orędzia o treści teologicznej i społecznej. Wokół tych objawień powstał ogromny ruch religijno-duchowy: miliony osób pielgrzymują corocznie do hercegowińskiej miejscowości, w której rozwinął się prężny ośrodek religijny prowadzący liczne nabożeństwa, rekolekcje, warsztaty.

Znamienne jest, że dla watykańskiej dykasterii najważniejszym kryterium oceny „fenomenu Medziugoria" nie były same objawienia, lecz powstały wokół nich ruch. Najważniejsze okazało się to, co dzieje się z ludźmi, którzy do Medziugoria pielgrzymują. Kościelny dokument wymienia tu liczne nawrócenia, pogłębienie wiary, postanowienia o głębszym zaangażowaniu w życie Kościoła, uratowanie i pogłębienie związków małżeńskich. To te pozytywne owoce przeważyły szalę i stanowiły podstawę ostatecznego zezwolenia na włączenie „fenomenu Medziugoria" w kościelne duszpasterstwo.

Nieścisłości w przekazie

Owszem, Watykan oceniał też przekaz „objawień" – wskazując, gdzie jest on teologicznie pozytywny, a gdzie zawiera niejasności i błędy. Co kluczowe, uznanie, że w „nadprzyrodzonych" przekazach są teologiczne błędy, nie dyskwalifikuje całości zjawiska. Dykasteria przypomina tu swój wcześniejszy dokument, z którego wynika, że „kiedy rozpoznaje się działanie Ducha Świętego w jakimś duchowym doświadczeniu, nie oznacza to, że wszystko, co się z nim wiąże, jest wolne od wszelkich nieścisłości, niedoskonałości czy możliwych nieporozumień. Należy ponownie przypomnieć, że zjawiska te »czasami jawią się jako związane z niejasnymi ludzkimi doświadczeniami, teologicznie nieprecyzyjnymi wyrażeniami lub nie do końca uzasadnionymi interesami« (Normy, nr 14). Nie wyklucza to możliwości »pewnych błędów pochodzenia naturalnego, niewynikających ze złej inten-

CRISTINA CASOTTO / REDUX / EAST NEWS

Pielgrzymi w kolejce do „paleniska" – miejsca obok Kaplicy Objawień, w którym zapala się świece i spala woskowe figurki. Fatima, 13 maja 2017 r.

cji, ale z subiektywnego postrzegania zjawiska« (tamże, art. 15, 2)".

Innymi słowy, z punktu widzenia Kościoła katolickiego duchowe przeżycie, nawet jeśli przejawia się w nim działanie Ducha Świętego, zawsze przefiltrowane jest przez subiektywny stan przeżywających je osób. Z tych przyrodzonych uwarunkowań nie da się „wydestylować" nadprzyrodzonego elementu. Lepiej więc skierować swą uwagę na egzystencjalne skutki takich przeżyć.

Nadzwyczajne zwyczajne

Watykańska ocena teologicznej wartości objawionych maryjnych „przesłań" jest jednak również pouczająca. To, co zostało uznane za najbardziej wartościowe, to fragmenty, które odsyłają do Ewangelii i przypominają jej treść. Tu jednak pojawia się pytanie: skoro istotne dla wiary jest to, co wiadomo i bez szczególnych objawień, skąd bierze się ich siła, dlaczego wciąż pełnią istotną rolę w religijności prawdopodobnie większości żarliwych wiernych?

Odpowiedź kryje się chyba w obserwacji, że fundamentalnym wymiarem zaangażowania religijnego jest żywe doświadczenie. Owszem, każda z wielkich światowych religii (a taką jest i katolicyzm) to także bardzo rozbudowana społeczna struktura, trwająca za sprawą siły (ciężaru?) wielowiekowej tradycji, a także rozmaitych związków z politycznymi strukturami społeczeństwa. Jednak u źródła każdej z wielkich religii (również katolicyzmu) jest intensywne duchowe przeżycie.

Współcześnie rola owego przeżycia wzrasta – bo przecież w dobie sekularyzacji społeczeństwa słabnie siła (ciężar?) tradycji, rwą się więzi z politycznymi strukturami. Jeśli religia się ma gdzieś ostać, to tylko tam, gdzie mamy do czynienia z duchowym doświadczeniem. Tym bardziej ważne staje się pytanie: na czym takie autentyczne duchowe doświadczenie miałoby polegać? Jakie jego formy warto pielęgnować?

Świętość wszechobecna

Nieco upraszczając sprawę, można rozróżnić dwie wizje relacji pomiędzy rzeczywistością naturalną a tym, co święte czy boskie, oraz dwie, wynikające z tych wizji, odmienne postawy wobec religijnego doświadczenia.

Pierwsza wizja postrzega wyraźną różnicę pomiędzy *profanum* a *sacrum*. To ostatnie jawi się wtedy właśnie jako „nadprzyrodzone", niezwykłe, przenikające w codzienność w jakichś szczególnych miejscach czy doświadczeniach. Poszukiwanie religijnie znaczących przeżyć jest poszukiwaniem czegoś specjalnego: szczególnego głosu, niezwykłej postaci, wyraźnego przesłania.

Wizja druga rozpoznaje, że Świętość jest wszechobecna, iż „wszystko całkowicie napełnia" (por. Ef 1, 23), że w Niej „żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" (por. Dz 17, 28). W tej wizji nie ma potrzeby wyraźnie odróżniać tego, co jest naszą interpretacją, a co „szeptem Ducha", co jest naturalne, a co nadprzyrodzone. Wszystko jednocześnie może być (jest!) takie i takie. Nie ma zatem potrzeby zwracać większej (religijnej) uwagi na domniemane szczególne objawienia. Objawieniem jest bowiem wszystko.

Jeśli jednak objawieniem jest wszystko, jeśli nieustannie mamy je przed oczami – to właśnie z tego powodu łatwo je nam przeoczyć. Być może tutaj tkwi wartość wszelkich nadzwyczajnych, „nadprzyrodzonych" fenomenów, zdarzeń i przeżyć. Nie są one bardziej święte niż cała reszta naszego życia i świata. Przypominają nam tylko o tej – powszechnej – świętości. ©℗

Chrystusa głoszę temperą

STANISŁAW ZASADA

Ikona to nie tylko wysmakowany warsztat, ale i odzwierciedlenie czasu, w którym powstała – mówi br. Marcin Świąder, kapucyn, który maluje współczesne ikony.

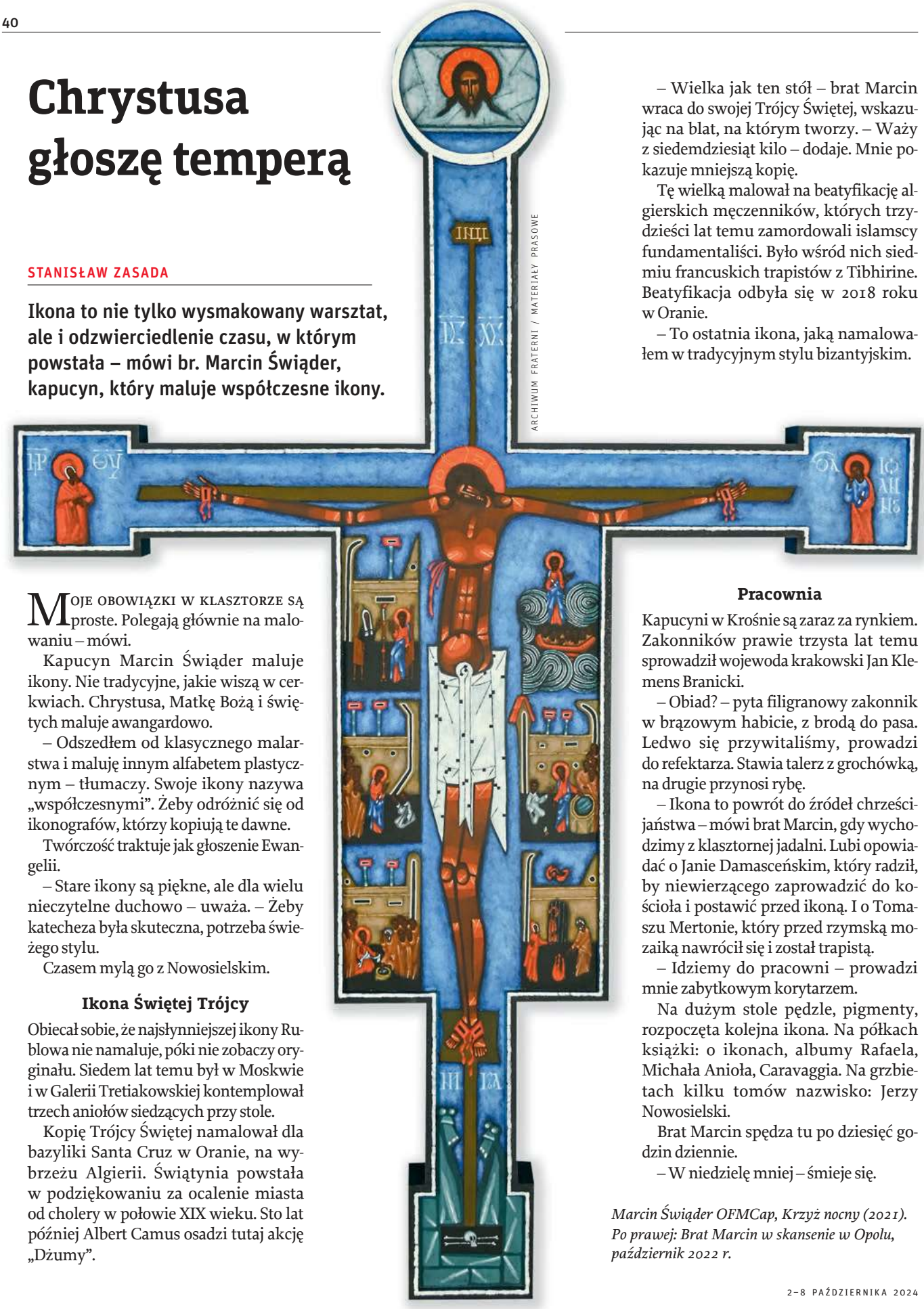

ARCHIWUM FRATERNI / MATERIAŁY PRASOWE

Moje obowiązki w klasztorze są proste. Polegają głównie na malowaniu – mówi.

Kapucyn Marcin Świąder maluje ikony. Nie tradycyjne, jakie wiszą w cerkwiach. Chrystusa, Matkę Bożą i świętych maluje awangardowo.

– Odszedłem od klasycznego malarstwa i maluję innym alfabetem plastycznym – tłumaczy. Swoje ikony nazywa „współczesnymi". Żeby odróżnić się od ikonografów, którzy kopiują te dawne.

Twórczość traktuje jak głoszenie Ewangelii.

– Stare ikony są piękne, ale dla wielu nieczytelne duchowo – uważa. – Żeby katecheza była skuteczna, potrzeba świeżego stylu.

Czasem mylą go z Nowosielskim.

Ikona Świętej Trójcy

Obiecał sobie, że najsłynniejszej ikony Rublowa nie namaluje, póki nie zobaczy oryginału. Siedem lat temu był w Moskwie i w Galerii Tretiakowskiej kontemplował trzech aniołów siedzących przy stole.

Kopię Trójcy Świętej namalował dla bazyliki Santa Cruz w Oranie, na wybrzeżu Algierii. Świątynia powstała w podziękowaniu za ocalenie miasta od cholery w połowie XIX wieku. Sto lat później Albert Camus osadzi tutaj akcję „Dżumy".

– Wielka jak ten stół – brat Marcin wraca do swojej Trójcy Świętej, wskazując na blat, na którym tworzy. – Waży z siedemdziesiąt kilo – dodaje. Mnie pokazuje mniejszą kopię.

Tę wielką malował na beatyfikację algierskich męczenników, których trzydzieści lat temu zamordowali islamscy fundamentaliści. Było wśród nich siedmiu francuskich trapistów z Tibhirine. Beatyfikacja odbyła się w 2018 roku w Oranie.

– To ostatnia ikona, jaką namalowałem w tradycyjnym stylu bizantyjskim.

Pracownia

Kapucyni w Krośnie są zaraz za rynkiem. Zakonników prawie trzysta lat temu sprowadził wojewoda krakowski Jan Klemens Branicki.

– Obiad? – pyta filigranowy zakonnik w brązowym habicie, z brodą do pasa. Ledwo się przywitaliśmy, prowadzi do refektarza. Stawia talerz z grochówką, na drugie przynosi rybę.

– Ikona to powrót do źródeł chrześcijaństwa – mówi brat Marcin, gdy wychodzimy z klasztornej jadalni. Lubi opowiadać o Janie Damasceńskim, który radził, by niewierzącego zaprowadzić do kościoła i postawić przed ikoną. I o Tomaszu Mertonie, który przed rzymską mozaiką nawrócił się i został trapistą.

– Idziemy do pracowni – prowadzi mnie zabytkowym korytarzem.

Na dużym stole pędzle, pigmenty, rozpoczęta kolejna ikona. Na półkach książki: o ikonach, albumy Rafaela, Michała Anioła, Caravaggia. Na grzbietach kilku tomów nazwisko: Jerzy Nowosielski.

Brat Marcin spędza tu po dziesięć godzin dziennie.

– W niedzielę mniej – śmieje się.

Marcin Świąder OFMCap, Krzyż nocny (2021). Po prawej: Brat Marcin w skansenie w Opolu, październik 2022 r.

Ikona Mandylion

Upiera się, że pierwszy mandylion (obraz oblicza Chrystusa) jest w Ewangelii.

„Ujrzał i uwierzył" – czyta fragment, jak apostołowie Jan i Piotr w pustym grobie zobaczyli leżące płótna oraz chustę, w które owinięto Jezusa po zdjęciu z krzyża. Na chuście była twarz Chrystusa.

– A Weronika? – pytam o szóstą stację drogi krzyżowej, gdzie święta podała Jezusowi chustę.

– To pobożna legenda. Wzięła się od słów: „*vera icon*", co znaczy: „prawdziwy obraz" – tłumaczy.

Mandyliony maluje w różnych rozmiarach. Miniaturowe rozdaje w prezencie. W Wielką Sobotę wstawił jeden na Facebooka. Twarz Jezusa podłużna, nimb czerwony – jak u Nowosielskiego.

Hipisowanie

– Już w podstawówce chciałem żyć jak święty Franciszek z Asyżu – mówi.

Rocznik 1976, z Mielca. W czwartej klasie siostra felicjanka opowiada o Franciszku. Na przeźroczach pokazuje sceny z życia Biedaczyny (Marcin nie wie jeszcze, że pół wieku wcześniej malował je polski kapucyn Efrem Klawitter).

Dziesięciolatka pociąga prosty, spontaniczny styl Franciszka. To samo widzi u zakonnic. Pamięta, jak jedna z nich zasłabła na ulicy i umarła. Przyszła inna siostra, płakała.

Nie chce chodzić na pierwszomajowe pochody (w przemysłowym mieście władza urządza je z pompą). Ktoś ulepił bałwana z wielkimi uszami – wszyscy wiedzą, że to Urban. Marcin pokazuje zdjęcie bałwana w szkole, wychowawczyni wzywa mamę. Z klatki schodowej ściągnął czerwoną flagę, ktoś doniósł, ojciec musi zapłacić kolegium. – Ale w domu pochwalił mnie za to – wspomina.

Upada komuna. Idzie do liceum medycznego. – Jestem niedoszłym pielęgniarzem – zaznacza. Uczy go elita mieleckich nauczycieli. Nie trzeba już chodzić na pochody, w sklepach pełno towarów, oprócz „Leżajska" jeszcze dziesięć innych gatunków piwa. No i wszystko teraz wolno.

W polityce solidarnościowa „wojna na górze": zwolennicy Lecha Wałęsy z jednej strony, z drugiej obóz premiera Tadeusza Mazowieckiego. W czasie kampanii prezydenckiej Marcin rozlepia z kolegami na mieście plakaty i Wałęsy, i Mazowieckiego.

– Nie rozróżnialiśmy politycznych niuansów, dla nas obaj byli uosobieniem Solidarności – mówi.

Słuchają Ryszarda Riedla. „Ryśka", jak do dziś nazywa go Marcin. Założyli kapelę.

– Jeden z kolegów miał jego głos – mówi.

Od dziecka w harcerstwie (alternatywnym wobec peerelowskiego), angażuje się w ekologię. Gdy pod Mielcem ma powstać spalarnia śmieci przemysłowych, całą noc plakatują miasto.

– Upieprzyliśmy tę spalarnię.

Ma w sobie wtedy sporo buntu. Nosi długie włosy, oddalił się od Kościoła.

– To było takie moje hipisowanie – opisuje tamten czas.

Wiosną, przed maturą, idzie na rekolekcje. W mieleckiej bazylice (tam był chrzczony) ksiądz położył na posadzce krzyż. Rozpłakał się przy nim. Po rekolekcjach codziennie był na mszy.

Kilka miesięcy później założył kapucyński habit.

Ikona Krzyża

Przypomina krzyż z San Damiano, z którego Ukrzyżowany miał mówić do świętego Franciszka.

Chrystus na ikonie brata Marcina wygięty jak w tradycji bizantyjskiej. Nie z bólu. To nawiązanie do miedzianego węża na pustyni, którego Mojżesz kazał umieścić na palu.

Pierwsza scena pokazuje ostatnią wieczerzę („Wspólnota, którą karmi krew Jezusa Chrystusa" – tłumaczy na nagranej katechezie), następna – umywanie nóg („Na tym polega służba, że można iść do drugiego człowieka i mu służyć"), kolejna – Chrystus przywiązany do słupa („Można dać się zranić, nie broniąc się"), wreszcie – proces przed Piłatem („Można dać się niesprawiedliwie osądzić"). ↦

BR. BORYS KARCZMARZYK / MATERIAŁY PRASOWE

ARCHIWUM FRATERNI / MATERIAŁY PRASOWE

↦ Wersji ikony krzyża namalował wiele. To jego ulubiony temat.

Cappuccino

W kaplicy felicjanek w Mielcu wisiał obraz Feliksa z Cantalice, pierwszego kapucyńskiego świętego. Tak poznał założony w XVI wieku zakon, który oddzielił się od „brązowych" i „czarnych" franciszkanów. Też noszą brązowe habity, ale ze spiczastym kapturem.

– Cappuccini! (kapturowi) – krzyczały za nimi włoskie dzieciaki. Stąd miała się wziąć nazwa zakonu. A od jego koloru – znane wszystkim cappuccino.

– Powinno mieć kolor kapucyńskiego habitu, ale bynajmniej nie jego zapach – Marcin powtarza zakonny żart.

Jeszcze przed maturą pojechał do kapucynów na Loretańską w Krakowie. Widzi braci z długimi brodami, w sandałach na bosych stopach, wygłupiających się przy obiedzie.

– Od razu wiedziałem, że to moje miejsce.

Ikona Krzyż Poranka

Na Youtubie kapucyn z zaczesanymi do tyłu długimi włosami i siwiejącą brodą siedzi przed drewnianą cerkwią. Trzyma ikonę z Chrystusem na zielonym krzyżu, od zieleni bije światło.

„Tak jak świt, poranek, wschód słońca rozświetla ziemię, tak zmartwychwstanie Chrystusa rozświetliło rzeczywistość człowieka" – objaśnia ikonę.

Na scenach: trzy Marie biegną do grobu z wonnościami; Maria Magdalena w ogrodniku rozpoznaje Zmartwychwstałego; uczniowie odnajdują Mandylion; Chrystus wchodzi do wieczernika przez zamknięte drzwi; w Emaus uczniowie poznają Jezusa przy posiłku; połów ryb.

Zakonnik: „Światło poranka wielkanocnego pozwala nam żyć, mieć optymizm, iść za Jezusem Chrystusem i mieć niezłomne przekonanie, że krzyż to drzwi do zmartwychwstania".

Deska

– Ikona była zawsze dla mnie ważna, bo ważna była dla Franciszka – mówi.

Jest po ślubach wieczystych i święceniach. W szkole w Bytomiu uczy religii. Dla uczniów organizuje tygodniowe warsztaty malowania ikon. W galerii „Na bruku" Jana Guta zajęcia prowadzi Iryna Bołdina-Styczeń. Sam też bierze udział.

– Z tego kursu dziś tylko ja maluję – mówi.

Po warsztatach technikę malarstwa temperowego zgłębiał przez kilka lat w pustelni w Zagórzu koło Pilzna. Wtedy maluje jeszcze w stylu bizantyjskim. Na przykład kapucyńskich świętych. Jest ich około pół setki, namalował chyba ze trzydziestu.

Po ośmiu latach trafia do Katowic. Z kilkoma braćmi żyje i ewangelizuje w biednej dzielnicy Załęże. Z bezdomnymi jedzą zupę w darmowych jadłodajniach, bywa, że śpią z nimi w schroniskach. Marcin nie ma pieniędzy na materiały malarskie. Deski znajduje na śmietnikach, często ze starych mebli.

Potem jest Skomielna Czarna koło Makowa Podhalańskiego. Zakłada tam pracownię malowania ikon, której patronuje św. Jan Damasceński – obrońca malarstwa ikonowego w czasach ikonoklazmu.

Od kilku lat w Krośnie. Ze współbraćmi próbował w Krynicy-Zdroju założyć dom, gdzie mogłaby żyć wspólnota zakonna otwarta na przyjmowanie artystów. Nie udało się.

Namalował prawie tysiąc ikon. W greckokatolickiej kaplicy w Szczepkowie Borowym na Mazurach skończył niedawno polichromię i ikonostas. Nazwał ją „kapsułą chrześcijaństwa".

– Starałem się rozmalować historię zbawienia – tłumaczy. – Gdyby chrześcijaństwo zgasło na całym świecie, to wchodzący do świątyni mógłby je na nowo odtworzyć.

Ikona Dobrego Łotra

Mężczyzna odziany w przepaskę na biodra, jakby zmieszany, tuli do siebie krzyż, na którym umarł z Chrystusem.

Brat Marcin pokazał tak świętego Dyzmę – Dobrego Łotra, który przed śmiercią żałował za grzechy.

„Dobry Łotr wydaje się zawstydzony i zaskoczony tym, że to właśnie on otwiera orszak świętych, zasłania golenie myśląc, że są połamane. Tymczasem jego ciało jest już chwalebne, został usynowiony i wprowadzony do domu Ojca" – napisał w komentarzu.

Ikonę „Dobrego Łotra" namalował na starych drzwiach.

Mistrz

Mistrzów ma trzech: Andriej Rublow, Jerzy Nowosielski i Kiko Argüello (też malarz ikon, studiował malarstwo w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Madrycie, wspólnie z Carmen Hernández inicjował Drogę Neokatechumenalną).

Czemu Rublow?

– Bo trudno mówić o ikonie, nie dotykając jej historii.

Tak samo ceni Teofana Greka (bez niego nie byłoby Rublowa) i Szymona Uszakowa.

– Studiowanie ich dzieł pokazało mi, że ikona to nie tylko wysmakowany warsztat, ale i odzwierciedlenie czasu, w którym powstała – mówi. Wszak, tłumaczy, Teofan Grek malował schematycznie i prosto, Rublow był mistrzem światła, a tworzący w XVII wieku Uszakow czerpał z zachodniego malarstwa.

Czemu Nowosielski?

– Bo korzystając z bizantyjskiego kanonu i sztuki współczesnej, stworzył świeży alfabet plastyczny, który przemawia do ludzi będących na opłotkach Kościoła: do szukających albo tych, którzy wiarę stracili. Dla nich ikony Nowosielskiego są często spotkaniem z Chrystusem.

A Kiko?

– Podobnie jak Nowosielski, odświeżył kanon. Widać u niego wpływy awangardy – mówi.

Otwiera album z twórczością Argüello. Oglądamy freski z cyklu Korony Misteriów, które namalował w kościele świętego Bartłomieja Apostoła w Scandicci koło Florencji.

– Patrzysz na jego ikony i widzisz nawiązanie do impresjonistów, późnego Matisse'a, Picassa – pokazuje kolorowe reprodukcje.

Z ich dwóch woli Nowosielskiego. – Bo to Słowianin i jego nostalgiczny styl bardziej do mnie przemawia – przekonuje. Żałuje, że nigdy go nie spotkał.

Ikona Zaśnięcie Bogurodzicy

Wszystko dzieje się jednocześnie.

Na dole: Ciało Matki Bożej spoczywa na katafalku. Otaczają je apostołowie i starożytni ojcowie Kościoła. Że to koniec ziemskiego życia Bogurodzicy – pokazuje zgaszona świeca.

Powyżej: Chrystus trzyma w rękach odzianą w biel maleńką postać („Maryja oddaje swoją duszę w ręce Syna" – czyta lektor na Youtubie).

ARCHIWUM FRATERNI / MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Świąder OFMCap, Ikona Dobrego Łotra (2020), namalowana na starych drzwiach. Po lewej: Mandylion w Aniołach (2023).

U góry: dwaj aniołowie unoszą obłok z podobizną Maryi.

„Chrześcijanin nie umiera, tylko zasypia. Cmentarz chrześcijański to sypialnia, gdzie oczekujemy na zmartwychwstanie ciała i pełnię życia wiecznego w przyszłym świecie. Jak Bóg da" – słychać komentarz.

Fraternia

Drewnianą cerkiew Przemienienia Pańskiego w Czerteżu koło Sanoka postawili dawno temu grekokatolicy. Po wojnie wysiedlono ich (akcja „Wisła"). Świątynię przejęli katolicy, którzy potem postawili swój kościół i cerkiewka była pusta.

– Sława Isusu Christu! – wita brat Justyn Rusin. Zaczesane do tyłu długie włosy, siwiejąca broda. Posługiwał na Ukrainie: w Krasiłowie, Winnicy i Użgorodzie. Jest birytualistą – liturgię odprawia w rytach łacińskim i wschodnim. To on opowiadał na Youtubie o ikonie Krzyż Poranka.

– Być może będzie tu nasza fraternia – mówi brat Marcin, gdy wchodzimy do domu przy cerkwi.

Fraternię założył kilka lat temu ze współbraćmi. „Celem naszego działania jest poszukiwanie piękna zawartego w sztuce i dzielenie się Dobrą Nowiną" – przedstawiają się na Facebooku.

Są w różnych klasztorach. Szukają miejsca, gdzie będą się spotykać, modlić, prowadzić warsztaty.

Ikona Krzyż Nocy

Ideę wymyślił, gdy czuwał przy łóżku umierającej mamy.

Krzyż ciemnoniebieski, jak nocne niebo. Boczne sceny też dzieją się nocą: Chrystus w nocy rozmawia z Nikodemem; umywa nogi apostołom; nocą każe iść po jeziorze Piotrowi; przed świtem Piotr zdradza Mistrza.

„Któż z nas nie miał, nie ma lub nie będzie miał czasu ciemności, czasu smutku, depresji, choroby, strachu o siebie lub bliskich? Kto z nas nie miał nocy?" – pyta znowu na Youtubie brat Justyn.

I pociesza, że „bez krzyża nie ma zmartwychwstania, bez nocy nie ma poranka. Dlatego ten egzystencjalny obraz to obraz naszego życia, naszego cierpienia i smutku, ale także naszej nadziei".

Plener

Na dziedzińcu Muzeum Historycznego w Sanoku kilkadziesiąt dużych fotografii w drewnianych stelażach. Na zdjęciach Chrystus na krzyżu, Matka Boża, sceny z Ewangelii.

„Światło niestworzone" – nazwał plenerową wystawę swoich ikon. Pokazano je już w kilkunastu miastach.

– Zależało mi, żeby były w przestrzeni niesakralnej – mówi. W Kielcach wystawa była na dworcu, w Lublinie na placu Litewskim, w Rzeszowie przed urzędem marszałkowskim. W Sanoku wystawiona jest przed muzeum z największą na świecie kolekcją obrazów Zdzisława Beksińskiego.

– To dla ludzi, którzy do kościoła czy cerkwi nie pójdą. A do galerii – tak.

© STANISŁAW ZASADA

WOJCIECH

Bonowicz: *Pyndlony*

Mam taką teczkę z cudzymi wierszami, którą zabieram ze sobą, ilekroć razem z Anią Dymną jedziemy na jakieś publiczne spotkanie. Od pewnego czasu tak sobie tu i tam jeździmy, Ania opowiada o swoim aktorstwie, o miłości do poezji i kotów, o tym, dlaczego założyła fundację i czym fundacja się zajmuje. Bo dziś niby wszystko można znaleźć w sieci, ale ludzie wolą, jak im się opowie. Wtedy wierzą. Więc Ania opowiada jeszcze raz i jeszcze.

Ale przede wszystkim dużo czytamy. Ja mam swoją teczkę, Ania swoją. W mojej teczce są wiersze, po które sięgam szczególnie chętnie. Na przykład „Świat według Daniela" napisany przez Macieja Głogowskiego:

KURWIEL dowozi paczki
Po środzie przychodzi CZACZE
PYNDLONY dają w nagrodę
Na polach zbierają KUTASKI
MESESE ma wujek w garażu
Babcia gotuje mu GIBOS
KUTATO go nęka czasami
Tak jak Kujawa
Ta z Krępy

A ja go wręcz uwielbiam
Bo ciągle mnie rozśmiesza
Nawet gdy nic nie mówi

BANIA!

Nieduży wiersz, a ile się tu dzieje! Jego bohaterem jest ktoś, kto z otoczeniem porozumiewa się z trudem, w sposób, który – z perspektywy większości użytkowników języka – jest odstępstwem od normy, zniekształceniem. Co wers, to zagadka, na ogół łatwa do rozszyfrowania, ale nie zawsze. Można się domyślić, że w garażu wujka stoi mercedes, nagrodą w konkursie są dyplomy, a paczki przywozi kurier. Ale kim jest tajemniczy „kutato"? Kiedy ostatnio czytałem ten wiersz w Tarnobrzegu, publiczność bez trudu odgadła, że chodzi o kuratora. A „kutaski" na polach? Czyżby truskawki? A może buraki? Nie wiadomo. Świat Daniela jest otwarty, ale nie każde miejsce jest jednako dostępne. I do tego jeszcze ta tajemnicza bohaterka, niejaka Kujawa, uciążliwa jak wizyty kuratora. W zasadniczo pogodnym świecie Daniela zdarzają się też i takie, rzucające cień, postaci.

Wiersz przyszedł w ubiegłym roku na konkurs „Słowa, dobrze, że jesteście", organizowany przez Fundację Anny Dymnej „Mimo Wszystko". Jego autor jest mężczyzną z niepełnosprawnością intelektualną, od przeszło dziesięciu lat uczęszczającym na warsztaty terapii zajęciowej. Daniel to zapewne kolega z warsztatów. Widać, że autor ma świadomość formy, że ktoś z nim nad nią pracuje. Wiersz nie jest przegadany, przeciwnie, zagadek jest tylko siedem, tyle, ile dni tygodnia. Ma też intrygujące zakończenie. Wydaje się, że wszystko zmierza do milczenia, a jednak w finale znów rozlega się głos bohatera. Koniec i bomba? Żart z tych, którzy dali się nabrać, że to na serio? Nie, raczej przypomnienie, kto tu jest najważniejszy.

Ten sam autor przysłał też inny wiersz:

Jak sobie przypomnę to...
Mówi i znowu płacze
Moja mama płacze często
Choć już nie jest pielęgniarką
Tylko zwykłą emerytką

Może to przeze mnie
A może przez tamtych ludzi
Ze szpitalnej izby wytrzeźwień
Nieprzytomnych
Zakrwawionych
Opuchniętych
Niedopitych
Może to za nich te wszystkie łzy
Bo w sumie razem
Z czego tu się cieszyć?

Mamo! Nie przypominaj ich sobie
Zapomnij ich twarze
I weź ode mnie w końcu tę chusteczkę

Domyślamy się, że kluczowy jest tu wers: „Może to przeze mnie". To bardzo charakterystyczne: osoby z niepełnosprawnością w pierwszym odruchu przypisują winę sobie, dopiero potem szukają przyczyny gdzie indziej. Wspaniale jest tu oddany niepokój dziecka (dorosłego dziecka!), które nie wie, jak pomóc matce, jak powstrzymać jej smutek. I my też – zauważmy – nie dowiadujemy się, skąd naprawdę biorą się jej łzy. Czy przyczyna płaczu rzeczywiście tkwi w przykrych wspomnieniach z pracy w szpitalu? Pytanie: „Bo w sumie razem / Z czego tu się cieszyć?" odnosi się niby do ludzi, którymi kobieta przez lata musiała się zajmować. Ale przecież równie dobrze można je odnieść do jej własnego życia. Stąd niepokój dziecka: a jeśli to ja? Jeśli to przeze mnie? I jego niecierpliwość: weź w końcu tę chusteczkę, niech łzy przestaną płynąć.

Wyciągamy z naszych teczek utwory poetek i poetów o znanych nazwiskach, ale też i takie jak te, publikowane jedynie w pokonkursowych antologiach... Czasem ktoś pyta po spotkaniu, gdzie można przeczytać więcej podobnych wierszy. Wtedy uśmiechamy się do siebie. To sukces. To znaczy, że się porozumieliśmy. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

AUTENTYCZNOŚĆ
CONRAD FESTIVAL
21 — 27.X.2024
KRAKÓW

ZNAMY NOMINACJE DO NAGRODY CONRADA 2024!

Kapituła nagrody wybrała właśnie pięć najlepszych debiutów poprzedniego roku:

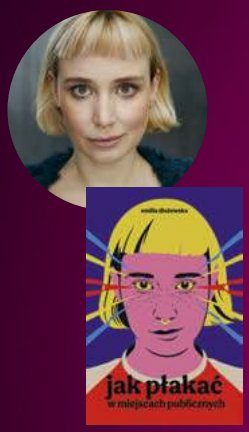

Emilia Dłużewska
JAK PŁAKAĆ W MIEJSCACH PUBLICZNYCH

Ishbel Szatrawska
TOŃ

Katarzyna Groniec
KUNDLE

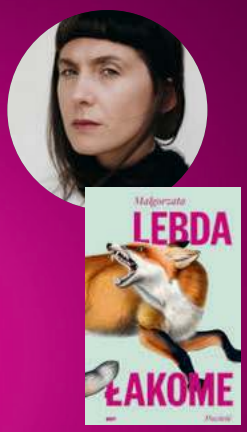

Małgorzata Lebda
ŁAKOME

Maria Halber
STRUŻKI

O tym, kto zwycięży, zdecydują **głosy kapituły** oraz **szerokiego grona czytelniczek** i **czytelników.** Dlatego już teraz warto oddać swój głos na stronie Festiwalu **Conrada conradfestival.pl**. Głosowanie potrwa do **26 października** (do północy). Zwyciężczynię poznamy podczas **Gali Nagrody 27 października**.

NAGRODA CONRADA, przyznawana od 2015 roku, to pierwsze polskie wyróżnienie za debiut prozatorski. Jego celem jest wspieranie nowych głosów w polskiej prozie, rozumianej szeroko – zarówno jako twórczość fabularna, jak i non-fiction.

ORGANIZATORZY

Kraków · kbf: · KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO · t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY STRATEGICZNI:

TYGODNIK POWSZECHNY · allegro · Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

DOFINANSOWANIE:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

2–8 PAŹDZIERNIKA 2024

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

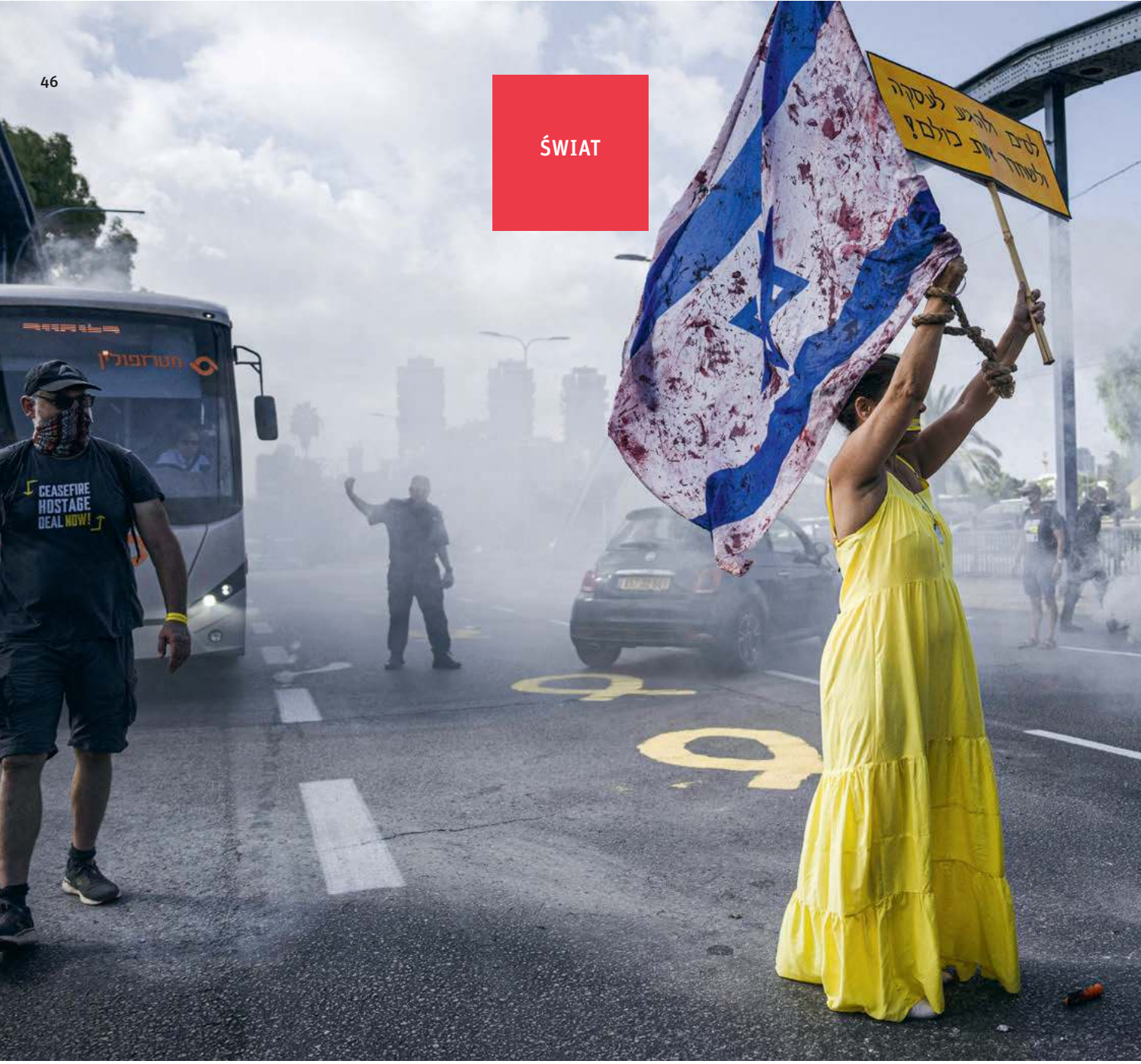

IZRAELSKA WOJNA O POKÓJ

Mija rok od 7 października 2023 r., gdy Hamas zaatakował. Jak w tym czasie zmienił się Izrael? Jak wygląda Gaza spoza poziomu suchych statystyk? I co dalej?

MAREK MATUSIAK

ODED BALILTY / AP / EAST NEWS

Przeciwnicy premiera Benjamina Netanjahu domagają się rozejmu i powrotu zakładników więzionych w Gazie. Tel Aviw, 13 września 2024 r.

6 PAŹDZIERNIKA UBIEGŁEGO ROKU, w przeddzień ataku Hamasu, Izrael był bez wątpienia w stanie wewnętrznego kryzysu. Przy czym pięciokrotne wybory parlamentarne w ciągu trzech lat czy wielomiesięczne protesty antyrządowe były tylko tego symptomem.

Przyczyną były zaś rozdzierające izraelskie społeczeństwo spory – w tym o rolę religii w życiu państwa, o katalog liberalnych wartości, a także o osobę wieloletniego premiera Benjamina Netanjahu. Tak naprawdę to te kwestie były wówczas dla Izraelczyków głównym źródłem niepokoju o przyszłość ich kraju.

Bo poza tym sprawy miały się dobrze: gospodarka się kręciła, rósł dobrobyt, a państwo – pomimo kontrowersyjnego przywódcy – osiągnęło najmocniejszą pozycję międzynarodową oraz najwyższy poziom bezpieczeństwa w swojej 75-letniej historii.

PRZEDTEM | Zanim nastał 7 października 2023 r., nawet kwestia palestyńska ciążyła Izraelowi coraz mniej – tak przynajmniej sądzono. I tak dalece zniknęła z izraelskiej debaty, że w kolejnych kampaniach wyborczych pojawiała się dopiero na dalszych stronach partyjnych programów.

W wymiarze faktów sytuacja – gdy idzie o konflikt izraelsko-palestyński – wyglądała następująco. Izrael odseparował się (jak sądzono, skutecznie) od Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu. Kontynuował jednak przy tym okupację i kolonizację tego drugiego obszaru – zresztą zgodnie z własną wieloletnią polityką oraz z otwarcie formułowanymi postulatami części społeczeństwa, która domagała się – w skrócie – maksimum ziemi i minimum Arabów.

Krytyka na arenie międzynarodowej, która spadała na Izrael z tego powodu, nie przeszkadzała mu utrzymywać bardzo dobrych relacji z USA (naturalnie), z głównymi stolicami europejskimi (nawet jeśli sam Netanjahu budził w nich raczej absmak), czy z rosnącym gronem państw arabskich. W 2020 r. przy pomocy Donalda Trumpa państwo nawiązało stosunki dyplomatyczne ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Teraz miało zaś – z pomocą Joego Bidena – nadzieje na to samo z wiodącym państwem świata arabskiego, czyli monarchią Saudów.

REZERWATY | A Palestyńczycy? Oni mogli obserwować, jak na Zachodnim Brzegu Izrael zagarnia – kawałek po kawałku – tyle ich ziemi, ile uzna za stosowne (uzasadniając to swoim bezpieczeństwem lub starożytnymi prawami narodu żydowskiego) i konsekwentnie sabotuje ich aspiracje państwowe. I jak pozostawia im tylko ciasne, przeludnione enklawy o statusie lokującym się gdzieś między sowiecką republiką autonomiczną, brytyjskim terytorium zależnym a indiańskim rezerwatem.

Z kolei Gazę – teren nieco większy od Krakowa, od 2007 r. rządzony przez Muzułmański Ruch Oporu (Hamas) – Izrael odizolował i w gruncie rzeczy wspierał tam *status quo*. W końcu – jak niepublicznie mówił Netanjahu (a jego ministrowie otwarcie) – na Hamas patrzono bardziej jak na atut niż problem. Palestyńska dwuwładza (rządy Hamasu w Gazie, rządy Fatahu w Autonomii Palestyńskiej na Zachodnim Brzegu) miała być rękojmią, że żadne państwo palestyńskie nigdy nie powstanie.

STRZYŻENIE | Na dodatek charakter Hamasu gwarantował, że protesty wspólnoty międzynarodowej co do odciętej od świata i co jakiś czas bombardowanej Gazy mogły dotyczyć najwyżej kwestii humanitarnych. W końcu nikt nie naraziłby się na zarzut, że wspiera, legitymizuje, normalizuje albo wyraża zrozumienie dla terrorystów, a nawet dla ułamka ich postulatów czy diagnoz.

Ewentualne zagrożenia ze strony Hamasu szczególnie Izraela nie bolały. Blokada Strefy, bariera na granicy, armia, wywiad, przeciwrakietowa Żelazna Kopuła i okresowe „strzyżenie trawnika" (jak politycy izraelscy nazywali bombardowania Gazy) sprawiały, że szkody, które organizacja ta mogła wyrządzić Izraelowi, wydawały się znikome. A korzyści ze *status quo* górowały nad stratami.

Poza tym – jak powiedziałoby wielu izraelskich strategów – permanentne rozwiązywanie problemów i trwałe zażegnywanie konfliktów to luksus możliwy tylko w Europie. Na Bliskim Wschodzie natomiast, gdzie Izrael jest – według słów Ehuda Baraka (lidera Partii Pracy i premiera z lat 1999-2001) – „willą pośrodku dżungli", nie ma mowy o trwałym bezpieczeństwie. Tu można jedynie ciągle zarządzać zagrożeniami.

SZOK | Tak wyglądała izraelska rzeczywistość do 6 października 2023 r. – i był to dla Izraelczyków model wygodny. Państwo było relatywnie bezpieczne, społeczeństwo mogło się bogacić i żyć tak, jakby sprawa palestyńska nie istniała. I wydawało się, że tak już zostanie. ↦

↦ Nazajutrz jednak Izrael znalazł się w sytuacji, w której nie był od powstania państwa, tj. walki z napastnikiem na własnym terytorium. I to walki, w której długo nie dawał sobie rady. Izraelskie siły zbrojne okazały się tu niezdolne do przewidzenia, powstrzymania i neutralizacji zagrożenia, a w konsekwencji – ocalenia własnych obywateli. Dotyczyło to przeciwnika, który w klasyfikacji wrogów lokował się w dolnej części tabeli – jako prymitywny.

7 października 2023 r. nad ranem kilka tysięcy bojowników Hamasu i Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu sforsowało izraelskie umocnienia i uderzyło na terenach granicznych z Gazą, zabijając żołnierzy, mordując cywili i uprowadzając 251 zakładników.

Dla Izraelczyków było to jak koszmarny sen, z którego nie można się obudzić. Skuteczność i okrucieństwo napastników, przypadkowość ofiar, liczba uprowadzonych, bezradność armii, przejściowa utrata kontroli nad własnym terytorium, wreszcie poczucie braku przywództwa – wszystko to wstrząsnęło ich poczuciem bezpieczeństwa i zaufaniem do państwa.

ODWET | Potem doszły do tego wielomiesięczne ostrzały rakietowe z Gazy i także z północy (z terenu Libanu), strach o życie zakładników i ogólna niepewność co do rozwoju wydarzeń. Obok szoku i zwątpienia pojawiły się jednak szybko także: obywatelska mobilizacja, doraźne zjednoczenie wokół – politycznie skompromitowanego – przywództwa i potężny wyrzut nacjonalizmu (o czym więcej za chwilę).

Natomiast, w odpowiedzi na atak, jeszcze tego samego dnia lotnictwo izraelskie rozpoczęło bombardowania Strefy. 8 października do walki włączył się Hezbollah. 9 października minister obrony Jo'aw Galant ogłosił „totalną blokadę Gazy", wypowiadając przy okazji słynne słowa o „walce z ludzkimi zwierzętami". Choć odnosiły się do Hamasu, zabrzmiały tak, jakby dotyczyć miały wszystkich Palestyńczyków. I jako takie byłyby wiernym odzwierciedleniem nastrojów znaczącej części izraelskiego społeczeństwa (wówczas i obecnie). Wreszcie 27 października 2023 r. zaczęła się inwazja lądowa Gazy.

Tak znaleźliśmy się w momencie, w którym jesteśmy teraz.

MAJDI FATHI / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Pozostałości obozu uchodźców po ataku izraelskim w rejonie Al-Mawasi w południowej części Strefy Gazy, 10 września 2024 r.

INICJATYWA | Minął rok, a wojna na Bliskim Wschodzie nie tylko nie słabnie, lecz osiąga coraz większą skalę, a jej poszczególne fronty są coraz mocniej splecione.

Izrael deklaruje, że nie zgodzi się na zawieszenie broni, dopóki nie zniszczy wojskowych i administracyjnych struktur Hamasu (co jest zadaniem na lata, o ile w ogóle wykonalnym). Hezbollah odpowiada, że przestanie strzelać, kiedy Izrael wycofa się z Gazy. Izrael zaś ripostuje, że nowym warunkiem zakończenia działań wojennych jest spokój na granicy z Libanem. Prawdziwe błędne koło.

Jednak obecnie to Izrael jest stroną ofensywną. Ewidentnie wychodzi z założenia, że kolejna wojna z Hezbollahem i tak musiała nadejść, więc dlaczego nie teraz. Według statystyk podawanych przez BBC, spośród ok. 7,5 tys. wzajemnych ataków, jakie miały miejsce od października 2023 r. do lipca 2024 r. na północnym pograniczu, Izrael odpowiadał za ponad 80 proc. z nich. I to tych naprawdę celnych i bolesnych, likwidujących stanowiska ogniowe, magazyny uzbrojenia i ważnych dowódców wroga.

Dodatkowo zaś to Izrael detonuje zaminowane pagery, przeprowadza naloty, w których ginie dziennie, bywa, po 500 ludzi, a także grozi operacją lądową w Libanie. Co nie oznacza oczywiście, że Hezbollah jest – jak mówi się w jednym ze wschodniosłowiańskich języków – „biały i puszysty". Po prostu: to nie on ma dziś inicjatywę.

PRIORYTETY | Kalkulacje po stronie izraelskiej wyglądają następująco: jak wynika z sondaży, dla społeczeństwa priorytetem jest odzyskanie zakładników (żyje ich prawdopodobnie kilkudziesięciu). Nawet za cenę natychmiastowego zawieszenia broni, które dawałoby Hamasowi szansę przetrwania. Jednak, równocześnie, los ludzi w Gazie niemal nikogo w Izraelu nie interesuje, a więcej na ten temat można dowiedzieć się z mediów irlandzkich niż izraelskich.

Inaczej wygląda to z perspektywy Netanjahu. Dla premiera zakładnicy są ważnym, ale jednym z kilku czynników, które bierze pod uwagę. Innymi są natomiast: odbudowa izraelskiego potencjału odstraszania, rysująca się szansa na korzystną zmianę sytuacji regionalnej, a także – *last but not least* – sytuacja wewnątrzpolityczna.

W tym także jego własne sondażowe notowania, które – po początkowym załamaniu – w miarę trwania konfliktu konsekwentnie się poprawiają. I nawet jeśli nie dają mu większości, to nie dają jej także jego politycznym oponentom.

Co zatem zrozumiałe, dla Netanjahu sytuacja zdecydowanie nie dojrzała jeszcze do tego, by wstrzymać działania wo-

jenne – co jest, przypomnijmy, warunkiem porozumienia w sprawie zakładników. Zapewne dlatego Netanjahu kilkakrotnie już torpedował rysujący się kompromis (o czym informowały izraelskie media).

TRENDY | A jak zmienił się Izrael przez ten rok? Atak z 7 października 2023 r. oraz następnie wielomiesięczny stan zagrożenia wywołały silne emocje społeczne. Te jednak zasadniczo przełożyły się na umocnienie trendów obserwowanych już wcześniej. Chodzi przede wszystkim o wzrost polaryzacji w kraju i dalszy wzrost nacjonalizmu.

Po 7 października nie było wątpliwości, że odpowiedzialność ponosi Netanjahu. Nie tylko dlatego, że akurat znajdował się u władzy, ale dlatego, że był architektem polityki względem Hamasu – włącznie z decyzjami, które pozwoliły tej organizacji wzrosnąć, kosztem Autonomii Palestyńskiej. Jednocześnie jednak panowało zrozumienie, że kryzys nie jest momentem na zmianę władzy, a rozliczenia będą musiały poczekać. Stąd też protesty uliczne ustały, a część opozycji przystąpiła do kryzysowego rządu jedności.

OPOZYCJA | Warunkowy kredyt zaufania skończył się jednak, kiedy do opinii publicznej dotarło podejrzenie, że odzyskanie zakładników nie plasuje się najwyżej na liście priorytetów premiera. Manifestacje w sprawie zakładników i – oddzielnie – ustąpienia rządu zaczęły stopniowo gromadzić dziesiątki, a potem setki tysięcy osób.

Punkt zwrotny nastąpił na początku września, gdy armia odnalazła w Gazie ciała sześciorga zakładników zabitych przez Hamas z obawy, że Izraelczycy przygotowują się do ich siłowego odbicia. Śmierć ludzi, którzy spędzili w Gazie 11 miesięcy i mieli szansę wrócić do domu, gdyby udało się wynegocjować porozumienie, wstrząsnęła Izraelem, a polityczna odpowiedzialność za nią spadła na premiera.

Tym sposobem wojna i zakładnicy – zamiast jednoczyć – stali się kolejną pozycją w długim izraelsko-izraelskim rachunku krzywd. Przy czym opozycyjna część opinii publicznej żyje w przekonaniu, że na czele państwa stoi autorytarny i egotyczny szaleniec, którego nie interesuje nic poza własnym przetrwaniem, i który gotów jest pójść na każdą wojnę, o ile tylko będzie służyć jego interesom.

Dokąd to Izrael doprowadzi? Co chce tym sposobem osiągnąć?

I czy drogę do lepszej przyszłości i bezpieczeństwa można sobie po prostu wybombardować?

NA PRAWO | Zarazem jednak atak z 7 października 2023 r. wychylił wahadło nastrojów społecznych jeszcze bardziej na prawo (przynajmniej w zakresie stosunku do Palestyńczyków i Palestyny). Wieloletni arabski deputowany do Knesetu Ahmad ad-Tajjibi stwierdził: „Skutki traumy w izraelskim społeczeństwie przesunęły prawicę dalej na prawo, a lewicę i centrum na pozycje prawicowe. Ze strony niektórych lewicowców słyszałem słowa i idee, o których nie sądziłem, że kiedykolwiek je usłyszę”.

Mowa tu zaś o Izraelu – państwie, w którego parlamencie już wcześniej ok. 70 proc. miejsc zajmowali politycy z różnych odcieni prawicy.

Proces ten przejawia się na wielu poziomach. Widoczny jest w sondażach. Widoczny jest w dyskursie publicznym, w którym ktoś regularnie wzywa do zagłodzenia Gazy, zrównania jej z ziemią, wypalenia ogniem albo nonszalancko stwierdza, że wszyscy tam są winni i zasługują na śmierć.

Widoczny jest też w triumfalnej postawie najskrajniejszej prawicy, która na granicy z Gazą blokuje konwoje humanitarne (bez reakcji państwa), planuje już powrót tam osadników żydowskich, pod osłoną armii terroryzuje (a nieraz morduje) Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu, a nawet atakuje antyrządowych demonstrantów.

BILANS | Wreszcie, proces ten widoczny jest także w sposobie prowadzenia wojny.

W ataku z 7 października po stronie izraelskiej zabite zostały 1194 osoby. Lista Palestyńczyków natomiast – zabitych w izraelskiej odwetowej ofensywie, trwającej do dziś – liczy jak dotąd 649 stron. Po pięćdziesiąt kilka nazwisk na stronie. Razem 34 tys. – tych zidentyfikowanych. Do tego dochodzi 7 tys. niezidentyfikowanych. Oraz, być może, około 10 tys. – to już jednak szacunki – nieodnalezionych pod ruinami. Łącznie zatem nawet 50 tys. bezpośrednich ofiar śmiertelnych.

Nie jest to jednak pełna statystyka. Taki pełny bilans ofiar po stronie palestyńskiej, uwzględniający również zgony następujące w wyniku nieleczonych chorób przewlekłych (z powodu zdewastowanej służby zdrowia w Gazie) i chorób zakaźnych, poronień czy niedożywienia, byłby – gdyby go sporządzić – bez wątpienia wielokrotnością tej liczby.

GAZA | O tym, jak sytuacja w Strefie wygląda spoza poziomu statystyk, dowiedzieć można się z wielu źródeł.

Przykładowo: doktor Mark Perlemutter, wiceprezes Międzynarodowego Kolegium Chirurgów i wolontariusz w Gazie, tak mówił o niej na antenie amerykańskiej CBS News: „Wszystkie katastrofy, jakie widziałem, razem wzięte – 40 misji przez 30 lat, w tym World Trade Center, trzęsienia ziemi – wszystko to razem ustępuje skali rzezi ludności cywilnej, jakiej byłem świadkiem, już przez pierwszy tydzień mojego pobytu w Gazie”.

Dalej Perlemutter: „Widziałem więcej spalonych dzieci niż przez całe moje życie. Tylko przez pierwszy tydzień widziałem też więcej dzieci rozerwanych na kawałki (...). Większość zgnieciona pod budynkami albo – druga największa grupa – rozerwanych w wyniku eksplozji. Wyjmowałem odłamki wielkości kciuka z ośmiolatków. I do tego postrzały snajperskie. Były przypadki dzieci postrzelonych dwukrotnie (...). Mam fotografie dwojga, które były tak precyzyjnie postrzelone w pierś, że sam nie przyłożyłbym dokładniej stetoskopu, a jednocześnie – te same dzieci – w skroń. Małe dziecko nie może zostać postrzelone dwukrotnie przez pomyłkę przez »najlepszych snajperów na świecie«”.

■■■

Dokąd to Izrael doprowadzi? Co chce tym sposobem osiągnąć? I czy drogę do lepszej przyszłości i bezpieczeństwa można sobie po prostu wybombardować, aż nie zostanie kamień na kamieniu?

Trudno w to uwierzyć.

© MAREK MATUSIAK

Alex Dancyg

KIBUC NIR OZ, tuż przy granicy z Gazą, odwiedziłam w maju 2023 roku. Chciałam zapytać mieszkańców o ich reakcje na trwające w Izraelu antyrządowe protesty oraz o stosunek do Palestyńczyków, żyjących kilometr dalej. Choć kibuc był często ostrzeliwany przez Hamas, głosowano tu na partie centrowe i lewicowe, a wśród mieszkańców nie brakowało ludzi angażujących się w działania propokojowe.

JACEK TARAN

ALEX DANCYG był tu moim przewodnikiem. Historyk z Warszawy, z Polski wyemigrował w 1957 roku. Związany z Yad Vashem, angażował się w dialog polsko-izraelski. W kibucu pracował jako specjalista od nawadniania pól. Pokazywał mi je z dumą. Opowiadał, jak na tych polach odkryli kiedyś tunele Hamasu: „Patrzę: dziura w ziemi. Zaglądam, a tam tunel murowany. Kilkaset metrów od domów! Mogli nas z dziesięć razy porwać".

WIERZYŁ JEDNAK, że pokój jest możliwy, że palestyńscy sąsiedzi chcą spokojnie i godnie żyć. Kibucnicy z Nir Oz pamiętali czas, gdy granicy z Gazą nie było, gdy sąsiedzi jeździli do siebie nawzajem po zakupy. Alex wspominał, jak zakopał się traktorem w polu i z pomocą przyszli gazańscy rolnicy. Uważał, że relację między narodami przerwała budowa płotu separacyjnego. Kolejne ostrzały Hamasu i krwawe interwencje izraelskiej armii doprowadziły jednak do nienawiści, która wybuchła 7 października 2023 roku.

TEGO DNIA rankiem kibuce przy Strefie Gazy zaatakowali bojownicy Hamasu. W doskonale zaplanowanej akcji zamordowali 800 cywilów; zginęło też 400 żołnierzy i policjantów, a ponad 251 osób uprowadzono. Informacje o gwałtach i zabójstwach – w czym mieli udział gazańscy cywile – przyczyniły się do zmiany poglądów w dotąd lewicowej części Izraela i do powszechnej akceptacji dla odwetu: ofensywy na Gazę, w której zginęło dotąd ponad 40 tys. Palestyńczyków, w większości cywilów.

Z CZTERYSTU mieszkańców Nir Oz co czwarty został zabity lub porwany. Uprowadzono też Alexa. Jego śmierć potwierdzono w lipcu 2024 r. Jego syn Yuval angażuje się w Forum Rodzin Zakładników i Zaginionych, które żąda uwolnienia bliskich i protestuje przeciw działaniom swojego rządu na ulicach izraelskich miast. Rozmawiamy z Yuvalem – o jego ojcu i szansach na pokój. © KPA

Mój ból, moja wściekłość

YUVAL DANCYG, SYN ALEXA DANCYGA:

Ta wojna i sprawa zakładników całkowicie nas, Izraelczyków, podzieliła. A ja wierzę, że aby myśleć o pokoju z Palestyńczykami, musimy najpierw zawalczyć o pokój wśród nas samych.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Od pogrzebu Twojego taty mija miesiąc. Jak radzisz sobie z emocjami?

YUVAL DANCYG: Jestem rozdarty. Ale robię, co mogę, by dalej żyć. Z całą rodziną przeszliśmy długą drogę, by znaleźć się w tym miejscu: gdzie nie ma już nadziei na powrót taty, ale jest przestrzeń, by go upamiętnić. A przede wszystkim – spróbować zrozumieć, co dokładnie się z nim w Gazie stało. Składamy fakty, szczątki informacji. Armia nadal nie ujawniła szczegółów z tej akcji, choć media nieoficjalnie są w posiadaniu pewnego raportu. Sam nie wiem, dlaczego robią z tego taką tajemnicę. Mówią, że dokładne śledztwo zajmie jeszcze ponad miesiąc, ale znając życie, myślę, że dowiemy się czegoś dopiero za pół roku.

Mija rok od masakry w Nir Oz. Wracasz pamięcią do tamtych chwil?

Czas upływa, a wciąż niewiele rozumiem. Może gdybym wtedy potrafił zrozumieć choćby ułamek tego, co się wokół dzieje, moja ostatnia rozmowa z tatą brzmiałaby inaczej. Nie uciąłbym jej po minucie, mówiąc: uważaj na siebie, zadzwonię do ciebie potem. Pozostałbym na linii tak długo, jak to możliwe. Mówiłbym do niego, próbowałbym wesprzeć. Ale to był dzień, gdy większość pytań była bez odpowiedzi. Zresztą i dziś nie jesteśmy mądrzejsi.

Tamtego poranka tata mówi Ci przez telefon, że w kibucu są terroryści. Jesteś z rodziną u swoich teściów pod Jerozolimą. Za daleko, by mu pomóc.

Wiszę na telefonie. Tata się rozłączył. Mama w ogóle nie odbiera. Widzę, że odczytuje moje wiadomości, ale nie odpowiada. Brat, który mieszka w Tel Awiwie, pisze, że jego córka jest w kibucu, pojechała odwiedzić babcię. Wujek dzwoni, że jest ranny. Pełne paniki wiadomości od rodzeństwa, siostry i brata, z których wynika, że sytuacja zakrawa na katastrofę...

Jest taki film w sieci, wrzucony w pierwszych godzinach ataku przez palestyńskie media, gdzie Gazańczyk relacjonuje wydarzenia z kibucu. Napisano, że to kibuc Nir Am. Ale patrzę tego dnia i widzę, że to Nir Oz. Za plecami mężczyzny widzę terrorystów. Dociera do mnie, że kibuc jest zajęty. Kolejna myśl: zakończę ten dzień czternastoma pogrzebami wszystkich członków rodziny obecnych wtedy w kibucu. I że z takim ciężarem nie będę w stanie dalej żyć.

Potem okazuje się, że mama, brat, siostra i ich rodziny zdołały się uratować. Ale dom taty jest pusty.

Nie tylko jego, porwany został też wujek Icchak. Gdy zrozumiałem, co się z nimi stało, nie traciłem nadziei. Wierzyłem, że wrócą. Gdy późną jesienią 2023 r. wraz z moim szwagrem wracałem samolotem z Polski do Izraela, po spotkaniu z prezydentem Dudą, byliśmy pełni nadziei. Widzieliśmy, że prezydentowi zależy,

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Alex Dancyg na skraju kibucu Nir Oz. W oddali widać wioskę Chuza w rejonie Chan Younis, gdzie w 2024 r. odnaleziono jego ciało. Izrael, 29 maja 2023 r.

by nam pomóc. Liczyliśmy, że to będzie przełom, że nacisk międzynarodowy pomoże nam wydostać tatę z niewoli [Alex miał także polskie obywatelstwo – red.]. Mówiliśmy, że to pewnie potrwa jeszcze parę tygodni, że tata wytrzyma. W najczarniejszych myślach nie przewidziałbym, co zdarzy się później.

Co teraz?

Ciężko to psychicznie unieść. W domu widzimy po sobie i dzieciach, jak skrzywdził nas mijający rok. Życie całkowicie się zmieniło, podobnie jak życiowe priorytety. Kiedyś byłem skupiony na gonitwie za pracą i na utrzymaniu rodziny. Dziś baczniej przyglądam się dzieciom i temu, jak je wychowuję. Bardziej interesuje mnie to, co dzieje się w Izraelu. Boleśnie się przekonałem, że polityka może mnie dotknąć osobiście. Nie można spuszczać wzroku, patrząc na to, co się dzieje. Trzeba brać odpowiedzialność i mieć wpływ.

Masz wpływ. Jesteś zaangażowany w Forum Rodzin Zakładników i Zaginionych.

Staram się utrzymać kontakt z wszystkimi osobami i instytucjami, które próbowały pomóc tacie, bo liczymy, że presja międzynarodowa może uratować żyjących jeszcze zakładników. Za kilka dni znów lecę do Polski, na upamiętnienie taty. Potem do Stanów i Niemiec. Robię, co mogę, by pomóc uratować, kogo się da. Mam ledwie nikłą nadzieję, że niedługo to wszystko się skończy i moja pomoc nie będzie już potrzebna.

Mogłeś się z ojcem pożegnać, pochować go. Wiele izraelskich rodzin nie mogło tego zrobić.

To nie daje ukojenia. To nie tak, że dzięki pogrzebowi zamknęliśmy etap i możemy żyć dalej. Oczywiście jest wiele rodzin, które nie wiedzą, czy po kochanej osobie pozostały jakiekolwiek szczątki. Po tym, jak dostaliśmy informację, że tata został zabity, minął miesiąc, zanim nam go zwrócono. W tym czasie żyłem lękiem, że ciało do nas nie dotrze.

Wiecie, że jeszcze w lutym żył.

Jeśli mimo tego wszystkiego – porwania, ciężkich warunków, braku leków – był w stanie przeżyć fizycznie i psychicznie te pięć miesięcy w niewoli, mógł jeszcze chwilę wytrzymać, doczekać uwolnienia. Nie poradziliśmy sobie z tym zadaniem. Ale wiemy, że to wszystko mogło się skończyć inaczej. Tak, to pocieszające, że teraz jest choćby nagrobny kamień i wnuki będą miały dokąd pójść, upamiętnić go. Bo wiemy od taty, że brak kamienia może prowadzić do wielkiego cierpienia.

Co masz na myśli?

Jedną z rzeczy, które tata nam opowiadał, była historia jego rodziny w okupowanej Polsce. Większość rodziny moich dziadków nie przeżyła Holokaustu. Tata opowiadał, jakim przeżyciem było dla niego, że jako dziecko nie miał do kogo pójść na grób. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie rodzina została zamordowana.

Widzę w Tobie mnóstwo rezygnacji, ale też wściekłości. Na kogo się złościsz?

Zapytaj lepiej, na kogo się nie złoszczę. Jestem zły na państwo, rząd, wojsko. Oczywiście to gniew, który trzeba skierować w konstruktywny sposób. Tak aby przyszłe pokolenia mogły tu żyć w pokoju, a ci, którzy 7 października 2023 r. nie wykonali należycie swojej pracy, by nas ochronić, zostali osądzeni i nie byli więcej do niej dopuszczani. Aby każdy obywatel mógł wiedzieć, że gdy zostanie zaatakowany lub porwany, to państwo zrobi wszystko, by mu pomóc i zabrać go z powrotem do domu. I byśmy wszyscy realnie patrzyli na nasze możliwości obrony, a nie żyli w jakichś utopijnych koncepcjach, wmawianych nam przez rządy, że jesteśmy niezniszczalni i nie da się nas zaskoczyć.

Wierzysz jeszcze w pokój?

Myślę, że każdy, kto mieszka tutaj, w Izraelu, musi mieć pewność, że da się tu żyć w pokoju i bezpieczeństwie. Co to oznacza? Przyznam, że dotąd nie zastanawiałem się głębiej nad tą kwestią i wciąż nie znajduję w sobie przestrzeni, by to zrobić, bo ciągle jestem zajęty kwestią uprowadzonych. Ale zdaję sobie sprawę, że to sedno całej sprawy.

A konkretnie?

Musimy nakreślić wizję tego, czego chcemy. Nie wiem, na ile takie rozwiązanie pokojowe, jakie próbowano osiągnąć w latach 90. XX w., jest wciąż możliwe. Z pewnością musimy wypracować jakikolwiek pomysł na to, by zapewnić w regionie bezpieczeństwo. Nie można zakładać, że tak dalej można żyć, w spokoju tylko na chwilę, i że wojny z Gazą i na północy mogą się co chwila powtarzać. Nie można tak żyć, w takim strachu. A w tej chwili mamy jeden priorytet: osiągnąć porozumienie w sprawie uprowadzonych, sprowadzić tych, którzy żyją, do domów. Za wszelką cenę, również związaną z kwestią bezpieczeństwa.

Masz na myśli to, że rząd powinien zrezygnować z celów militarnych w Gazie i za wszelką cenę sprowadzić zakładników?

↦

Nie można pozwolić, by pozostawieni w Gazie zakładnicy, 101 osób, w tym osoby starsze, kobiety i dzieci, stały się naszą tarczą i wymówką do samoobrony...

...czyli do prowadzenia nalotów na Gazę.

To nie jest droga. Niestety ta kwestia podzieliła w ostatnim roku całe społeczeństwo. Wczoraj spotkałem się z grupą nastolatków z przeciwnej strony politycznego spektrum w Izraelu, z ruchów religijno-narodowych. Chciałem im powiedzieć, że ostatecznie jesteśmy jednym społeczeństwem, jedną drużyną i to jest ważniejsze niż walka z którymkolwiek z wrogów. Owszem, możemy prowadzić wojny ze wszystkimi dookoła, możemy ich wszystkich zwalczyć, ale co po nas wtedy zostanie? Kim się staniemy, jeśli braknie nam solidarności i wspólnoty? Wierzę, że aby myśleć o pokoju z Palestyńczykami, musimy najpierw zawalczyć o pokój wśród nas samych.

Ale tego pokoju nie było już wcześniej, przed 7 października. Żyliśmy w Izraelu w jakimś przytłumieniu, przeciągając między sobą linę każdy w swoim kierunku.

W ciągu ostatnich 15-20 lat doświadczyliśmy pogorszenia sytuacji w społeczeństwie, i to ze wszystkich stron. Dyskurs zamienia się w przemoc, brak wzajemnego szacunku. Dziś nie mamy w Izraelu przywódców takich jak Begin czy Rabin, którzy potrafili słuchać z szacunkiem drugiej strony i wiedzieli, jak nawiązywać dialog między skłóconymi częściami społeczeństwa. Dziś rozmowa wygląda inaczej. Po 7 października 2023 r., wyłączając dwa-trzy miesiące naprawdę szalonej solidarności i wzajemnej pomocy, byłem pewien, że jeśli tak dalej pójdzie, dojdzie w Izraelu do wojny domowej. Bałem się o moje dzieci, widząc rozlewającą się przemoc – na zewnątrz i wewnątrz kraju.

A dziś?

Dziś jesteśmy już bardzo zmęczeni, a rozmowa, dialog ani trochę nie posunęły się do przodu. Odkąd jestem zaangażowany na rzecz rodzin zakładników i zaginionych, czuję, że jakby żyję mniej. Jestem postrzegany krytycznie, ciągle piętnowany za to, co mówię – przez tę czy inną grupę polityczną. Choć to może

ARCHIWUM PRYWATNE

Yuval Dancyg z przewodnikiem po Krakowie napisanym przez jego ojca Alexa. Kraków, marzec 2024 r.

zabrzmi dziwnie, musimy wyjaśnić historię osób uprowadzonych nam samym jako społeczeństwu – bo nie jest ona oczywista. To powinno było nas zjednoczyć. A tak się nie dzieje. To mnie przeraża, bo jeśli nie potrafimy ze sobą rozmawiać po takiej tragedii, to co z nami będzie jutro?

Gdy chodzisz na spotkania z rządem, masz poczucie, że spotykasz się ze zrozumieniem, czy raczej ze ścianą politycznych interesów?

Myślę, że ostatecznie wszyscy – łącznie z ludźmi z rządu – mamy to samo pragnienie, by sprowadzić wszystkich do domu tak szybko, jak to możliwe. Aby ta część tragedii jak najszybciej się zakończyła. Ale ostatecznie rozbijamy się o szereg priorytetów. Moim zdaniem priorytetem rządu Netanjahu jest obecnie wygrać wojnę – cokolwiek to znaczy – i wystawić sobie pomnik zwycięstwa. I jest ta druga strona. Wiemy, że Sinwar [lider Hamasu – red.] nie szuka pokoju. Nie znam dokładnie interesów Hamasu, ale jestem pewien, że nie chodzi im o interesy Palestyńczyków. Bardziej liczy się tu jakaś mesjanistyczna wizja. To mordercza organizacja. Myślę, że dziś nikt nie ma wątpliwości, że Sinwar jest psychopatą.

Uważam, że postąpiliśmy politycznie nierozsądnie. Teraz, gdy analizujemy to, jak doszło do ataku 7 października, wiemy, że nasz rząd poniósł spektakularną porażkę. Gdyby lepiej potrafił oszacować możliwości takich ludzi jak Sinwar, moglibyśmy uratować wielu ludzi, w tym mojego tatę. I wciąż rząd ponosi tę porażkę – bo co z tego, że w wojnie giną członkowie Hamasu i Hezbollahu, skoro giną też cywile, a większość naszych zakładników wróci do domu w trumnach?

Czuję też, że buntuję się wobec społeczności międzynarodowej. Mam żal, że nas zostawiła.

Uważasz, że świat powinien się włączyć w konflikt tak trudny do ogarnięcia?

No przecież już się włącza, ale naskórkowo. Tu potępić Hamas, tu Izrael, tu wysłać Netanjahu do Hagi. Ale co to właściwie zmienia? Jestem przekonany, że klucz do rozwiązania tego konfliktu trzyma społeczność międzynarodowa, choć nie jestem przekonany, czy powinien być on w rękach ONZ. Wiem jedno: my, Izraelczycy i Palestyńczycy, tego konfliktu rozwiązać nie potrafimy. Nie powinni tu też ingerować Amerykanie czy Katarczycy, którzy mediują do tej pory, bo każdy z nich jest w strefie jakichś interesów. A to realna potrzeba, realny dramat. Tu nie może być miejsca na polityczny spin.

Tego też uczy historia II wojny światowej. Polska zaatakowana przez hitlerowskie Niemcy była pozostawiona sama sobie. Co by było, gdyby komuś udało się zatrzymać to szaleństwo wcześniej? Może udałoby się uniknąć zabójstwa milionów ludzi.

Co stanie się z domem Alexa? Z pamiątkami po nim, z jego polską biblioteką?

Dom nie jest własnością rodziny, lecz kibucu. Wkrótce będziemy musieli zmierzyć się z jego uporządkowaniem. Mamy kilka pomysłów na stworzenie biblioteki z książkami Alexa. Na pewno zatrzymamy w rodzinie pamiątki po nim i pomyślimy o większym upamiętnieniu.

Ale to jeszcze nie ten czas. Nie dotarliśmy do tego etapu. Wciąż jesteśmy całą rodziną pochłonięci sprawą zakładników i śledztwa w sprawie taty. Umysł wciąż w pewnym sensie tkwi w tym feralnym dniu, 7 października 2023 r. Dopóki zakładnicy nie wrócą do domów, a ta wojna się nie skończy, nie będziemy w stanie wrócić do zwykłego życia.

© Rozmawiała
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Rozstawiane na ulicach Sełydowego „smocze zęby" mają utrudnić przejazd rosyjskich czołgów. Wrzesień 2024 r.

Ewakuatorzy

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK
Z POKROWSKA, SEŁYDOWEGO I HIRNYKA (OBWÓD DONIECKI)

Zajmują się wywożeniem cywilów ze strefy frontowej. Odkąd Rosjanie posuwają się w stronę Pokrowska, mają ręce pełne roboty. Choć nie wszyscy cywile chcą się ewakuować. Albo nie mogą.

Przejazd przez Pokrowsk, typowe górnicze miasto donieckiego zagłębia węglowego, nigdy nie należał do przyjemności. Dotąd jednak pomstowania kierowców dotyczyły dróg, miejscami wyjątkowo tutaj dziurawych. O jednym z mostów żartowano, że nie trzeba w mieście umocnień – starczy, że Rosjanom przyjdzie przeprawiać się przez te wertepy.

Teraz most, krótko po remoncie, leży zwalony precyzyjnym rosyjskim uderzeniem. Podobnie dwa inne. Paraliżują przejazd przez Pokrowsk, ogarnięty ponurą atmosferą zbliżającego się frontu.

POKROWSK | Z oddali słychać wybuchy. Samo to miasto – do niedawna 60-tysięczne, dziś pustoszejące – milczy. Jest po ósmej rano, trwa godzina policyjna (obowiązuje przez większość doby, od piętnastej do jedenastej następnego dnia). Na ulicach pusto. Poboczem przejeżdża odrapana łada, pracownicy służb porządkowych kręcą się po gruzowisku na miejscu, gdzie stał jeden z mostów.

Pył z ruin oblepia buty, gdy przechodzę na drugą stronę ulicy. Tam czeka biały bus ewakuacyjny, a w nim Sania i Slawik. Chłopaki z humanitarnej organizacji Dobra Sprawa zajmują się wywożeniem cywilów ze strefy frontowej. O takich jak oni mówi się: ewakuatorzy. To jeden z licznych neologizmów powstałych podczas tej wojny.

Mają ręce pełne roboty, odkąd Rosjanie posuwają się w stronę Pokrowska i pobliskich osiedli. Pokrowsk to strategicznie najważniejsza aglomeracja: zabezpiecza południowo-zachodnią część obwodu donieckiego.

DROGA | Wyjeżdżamy z miasta. Sania, trzydziestoparoletni, z szerokim uśmiechem sadowi się za kierownicą. Slawik, w średnim wieku i z nobliwym wąsem, popatruje na młodszego kolegę, gdy ten zaczyna beztroską pogawędkę.

– Potem opowiesz, teraz weź się rozglądaj – strofuje go i sam bacznie obserwuje horyzont. Okna auta są całkowicie otwarte, aby słychać było każde brzęczenie drona, gdyby się nad nami zjawił. – Oni już pół Lisiwki zajęli. Siedzą sobie obok, zaraz wylezą na trasę.

Lisiwka to jedna z ostatnich miejscowości, jakie stoją na rosyjskiej drodze do Pokrowska. Tego dnia ich wojska są w linii prostej 8 km od miasta.

– Widzisz tę hałdę z lewej? Jest już zajęta przez Rosjan – Sania wskazuje wielki pagór, wyrastający pośrodku horyzontu. Takie hałdy to typowy element krajobrazu Donbasu. – Śledzą z niej ruch w okolicy. Taka jest teraz wojna, że obie strony widzą niemal każdy swój ruch. I nas widzą też, doskonale. Oni wiedzą. Będą patrzeć, gdzie jedziemy. Jeśli zechcą, mogą w nas rąbnąć. Jesteśmy tu tylko dzięki ich dobrej woli, mogę tak powiedzieć. O, tabliczkę postawili. Uwaga, strefa działań bojowych. No nieźle.

– Patrz, płonie gdzieś w Sełydowem – Slawik wymienia pierwszą miejscowość z dzisiejszej listy.

Jesteśmy na drodze do centrum Sełydowego, kiedyś 20-tysięcznego miasteczka. Tu i na kilku innych odcinkach dzisiejszej trasy mijamy wraki samochodów tych, którzy nie jechali dość szybko, przynajmniej zdaniem Slawika. Choć przecież i my na dziurawej drodze musimy chwilami zwalniać do 20 km na godzinę, aby nie wylądować w rowie. ↦

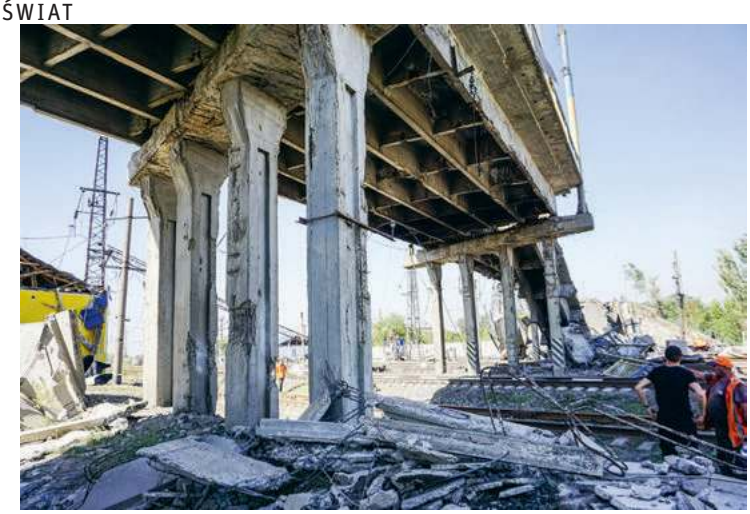

Od lewej: Slawik i Sania zostawiają ogłoszenie o ewakuacji na baniaku z wodą pitną w Hirnyku. Zniszczony most w Pokrowsku; linia frontu jest już o kilka kilometrów stąd.

↦ **SEŁYDOWE** | – Komersanci zrywają nasze ogłoszenia o bezpłatnej ewakuacji. Sami oferują ludziom wywiezienie za duże pieniądze – tłumaczy Slawik z rolką taśmy klejącej w zębach. Przykleja ulotkę fundacji na przystanku, z którego od dawna nie odjeżdża już nic.

Komersant to określenie biznesmena, które teraz, w realiach wojny, nabrało nieco innego charakteru, zdecydowanie negatywnego. – Eh, a w czasie ewakuacji z Bachmutu numer ewakuacyjny wypisywaliśmy po prostu sprayem na ścianach. Nie dało się tego zerwać.

Ogłoszenia trafiają na kilka bram wjazdowych i przydrożny słup. Choć do sporej części Sełydowego nie dociera już internet, zdecydowani na ewakuację mieszkańcy nieraz wchodzą na położone wyżej budynki, żeby złowić zasięg.

– Ci, którzy chcą wyjechać, zrobią wszystko, żeby załapać się na ewakuację – Slawik przykleja ostatnie ogłoszenie. Sania pędzi pod jedyny adres w Sełydowem, jaki został podany dziś jako ewakuacyjna zajawka (może to być tzw. pinezka – adres zapisany w nawigacji i przesłany na telefon odbiorcy). Stuka w okno, wykrzykuje swoją formułkę: – Ktoś rzucił na was zajawkę, czy chce się pani ewakuować? Chyba wasi krewni ją rzucili, sprawdzę numer.

– Nie! – z mieszkania dobiega stanowczy kobiecy głos. – Nigdzie nie wyjeżdżam. W dodatku mam sparaliżowanego męża. Nie mamy gdzie się podziać.

Sania wzrusza ramionami. Wyjaśnia, że już wczoraj był pod tym adresem.

ZOSTAJĄCY | Wśród tych, którzy decydują się zostać, nie zważając na to, że ich miasteczka, osiedla i wsie za chwilę mogą zamienić się w ruinę, zmiecione z powierzchni ziemi przez artylerię i lotnictwo, przeważają ludzie starsi i z niepełnosprawnościami. Choć wolontariusze są gotowi ich wywieźć, spotykają się z odmową.

Od znalezienia się w samym środku strefy działań bojowych wielu miejscowych najwyraźniej bardziej przeraża perspektywa porzucenia rodzinnej miejscowości i życia gdzieś na obczyźnie, za niewielkie pieniądze z emerytury lub zasiłku. Czasem odmawiają nawet ci posiadający krewnych, którzy mogliby się nimi zaopiekować. Nie umieją opuścić domu.

Bezdomne zwierzęta na ulicach Hirnyka

Część zaś świadomie czeka na przyjście Rosjan – tych język wojny nazywa żdunami (od rosyjskiego słowa *żdat'*, czekać).

– Ta ulica to istny korytarz dla dronów kamikadze. A tu do niedawna pracował sklepik. No, dużo powiedziane, otwierał się, jak ktoś dowiózł jakiś towar – Sania wczuwa się w rolę przewodnika, gdy mkniemy przez opustoszałe centrum. Wiatr przerzuca pierwsze jesienne liście między „smoczymi zębami", betonowymi zaporami przeciwpancernymi, których rzędy zamykają ulice. – A o tym parku po lewej to wszyscy mówią, że zajęty już przez Rosjan. Ja tam nie wiem, ale przejeżdżaliśmy przez niego ostatnio, kiedy jechaliśmy za zajawką.

HIRNYK | Na południowy wschód od Sełydowego leżą Ukraińsk i Hirnyk, nieduże górnicze osiedla-miasteczka. Pierwsze, teraz niemal całkowicie kontrolowane przez Rosjan, pojawiło się w ukraińskim internecie za sprawą nagranego przez wolontariusza spotkania z rosyjskim żołnierzem. Ten nie sprawił problemów, pozwolił dalej prowadzić ewakuację cywilów.

– Wszystkim się poszczęściło. I tym wolontariuszom, że żyją, i żołnierzowi, że nie było Ukraińców w okolicy – komentuje Sania. – On szedł jak jakiś Rambo, sam z automatem tylko i bez kamizelki.

Hirnyk, przed inwazją 10-tysięczne miasteczko, to kolejny nasz cel tego dnia. Jego skraj znajduje się już na terenie tzw. szarej strefy – terenu, którego nie kontroluje żadna ze stron.

Kulawy traf chciał, że zajawka to adres właśnie w tej okolicy. Chłopaki nie chcą wpakować się w taką sytuację, jaka miała miejsce w Ukraińsku. Slawik dzwoni do starszego człowieka, który na nas czeka. Pyta, czy jest w stanie przejść pieszo przynajmniej do skrzyżowania. – Mam dużo ciężkich bagaży – pada odpowiedź. – Proszę, przyjedźcie. Zabierzcie mnie stąd.

Pożary spowodowane ostrzałem artyleryjskim to codzienny widok w obwodzie donieckim. Wrzesień 2024 r.

Plac sportowy w Pokrowsku; kiedyś 60-tysięczne miasto pustoszeje, codziennie ostrzeliwane. „Nie ruszę się bez syna" – mówi Luba, stojąc przed spalonym domem sąsiadów w Hirnyku.

Głos należy do Jury, wysuszonego górnika tuż przed emeryturą. Oparty o laskę, czeka na krawężniku przed niskim blokiem. Do końca pracował w miejscowej kopalni węgla, aż do dnia jej zamknięcia. W ostatnim momencie zdecydował się na wyjazd z Hirnyka – 300 km stąd na zachód, w spokojnej wiosce w obwodzie dniepropietrowskim, czeka na niego rodzina.

LUBA | Jurę odprowadza sąsiadka, Luba. Kobieta nerwowo kręci się między naszym busem a klatką schodową. Potyka się o kotka, który łakomie połyka garść karmy wysypanej na asfalt przez Sanię.

Czy chce się ewakuować? – Chciałabym, ale nie zostawię syna – odpowiada. – On nie pojedzie. Jest niepełnosprawny... – wzrok Luby ucieka w stronę okna na drugim piętrze.

– Igor ma czterdziestkę, a od dziesięciu lat nie wychodzi z domu. Nigdy go nie widziałem na oczy – Jura ćmi papierosa. Ze stoickiego spokoju nie wyrywa go nawet dron, który zawisł nad busem. Drugi w ciągu kwadransa. Na niebie odcina się drobna sylwetka, to dron zwiadowczy. Uderzeniowy odznaczałby się wyraźnym kadłubkiem zawierającym materiał wybuchowy.

Jura pali dalej, jakby nigdy nic: – Nikt go, prawdę mówiąc, nie widział. Nie wychodzi nawet na balkon, nie staje w oknie. Luba mówi, że tylko leży na wznak jak trup. Ale słychać go i to całkiem nieźle. Krzyczy na matkę, wyzywa ją.

– Powiedziałam. Nie ruszam się bez syna. A z nim nie dacie rady porozmawiać. Zostawcie mnie...

Lecz wolontariusze nie dają za wygraną, Luba się waha. – Widziałam, co się dzieje z ludźmi, którzy nie chcą wyjeżdżać... – wskazuje na dymiące wciąż szczątki domu, który sąsiadował z jej blokiem. Tak wygląda już wiele budynków w Hirnyku.

– Ci sąsiedzi odmówili ewakuacji. Następnego dnia ich ostrzelali. To Ukraińcy ich ostrzelali, bo oni nie chcieli stąd wyjeżdżać! – Luba zalewa się płaczem. Jura wzdycha.

POWRÓT | Drogą biegnie kilku żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Ich już rosyjski dron zwiadowczy by nie zignorował. Stąd przemieszczają się szybko, skaczą pomiędzy piwnicami.

Więcej ukraińskich żołnierzy w Hirnyku nie widać. Dopiero na drodze wyjazdowej w stronę Kurachowego mija nas obryzgany błotem samochód terenowy.

– Też się ewakuują – mruczy Sania na widok pięciu żołnierzy, którzy kulą się na pace pick-upa.

– Weź trzymaj się od nich na dystans – rzuca Slawik, ale wóz sam się oddala. – Szybko pędzą, chyba z rotacji.

Z tyłu za nami zostają Hirnyk, Luba z synem oraz narastający pogłos artylerii.

© ANTONINA PALARCZYK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

PETR DAVID JOSEK / AP / EAST NEWS

HEJZLAR JAROSLAV / CTK / PAP

Od lewej: Michal Šimečka w towarzystwie żony i córki opuszcza lokal wyborczy w dniu wyborów parlamentarnych. Bratysława, 30 września 2023 r.
Milan Šimečka, dziadek Michala. 2 sierpnia 1990 r.

Rodzina na celowniku

TOMASZ MAĆKOWIAK

Robert Fico wytoczył wojnę Michalowi Šimečce. To przedstawiciel trzeciego już pokolenia znanej rodziny, która znacząco zapisała się w XX-wiecznej słowackiej historii. Jej losy wiele mówią o Słowacji – kiedyś i dziś.

Odwołanie ze stanowiska wiceprzewodniczącego słowackiego parlamentu Michala Šimečki, co stało się w połowie września, tamtejsza publicystyka oceniła jednoznacznie: to powrót obyczajów znanych z czasów komunizmu. Za komuny też było tak, że rządzący, przy wsparciu tajnych służb, starali się kompromitować opozycję – przy czym atakowali nie tylko osoby czynne politycznie, ale także ich rodziny.

Dokładnie tak się stało dziś w przypadku Michala Šimečki. Ten czterdziestolatek jest dziś liderem najsilniejszej w kraju partii opozycyjnej o nazwie Postępowa Słowacja. W polityce jest od dawna: wcześniej był politycznym doradcą, posłem do Parlamentu Europejskiego, a także jego wiceprzewodniczącym.

Kiedy rok temu populista Robert Fico wrócił do władzy, Michal Šimečka stał się jednym z jego głównych oponentów. Jako szef rządu, z miesiąca na miesiąc Fico przykręca bowiem śrubę i – wzorem Viktora Orbána, swojego sąsiada z południa – konsekwentnie buduje na Słowacji system autorytarny.

Milan, Martin i Michal: trzy pokolenia

Między premierami Węgier i Słowacji jest też jednak pewna różnica: w młodości Orbán (rocznik 1963) był antykomunistycznym dysydentem, podczas gdy Fico, niemal jego równolatek (rocznik 1964), zdążył być komunistą. Należał do rządzącej ówczesną Czechosłowacją partii komunistycznej i robił w niej karierę. Było to w czasach, kiedy ulubionym celem ataków propagandy partyjnej na Słowacji była właśnie rodzina Šimečków.

Wtedy chodziło głównie o dziadka Michala. Milan Šimečka (1930-1990), uniwersytecki filozof, pisarz i publicysta, był znanym na Słowacji opozycjonistą, prześladowanym przez tajniaków ze Służby Bezpieczeństwa (StB).

W latach 70. był on w społeczeństwie słowackim osamotnionym i odizolowanym krytykiem systemu. Związał się wówczas blisko z – działającym głównie w stolicy Czechosłowacji – środowiskiem skupionym wokół Václava Havla. O Milanie Šimečce i jego rodzinie plugawe teksty – zwykle anonimowe – publikował oficjalny organ słowackich komunistów „Pravda".

W takiej to rodzinie wychował się syn Milana – Martin Šimečka (rocznik 1957). Przejął po ojcu ostre pióro i już za demokracji zasłynął jako publicysta i dziennikarz. W latach 90., po rozpadzie Czechosłowacji i powstaniu niepodległej Słowacji, dał się poznać zwłaszcza jako krytyk rządzącego wtedy w Bratysławie premiera-autokraty Vladimíra Mečiara. Potem przez lata kierował kolejnymi redakcjami. Dziś jako publicysta internetowego „Dennika N" jest jednym z najbardziej znanych krytyków Roberta Ficy.

Jego syn Michal (rocznik 1984) kieruje od kilku lat największą partią opozycyjną.

Kulturowe wojny ideowych ekscentryków

Przejmując przed rokiem na nowo rządy, Robert Fico budził obawy ze względu na swoje antyukraińskie i prorosyjskie wypowiedzi. Mimo to polityk ten, od dekad wracający na stanowisko słowackiego premiera (był nim w latach 2006-2010, a potem 2012-2018), słynie też z dwulicowości. W kraju kokietuje swoich wyborców, z których wielu nastawionych jest niechętnie do Zachodu i jego instytucji, ale w Brukseli, w czasie obrad Unii Europejskiej i NATO, zawsze zachowuje się lojalnie wobec tegoż Zachodu. Tak jest i teraz, w czasie wojny w Ukrainie.

Jednocześnie w rządzie i koalicji rządowej Ficy pełno ideowych ekscentryków, gotowych wojować przeciwko „neomarksistom" i „ideologii LGBT", a także samochodom elektrycznym i weganom – słowem, zwalczających wszystko to, co im się źle kojarzy z Zachodem i Unią Europejską.

W ramach takich ideowych wojenek w ostatnich miesiącach szefowa resortu kultury Martina Šimkovičová odwołała szefów Teatru Narodowego i Galerii Narodowej (wcześniej Šimkovičová zrobiła polityczną karierę jako internetowa influencerka, zwalczająca szczepienia przeciw covidowi). Decyzja ta wywołała powszechne oburzenie, nawet wewnątrz koalicji rządzącej nie brakowało krytyków.

Jej konsekwencją była także duża demonstracja w centrum Bratysławy: w środku wakacji przyszło na nią 18 tys. ludzi. Organizatorem i głównym mówcą tego protestu był właśnie Michal Šimečka, wówczas (jeszcze) opozycyjny wiceprzewodniczący parlamentu.

Odpowiedzialność rodzinna

Tymczasem Robert Fico, który w maju padł ofiarą nieudanego zamachu – postrzelił go w miasteczku Handlová emeryt, który nie krył antypatii do rządzących krajem – powrócił do pracy. Najwyraźniej ta ekstremalna sytuacja sprawiła, iż wyraźnie zgorzkniał, zradykalizował się i teraz otwarcie już mówi np. o spisku finansowanym, jakżeby inaczej, przez George'a Sorosa.

Demonstracje antyrządowe, organizowane w centrum stolicy w odpowiedzi na decyzję Martiny Šimkovičovej, wyraźnie go rozsierdziły. Krótko po nich zaczął atakować Michala Šimečkę – a wraz z nim całą jego rodzinę.

W pierwszych tygodniach września rządzący zarzucili liderowi opozycji, że atakuje rząd po to, aby w rzeczywistości bronić finansowych interesów swoich krewnych. Poinformowali, że jego życiowa partnerka, a także jego ojciec, wspomniany publicysta Martin Šimečka oraz matka Marta Šimečková biorą udział w pracach różnych fundacji, które czerpią dotacje także ze środków publicznych. „Ta jego partia nie powinna się nazywać Postępowa Słowacja, tylko Pasożyty Słowacji" – mówił Fico.

Michal Šimečka szybko wyjaśnił, że wszystkie wymienione fundacje działają od lat i że jego wejście do polityki nie miało żadnego wpływu na ich kondycję finansową.

Rządowej propagandy to rzecz jasna nie zatrzymało. Atmosferę, jaka zapanowała w sferze publicznej, dobrze oddają rozmaite debaty radiowe i telewizyjne, w których posłowie z obozu Ficy licytują się ze swoim szefem na brutalne wyzwiska. Potrafią publicznie nazwać posłankę opozycji „suką", a teatralną choreografkę określić jako „tancerkę na rurze".

Fico i inni liderzy jego koalicji pozostawiają bez komentarzy te plugastwa, obliczone najwyraźniej na knajpiany elektorat.

„Dekadencja Zachodu" i „wewnętrzni wrogowie"

Analogie z komunizmem zwykle są ryzykowne – jednak tutaj nasuwają się same.

„Nuda z Ficą" – tak brzmiał tytuł komentarza, który o najnowszej fali ataków na własną rodzinę napisał Martin Šimečka, ojciec Michala. Wspominał przy tym także ataki komunistycznej prasy na własnego ojca.

„»Pisma, produkowane przez Milana Šimečkę i jemu podobnych, są świadectwem ostrej walki ideowej, która w dzisiejszym świecie toczy się między kapitalizmem a socjalizmem« – takie zdanie ukazało się w 1978 r. w komunistycznym dzienniku »Pravda«, który czasem poświęcał mojemu ojcu długi tekst podpisany pseudonimem" – pisał teraz Martin Šimečka.

Dalej konstatował: „Dziś wrogami państwa (tego, które uznają za swoją własność) współcześni rządzący politycy zajmują się osobiście – tak jak robi to premier Robert Fico wobec mojego syna Michala oraz całej naszej rodziny. (...) Fico tych metod nauczył się jako młody komunista. (...) Wraca też do komunistycznych mantr o dekadencji Zachodu i o »wrogu wewnętrznym«. Kiedyś byli to opozycjoniści, dziś organizacje pozarządowe, a szczególnie mój syn". I puentował: „Fico niczego nie zapomniał, ale niczego nowego się też nie nauczył".

W końcu pod obrady parlamentu trafiła propozycja odwołania Michala Šimečki z funkcji wiceprzewodniczącego. Cała opozycja uznała to za zamach na demokratyczne swobody i nie wzięła udziału w głosowaniu. 17 września wniosek przeszedł. Głosowanie było tajne, posłowie wrzucali do urny karteczki, nie da się zatem ustalić, którzy dwaj parlamentarzyści z partii rządzących złamali dyscyplinę i nie poparli uchwały. Odwaga w tych kręgach za bardzo się nie opłaca.

Komputer szefa tajnych służb

Przy okazji dziennikarze ustalili, że elektroniczna wersja projektu uchwały o odwołaniu Šimečki powstała na komputerze należącym do Pavola Gašpara – szefa Słowackiej Służby Informacyjnej (SIS), czyli wywiadu i kontrwywiadu. Gašpar rzecz jasna zaprzeczył, żeby z dokumentem miał cokolwiek wspólnego. Rzeczywiście: posłem, który oficjalnie złożył ten wniosek, był jego ojciec Tibor Gašpar (wcześniej, za poprzedniego rządu Ficy, komendant główny policji w latach 2008-2012).

„To szaleństwo!" – ocenił Michal Šimečka, uznając to za wykorzystywanie tajnych służb do walki z opozycją.

Premier Fico zapewnia, że jeśli opozycja wskaże innego kandydata na opróżnione stanowisko, to większość rządząca ten wybór zaakceptuje. Na razie jednak nie ma na to szans, bo partie opozycji jak jeden mąż stoją po stronie Šimečki i jego odwołanie uznają za zamach na demokratyczne obyczaje.

„Panie Fico, pan może odwołać wiceprzewodniczącego parlamentu, ale nie może pan odwołać lidera opozycji. Teraz będę miał dziennie kilka godzin więcej na to, aby pokazywać wyborcom, w jakim kierunku ciągnie pan nasz kraj" – powiedział po odwołaniu Michal Šimečka. ©

Zapraszamy na spotkanie Klubu „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

WARSZAWA,
sobota 5 października godz. 12.00
Domek Fiński PM, Jazdów 3/12,
w ramach Kawiarenki Klubów „TP”
spotkanie „Rozmowa o filmach”
z udziałem Anity Piotrowskiej,
recenzentki „Tygodnika Powszechnego”

ZESKANUJ I SPRAWDŹ
więcej informacji na
KlubTygodnika.pl/wydarzenia

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach pod sygn. I Ns 30/24 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Rajnardzie Kunze, synu Ryszarda i Elżbiety, zmarłym w dniu 16 czerwca 2020 r. w Gliwicach, ostatnio stale zamieszkałym w Gliwicach. W skład spadku wchodzi udział w prawie własności nieruchomości zabudowanej domem mieszkalnym położonej w Gliwicach przy ulicy Lublinieckiej 3.

Wzywa się spadkobierców, by w ciągu 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży I Wydziałem Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 709/23 z wniosku Rafała Zysk, Marty Zysk o stwierdzenie nabycia własności przez zasiedzenie działki gruntu nr 793 o powierzchni 1,53 ha położonej we wsi Drozdowo, gm. Piątnica, pow. łomżyński, woj. podlaskie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Łomży, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.

zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co”– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

HISTORIA

PROMIENIOWANIE ZAJĘŁO STEP

U wielu mieszkańców Kazachstanu samo słowo „atom” wywołuje ciarki przerażenia. Mają powody: do dziś cierpią z powodu dziedzictwa, jakie zostawił im Związek Sowiecki. Oto opowieść z dawnego poligonu jądrowego.

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA
Z SEMIPAŁATYŃSKA I KURCZATOWA (KAZACHSTAN)

Kakym Karabajew powtarza, że jest zmęczony. Choć ma już 75 lat, a od pięciu jest na emeryturze, życie nigdy nie dało mu odpocząć.

Od prawie trzydziestu lat Karabajew opiekuje się chorą żoną. Jej mózg stopniowo zamierał, aż w końcu przestała cokolwiek rozumieć ze świata. On ją karmi, kąpie, przebiera. Choć może to i lepiej, że żona nic nie rozumie.

Dokładnie pięćdziesiąt pięć dni temu Kakym Karabajew pochował bowiem ich syna. Miał 42 lata. To już czwarty syn pary, który przedwcześnie pożegnał się z życiem.

– To wszystko wina radiacji – powtarza Karabajew raz po raz. Co jakiś czas do oczu napływają mu łzy. – To wszystko atom. Atom i Związek Sowiecki – mówi.

Takich jak on nazywa się dziś „atomowymi żołnierzami".

Referendum nad atomem

Na początku października w Kazachstanie odbędzie się referendum. Władze postanowiły zorganizować je, aby zapytać obywateli o stosunek do planowanej budowy nowej elektrowni jądrowej.

Choć jego wynik jest już raczej przesądzony. Władze od miesięcy przekonywały, że atom to przyszłość, i że jego przeciwnicy to niepatriotyczni wrogowie postępu, słowem – niewykształcone prymitywy. A ci, którzy na własną rękę organizowali sondaże lub pytali swoich obserwatorów w mediach społecznościowych, jak zamierzają w referendum głosować, karano grzywnami.

Bo tylko państwo może przeprowadzać takie badania. A wedle danych prorządowego Kazachskiego Instytutu Badań Strategicznych trochę ponad 53 proc. społeczeństwa wspiera ideę budowy elektrowni atomowej, natomiast ponad 32,5 proc. respondentów jest jej przeciwnych. Odsetek wątpiących to i tak sporo, jak na miesiące projądrowej propagandy.

I choć w teorii wiele argumentów w istocie przemawia na korzyść atomu, który miałby powoli zastąpić nierentowną i nieekologiczną energię pozyskiwaną dotąd głównie z węgla, to u wielu Kazachów samo słowo „atom" wywołuje ciarki przerażenia. Szczególnie, że wedle najbardziej prawdopodobnych prognoz to Rosja – a nie konkurujące z nią Francja, Chiny czy Korea Południowa – zostanie wykonawcą wielomiliardowej inwestycji.

Kazachstan i Ukraina: w lustrzanym odbiciu

Tymczasem to właśnie Rosji, spadkobierczyni Związku Sowieckiego, nie ufa coraz więcej Kazachów. Szczególnie po tym, jak ta napadła na Ukrainę – kraj, w którym wielu w Kazachstanie widzi swoje lustrzane odbicie. Albo odbicie możliwej przyszłości.

Bo Ukraina, podobnie jak Kazachstan, najbardziej ucierpiała podczas przymusowej bolszewickiej kolektywizacji, która przyniosła masową śmierć głodową, potem zaś czystki stalinowskie pozbawiły ją całej inteligencji.

Bo spora część populacji Ukrainy, mieszkająca przy granicy z Rosją, mówi po rosyjsku, i to rzekoma ochrona tej ludności została cynicznie wykorzystana przez Kreml do uzasadnienia rosyjskiej inwazji. Tymczasem północ Kazachstanu, przy granicy z Rosją, jest również zamieszkana przez rosyjskojęzycznych Europejczyków – potomków narodów zesłanych do Azji Centralnej przez Stalina, którzy dziś często wykazują prorosyjskie sentymenty.

Choć region ten jest integralną częścią niepodległego od 1991 r. Kazachstanu, to rosyjscy politycy i eksperci coraz częściej kwestionują ten stan rzeczy. W sierpniu 2022 r. zasugerował to nawet były prezydent Dmitrij Miedwiediew w poście opublikowanym na rosyjskiej platformie VKontakte.

Wprawdzie potem Miedwiediew oskarżył o jego autorstwo niezidentyfikowanych hakerów, jednak Kazachowie zdążyli przyjąć jego przekaz do wiadomości. Szczególnie, że było już wiadomo, iż memorandum budapesztańskie, które miało zapewnić Ukrainie integralność terytorialną po tym, jak w 1994 r. zrzekła się broni nuklearnej, ↦

Wjazd do Kurczatowa, w czasach sowieckich tajnego miasteczka wojskowego. 17 września 2024 r.

↦ to dla Rosji nic więcej niż świstek papieru. Ten sam dokument daje w teorii gwarancje także Białorusi i Kazachstanowi, które również zgodziły się zrezygnować z broni nuklearnej – w imię pokoju.

Tajny poligon w symbolicznym miejscu

Tym, co łączy Kazachstan i Ukrainę, jest również dziedzictwo sowieckiego programu atomowego. W Ukrainie jego symbolem jest wybuch elektrowni atomowej w Czarnobylu w 1986 r., który do dziś pozostaje największym i najdroższym wypadkiem jądrowych w dziejach.

Ale nawet on nie może się równać z konsekwencjami sowieckiego programu atomowego we wschodnim Kazachstanie – na ściśle tajnym poligonie Semipałatyńsk-21. Dziś Semipałatyńsk, którego nazwę kazachskie władze zmieniły na Semej, jest symbolem śmierci, zniszczenia i kolonialnego eksperymentu (ponieważ mowa tu będzie o historii tego miejsca, używać będziemy nazwy historycznej).

To właśnie tutaj przez przeszło dwadzieścia lat służył i mieszkał Kakym Karabajew wraz ze swoją rodziną. I to tutaj, pomiędzy rokiem 1949 a 1989 (gdy poligon oficjalnie zamknięto), wykonano ponad 450 testów nuklearnych. Ich łączna siła była równoważna z siłą tysiąca takich bomb, jaką Stany Zjednoczone zrzuciły na Hiroszimę w 1945 r.

Stało się to w miejscu, o którym u zarania sowieckiego programu nuklearnego mówiono, że jest pustą przestrzenią. Niezamieszkałym terenem gdzieś pośrodku stepu. To jednak było dalekie od prawdy.

– Region Semipałatyńska ma ogromne znaczenie historyczne jako stolica Ałasz Ordy, czyli niezależnego kazachskiego państwa, które istniało w latach 1917-1920, w czasie rewolucji w rosyjskim imperium. To miejsce symboliczne dla kolejnych pokoleń kazachskiej inteligencji, która walczyła o niepodległość. To miejsce, gdzie mieszkał nasz wieszcz narodowy Abaj – mówi mi Aliszer Hassengalijew, 21-letni aktywista „STOP".

To kazachska inicjatywa młodzieżowa, która walczy o sprawiedliwość dla ofiar sowieckiego programu atomowego.

Nikt nie zadawał pytań

– Poza tym jest to miejsce pośrodku świętego stepu – dodaje Aliszer Hassengalijew. – To tam się rodzimy, tam umieramy, tam narodziła się nasza cywilizacja i w ogóle

Pomnik Igora Kurczatowa, ojca sowieckiego programu nuklearnego, w mieście nazwanym jego imieniem.

Przestrzeń w Kurczatowie na każdym kroku przypomina o jego atomowej przeszłości.

Kurczatow w niczym nie przypomina już rozwiniętego miasteczka, którym był dawniej. 17 września 2024 r.

cywilizacja koczowników. To sprawia, że całe to doświadczenie jest jeszcze bardziej traumatyczne, bo te straszne eksperymenty przeprowadzono w świętym dla Kazachów miejscu. Ono nie było puste.

To nie przeszkodziło Sowietom testować broni masowego rażenia w odległości 120 km od sporego ośrodka miejskiego.

Do 1963 r. próby jądrowe wykonywano na powierzchni ziemi. Potem, na mocy porozumienia między Moskwą a Waszyngtonem, testy przeniesiono pod ziemię.

Promieniowanie jednak nie znikło. Jego fale zajęły step, rzeki i pola uprawne. Przez wiatr i pył spenetrowało zakamarki okolicznych domów, a przez wodę i żywność wniknęło w ludzkie organy.

Na początku nikt nie wiedział, jakie będą tego konsekwencje. Zresztą ludzie nawet nie wiedzieli, że w ich okolicy wojskowi detonują atomowe bomby. Co jakiś czas informowano jedynie ludność, aby o danej porze mieszańcy wyszli na zewnątrz i okryli się płachtami lub zeszli do schronów, otworzyli okna i pod żadnym pozorem nie patrzyli w niebo. Szkoły w tym czasie ewakuowano. Czasem czuć było wstrząsy podobne do trzęsienia ziemi.

Jednak nikt nie zadawał pytań. W Związku Sowieckim im mniej się wiedziało, tym lepiej się spało.

Dobre życie w Kurczatowie

– Jako żołnierze nie mieliśmy specjalnej odzieży ochronnej. Tylko maskę gazową z filtrem, nic poza tym. Dowódcy mieli dozymetry [przyrządy do badania promieniowania – red.], ale zwykli żołnierze ich nie mieli – mówi mi 66-letni Kairbek Kusainow. Niegdyś służył tu na poligonie. Dziś udziela się w ruchu Semipałatyńsk-21, który zrzesza ofiary sowieckich eksperymentów jądrowych.

– W czasie takiego eksperymentu po prostu stoisz i obserwujesz – wspomina Kusainow. – Potem jakby znikąd pojawia się góra. To przerażający widok. Jeśli wiatr wieje w twoją stronę, to musisz uciekać. Widzisz pył, kolumnę dymu i chmurę w kształcie grzyba w brunatnych odcieniach.

Kairbek Kusainow urodził się koło Semipałatyńska, a na poligon trafił w 1975 r., gdy skończył 18 lat. Oboje jego rodzice umarli w młodym wieku na raka.

Kakym Karabajew. Ałmaty, Kazachstan, 30 sierpnia 2024 r.

W tym czasie Karabajew pracował w wojsku jako kierowca. Do Kurczatowa przeniósł się w 1970 r. Było to wojskowe tajne miasteczko nieopodal poligonu, nazwane tak na cześć Igora Kurczatowa, ojca chrzestnego sowieckiej bomby jądrowej. Dla cywili wstęp był tam wzbroniony.

Karabajew wiedział, że to nie jest zwykły poligon. Produkty do lokalnych sklepów przyjeżdżały specjalnie z Moskwy, a mieszkańcom niczego nie brakowało. Ryby, mięso, ubrania – żołnierze i ich rodziny nie musieli się przejmować brakiem towarów na półkach. Ich zarobki też były dobre, zdecydowanie wyższe niż w innych miejscach w państwie sowieckim. Byli elitą, a ich miasteczko pośrodku stepu, w całości zbudowane przez wojskowych, zapewniało dobre życie dla ich rodzin. A przynajmniej tak się zdawało.

Marat się nie obudził

Potem jednak mieszkańcy Kurczatowa i okolic zaczęli chorować. Umierać przedwcześnie na raka, na choroby krwi, a czasem z nieznanych przyczyn.

Coraz częściej rodziły się też dzieci z wadami genetycznymi i deformacjami, które nadawały im nieludzkie wręcz kształty. Dzieci bez kończyn. Dzieci cyklopy z jednym okiem. Dzieci ze zniekształconym szkieletem.

Władze sowieckie otworzyły instytut medyczny, by przyjrzeć się problemowi. Ale bynajmniej nie w celach klinicznych, żeby pomagać pokrzywdzonym, lecz po to, by badać skutki radiacji. Żołnierze, przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów, nie zadawali pytań. Wykonywali powierzone im zadania w spokoju i sumiennie, zakładali rodziny i pracowali na chwałę Związku Sowieckiego i jego sukcesu w wyścigu zbrojeń czasu zimnej wojny.

Także Kakym Karabajew niczym się nie wyróżniał. Ożenił się, a wkrótce na świecie pojawiły się dzieci. Najstarszy, Marat, urodził się w 1974 r. Był radosnym i energicznym dzieckiem. Nic nie wskazywało, że ma problemy ze zdrowiem.

Miał dziewięć lat, gdy po popołudniowej zabawie z kolegami na podwórku wrócił do domu, zasnął i już się nie obudził. Cztery lata później, w 1987 r., to samo spotkało jego młodszego brata. Tego dnia był jednym z czterech chłopców, którzy w ich okolicy zasnęli na zawsze. Wtedy to żona Kakyma zaczęła tracić zmysły.

W 1994 r., już po rozpadzie Związku Sowieckiego i zamknięciu poligonu, żona Kakyma zdążyła urodzić jeszcze jednego syna, a rok później całkiem straciła kontakt z rzeczywistością.

Akta zostały zabrane

Od tamtej pory Kakym nie tylko musiał pracować, ale i dbać o czworo pozostałych dzieci – trzech chłopców i dziewczynkę – oraz o żonę. Jej mózg, jak powiedzieli lekarze, utracił 70 proc. swoich funkcji. Nie byli jednak pewni co do przyczyny.

Kazachstan był już wtedy niepodległy, pod rządami prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. Ten heroicznie pozbył się broni atomowej w imię pokoju, a pod wpływem antynuklearnych protestów ruchu Newada-Semipałatyńsk zamknął poligon i wprowadził też ustawę pomocową dla ofiar promieniowania.

Obszar kraju podzielono na strefy o różnym poziomie radiacji. Osoby, które mogły udokumentować swój pobyt w strefach najbardziej narażonych, mogły ubiegać się o specjalną rentę w wysokości średniego wynagrodzenia, darmową opiekę medyczną, dodatek pieniężny od pracodawcy oraz od 10 do 15 dni dodatkowego urlopu rocznie.

Projekt był dobrze przyjęty i przynajmniej częściowo zadośćuczynił ofiarom kolonialnego eksperymentu (choć w latach dwutysięcznych benefity znacznie ograniczono).

Sęk w tym, że byli żołnierze długo nie mogli dowieść, że spędzili całe lata w samym centrum programu atomowego. Ich miasteczko wszak było tajne, a oni pracowali na rzecz kraju, który już nie istniał. Potwierdzenie swojej służby mogli co prawda dostać od Rosji, ale ta nie była skłonna wydawać takich zaświadczeń. ↦

W końcu wszystko związane z bronią nuklearną pozostało tajne nawet po rozpadzie Sowietów.

– Cała dokumentacja została zabrana i nie możemy niczego dowieść. Władze mówią, byśmy pisali do Rosji, ale zawsze dostajemy odpowiedź odmowną: tajemnica państwowa, nic nie możemy wam dać – mówi Kairbek Kusainow, także „atomowy żołnierz". – Nas, którzy służyli w Kurczatowie, jest coraz mniej. Tymczasem nasze wnuki i prawnuki rodzą się chore.

Mój syn był piękny

Droga do Kurczatowa wiedzie przez skąpany w słońcu potężny step. Co jakiś czas pusty krajobraz wypełniają zastępy dzikich koni.

Miasteczko już dawno nie przypomina o dawnej świetności. Opustoszałe, zawalone budynki przywodzą na myśl krajobrazy z amerykańskich horrorów. Zardzewiałe figury i pomniki przypominające o związkach Kurczatowa z atomem wywołują dreszcze. W wyludnionym miasteczku nie ma wielu sklepów, lokali gastronomicznych czy miejsc, gdzie można by spędzić czas. Zresztą trudno sobie wyobrazić, że ktoś chciałby tu mieszkać.

Mimo tragedii, Kakym chciał nadal żyć. Chciał, by klątwa poligonu znikła, a życie wreszcie nabrało kolorów. Przeniósł się więc stąd do Tekeli, miasta w południowo-wschodnim Kazachstanie, o ponad tysiąc kilometrów od Semipałatyńska.

Kairbek Kusainow. Astana, Kazachstan, 12 września 2024 r.

Ale i tam nie zaznał szczęścia. W 2014 r. zmarł jego trzeci syn. Absolwent technikum, dożył dwudziestu lat. Podobnie jak bracia, zasnął i już się nie obudził. A dziesięć lat później, latem 2024 r. – kolejny syn, Serik.

Był on oczkiem w głowie ojca. Z powodu niedokrwienia kończyn najpierw amputowano mu nogi. Aby ratować syna i opłacić mu kosztowne leczenie, Kakym sprzedał auto, a potem dom. Nie udało się. W chwili śmierci Serik miał 42 lata. Osierocił trójkę dzieci.

– Mój syn był piękny, ciągle ze sobą rozmawialiśmy. Utrata dziecka to niewyobrażalna tragedia, której nie życzę nikomu. Rozwala cię od środka – mówi Kakym. – Wyglądam w porządku, jestem zdrowy, ale wewnątrz jestem wypełniony bólem. Wszystko boli.

I tak zrobią, co chcą

Kakyma Karabajewa boli też i to, że on oraz inni „atomowi żołnierze", ofiary sowieckich ambicji atomowych, nie mogą liczyć dziś na pomoc państwa. Choć zdołał udowodnić, że służył na tajnym poligonie, to pomoc, którą otrzymuje, jest symboliczna.

Gdy pytam go o referendum, nie chce wchodzić w szczegóły. Przecież władze i tak zrobią, co chcą.

Aliszer Hassengalijew z młodzieżowej organizacji „STOP" zagłosuje przeciw budowie elektrowni jądrowej. Choć zaznacza, że to nie jest oficjalne stanowisko jego organizacji, lecz jego prywatne zdanie. Aliszer uważa, że korupcja kazachskich władz, w połączeniu z rosyjskim neoimperialnym myśleniem, nie wróży dobrze. Że jeszcze bardziej uzależni jego kraj od Rosji. Poza tym, dowodzi Aliszer, energia nuklearna wcale nie jest ekologiczna – w końcu coś trzeba będzie zrobić z odpadami promieniotwórczymi. Dlatego woli, aby Kazachstan postawił na zieloną energię, słoneczną czy wiatrową.

Natomiast Kairbek Kusainow, drugi „atomowy żołnierz", jest zwolennikiem energii nuklearnej. Uważa, że pozwoli ona Kazachstanowi rozwijać się i produkować tańszą i czystszą energię. Stara się tłumaczyć to swoim kolegom zrzeszonym w ruchu Semipałatyńsk-21. Ale, jak mówi, nie wszyscy chcą mu wierzyć.

Choć ich zdania są więc podzielone, jedno jest pewne: decyzja o przyszłości energii atomowej w Kazachstanie – tak jak to było wcześniej – zostanie podjęta ponad ich głowami.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Poczuj żar ich pasji – rozmowy, które płoną

TYGODNIK POWSZECHNY
WP WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje nam się

MAGDALENA KIEROŃ / SLOW PAINTING STUDIO

W **Future Materials Lab** znajdziemy m.in. farby z czerwonej kapusty, opracowane przez polskie artystki – **Olę Ignasiak** i **Karolinę Gębkę** ze **Slow Painting Studio**. Nadają się one do malowania na papierze i płótnie.

SZKLANE WIEŻOWCE CZY DOMY Z GRZYBNI?

W przestrzeni internetu coraz liczniej zaczynają pojawiać się banki innowacyjnych materiałów, mogących pomóc w spowolnieniu kryzysu klimatycznego i rozwijaniu zrównoważonej gospodarki.

Na pierwszy rzut oka witryny te przypominają klasyczne sklepy online. Gdy jednak bliżej przyjrzymy się ich ofercie, dostrzeżemy różnicę – prezentowane produkty są tak wyjątkowe, że dopiero uważna lektura ich opisu pozwala zrozumieć, jak powstały i jakie mają zastosowania. Farby gliniane, płytki z odpadów ceramicznych, panele z celulozy, naczynia z alg, ubrania z kolagenu. Można odkryć całą gamę materiałów stworzonych z myślą o branżach: budowlanej, wyposażenia wnętrz, modowej. To sektory gospodarki, które szczególnie wpływają na zmiany klimatu.

Aby coś stało się produktem, musi najpierw zostać wymyślone i wyprodukowane. Nic więc dziwnego, że projektowanie i inżynieria materiałowa są uznawane za dziedziny strategicznie kluczowe dla przyszłości naszej planety. Wyposażenie ich w innowacyjne, prośrodowiskowe rozwiązania może znacząco przyczynić się do walki z kryzysem klimatycznym. Powstawanie banków materiałów, które prezentują nowości, to dowód kreatywnego potencjału naukowców, projektantów i artystów.

Jednym z największych europejskich banków materiałów przyszłości jest Future Materials Lab. To kolekcja ekologicznych, nietoksycznych materiałów, powstających w oparciu o różnorodne praktyki twórcze, czerpiące zarówno z nowych technologii, jak i tradycyjnego rzemiosła. Gromadząc informacje i próbki od twórców z całego świata, archiwum chce inspirować badania i rozpowszechniać wiedzę na temat zrównoważonego rozwoju oraz społecznej i środowiskowej odpowiedzialności za globalny obieg materiałów. Obecnie kolekcja obejmuje 431 projektów i stale się powiększa.

WODOROSTY, GLONY I GLINA

Niektóre z propozycji Future Materials Lab opierają się na materiałach, które są już powszechnie wykorzystywane przez projektantów. Należy do nich glina – niegdyś wyparta przez beton i cement, teraz przeżywa swoiste odrodzenie. Można ją barwić z użyciem szlamu metalowego (jak robi **Kirstie van Noort**), łączyć z grzybnią i tworzyć filament do druku 3D (co zaproponował **Lorenzo Silvestri**), budować z niej małą architekturę (fontanna z deszczówki ↦

MATERIAŁ PROMOCYJNY

↦ **Urban Reef**), a także wykorzystywać do działań artystycznych (np. płaskorzeźby Mærk Jorden autorstwa **Iben Ramvad**, altany inspirowane gniazdami ptaków garncarzy z **Estúdio Mameluca**).

Projektanci coraz śmielej sięgają także po glony i wodorosty, które kilka lat temu zrewolucjonizowały nasze kuchnie. **Studio Tång** tworzy z nich eksperymentalne materiały budowlane – arkusze i nadmuchiwane struktury z bioplastiku, panele z morskiego betonu, gonty z wodorostów. Z myślą o wspinaczkach wysokogórskich i sportach ekstremalnych, **Randa Kherba** hoduje z sinic biomateriał, który może być alternatywą dla tworzyw takich jak poliuretan czy gore-tex. Stworzony z niego sprzęt outdoorowy można po wykorzystaniu porzucać na szlaku bez szkody dla środowiska. Glony z powodzeniem mogą także zastąpić plastikowe opakowania.

Materiały wyprodukowane przez **Austėję Platūkytė** i **Margaritę Talep** doskonale zachowują swój kształt, są wodoodporne i chronią zawartość przed możliwymi uszkodzeniami. Po spożyciu produktu jego opakowanie można skompostować. Popularnym składnikiem innowacyjnych materiałów są również grzyby i grzybnia. **Mogu** produkuje z nich miękkie, piankowe materiały wygłuszające, **Nina Flaitz** wykorzystuje do sitodruku, a **Corpuscoli** i **OurOwnsKIN** projektuje obuwie dla przyszłych kolonizatorów Marsa. **Jesse Adler** stworzyła serię grzybowych pomadek do ust.

MEBLE Z POKRZYWY I KUBKI Z WEŁNY

Celuloza i lignina to roślinne materiały o ogromnym potencjale. Można z nich produkować bioplastik, chętnie wykorzystywany przez projektantów wyposażenia wnętrz. **Basse Stittgen** wybrała świerki. Stworzony przez nią materiał nadaje się do konstruowania stołów, krzeseł, półek, lamp. **Austėja Platūkytė** do swoich siedzisk wykorzystuje celulozę z recyklingu i łączy ją z metalowym drutem. Jej eksperymentalne meble są wodoodporne i trwałe, a jednocześnie biodegradowalne. **Studio RYTE** opracowało gotowy produkt. Taboret Triplex został wykonany z biodegradowalnego włókna lnianego – jednego z najmocniejszych naturalnych materiałów celulozowych. Składa się z trzech łatwych w montażu modułów, jest lekki i trwały.

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

Materiałom przyszłości poświęcona będzie tegoroczna edycja **Festiwalu Przemiany** organizowanego przez Centrum Nauki Kopernik od **11** do **13 października**.

Więcej informacji:
www.festiwalprzemiany.pl

Scoby, czyli grzybek herbaciany, z którego robi się kombuchę, sprawdza się także w przemyśle meblarskim. **Francesca Zeccara** wykorzystuje go do tworzenia miękkich siedzisk. **Licia Desideri** postawiła na muszle, będące odpadami przemysłu owoców morza. Szacuje się, że co roku na wysypiska lub do morza wyrzucanych jest ponad 7 milionów ton skorup mięczaków. Projektantka postanowiła wykorzystać wszystkie części – zarówno twardą muszlę, jak i bisior, czyli lepkie włókna pozwalające małżom przyklejać się do powierzchni. Stworzyła farby i płytki ścienne oraz siedziska.

Yaré to winorośle oplatające drzewa puszczy amazońskiej, wykorzystywane do rękodzielnictwa. Zainspirowany przez lokalne społeczności **Francisco Jaramillo** zaprojektował całą serię mebli z tego materiału – modułowe stoły, małe i duże siedziska, półki. Wyglądem przypominają one nasze rodzime wyroby wikliniarskie.

Bazą produktów **Studio laVina** są pokrzywy. Wysuszone łodygi roślin zawierają tylko około 10 proc. włókna, a reszta to tzw. „strzecha", której wcześniej nie używali rzemieślnicy. Zainteresowała ona projektantów. Po zmieszaniu z liśćmi pokrzywy i biożywicy stworzyli materiał do produkcji stołów i krzeseł. Z włókna chwastów z dodatkiem skrobi, mąki i wody tworzone są naczynia, a z przędzy – dywany. **Eline ten Busschen** postanowiła w nietypowy sposób zagospodarować wełnę, której nadwyżka (około 2 milionów kilogramów) co roku jest wyrzucana w Holandii. Projektantka tworzy z niej kubki. Druk 3D i filament PLA (oparty na poliaktydzie) umożliwiają jej wykorzystanie włókien o różnej długości.

Posidonia to roślina morska, występująca w Morzu Śródziemnym i wokół południowego wybrzeża Australii. Gdy kłącze rośliny traci włókna, woda tworzy z nich kule, które docierają na brzeg. **Studiograma** łączy je w spójny materiał, tworząc wycieraczki, dywany, elementy dekoracyjne.

BUTY Z GLONÓW I MARYNARKA Z CYTRYNY

W ramach badań nad wykorzystaniem odpadów żywnościowych **Studio HOLE** opracowało nefilium – biomateriał na bazie rambutanu, egzotycznego owocu azjatyckiego. To skóra owocowa, cechująca się elastycznością, odpornością i szorstką, ale ciekawą fakturą. Powstają z niej portfele i torebki. **Akash Kumar** postawił przed sobą bardzo ambitne wyzwanie – pracuje nad skórą z trawy i grzybni. Dobrym surowcem skóropodobnym okazują się także wodorosty. **Jing-cai Liu** moczy je w glicerynie i uzyskuje miękki, mocny, gładki materiał, z którego szyje buty i torebki.

Orange Fiber to pierwsza i jedyna na świecie marka, która produkuje opatentowany materiał z produktów ubocznych soku cytrusowego. Uszyte z niego tekstylia są miękkie i jedwabiste w dotyku, lekkie, nieprzezroczyste lub błyszczące. Malai od **Malai Biomaterials Design** to tkanina biokompozytowa na bazie celulozy bakteryjnej hodowanej na wodzie z dojrzałych kokosów, będącej odpadowym produktem rolniczym. Celuloza bakteryjna jest popularnym biopolimerem produkowanym przez niepatogenne bakterie. Jej włókna są tysiąc razy cieńsze niż włókna celulozy roślinnej. Dodatkiem w malai są włókna z łodyg bananowca, konopi i sizalu.

Jess Redgrave skupił się na słonecznikach. Opracował tekstylia naturalnie barwione, nieprzemakalne. **Chiel Lubbers** wykorzystał seler i boćwinę. Tekstylia uzyskuje poprzez rozcinanie, gotowanie, mieszanie, układanie włókien i suszenie. Projektanci z **Mimotype Technologies** i **WINT Design Lab** stworzyli nowy biopolimer z kolagenu. Szyją z niego przeźroczystą odzież outdoorową. **Xue Chen** połączyła swoje zamiłowanie do mody z potrzebą pozbycia się roślin inwazyjnych z Londynu. Zaczęła nie tylko tworzyć

MATERIAŁ PROMOCYJNY

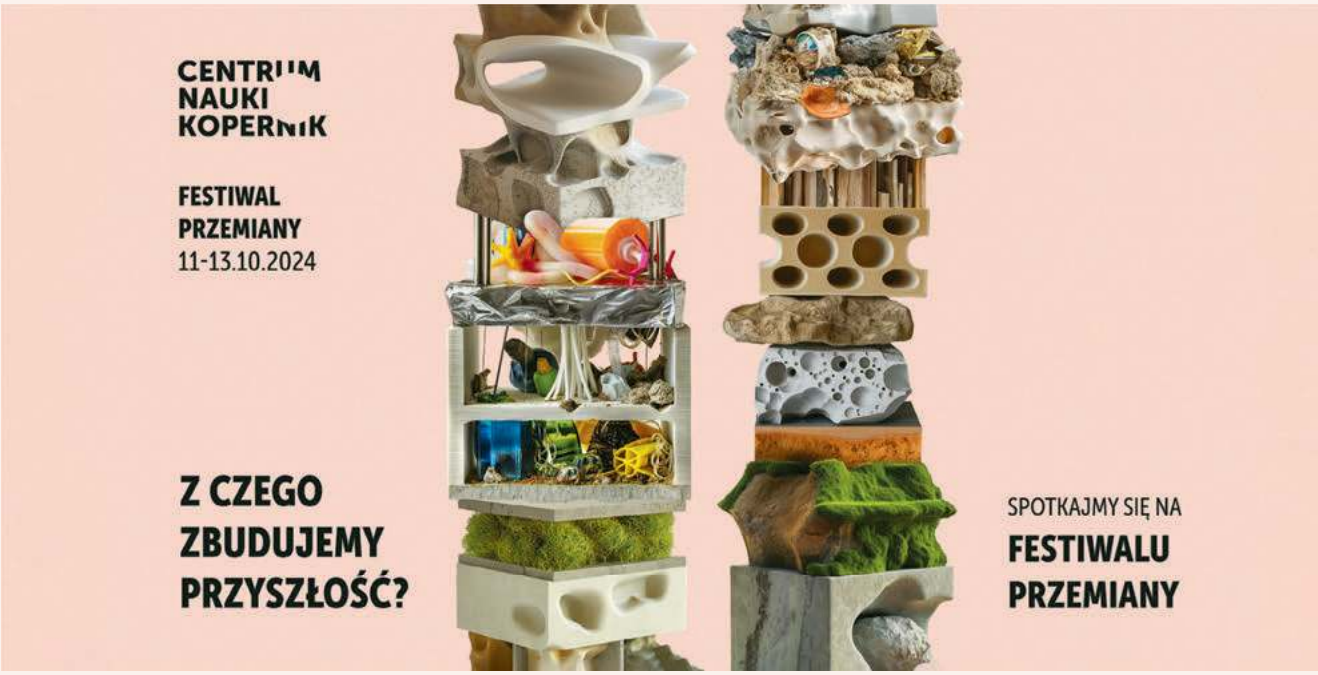

z nich materiały, ale także opracowała specjalnie maszyny do ich obróbki. Sama zaprojektowała efektowne „bioinwazyjne futra".

Buro Belén udoskonalił technikę tworzenia tapa – tkaniny z włókien morwy, tradycyjnie wytwarzanej na wyspach Pacyfiku. Lokalne rozwiązania zainspirowały także **Lee Sun**, która sięgnęła po koreańską tkaninę Hansan Mosi (z pokrzywy) i papier Hanji (z kory morwy papierowej). **Katarzyna Suzuki** przywróciła z historii japońską, papierową koszulę Kamiko. Materiał zrobiła z pokrzywy, kory wierzby i włókna mitsumata. Wytworzyła także papierowe buty.

Antonia Ablass szyje ubrania, które rosną. Mikrorośliny (rzeżucha, rzodkiewka, kiełki) nakładane są na odzież bawełnianą lub wełnianą i przez około 3 tygodnie ubranie może być także przekąską. Po tym czasie resztki roślin można usunąć szczotką. Antonia pracuje jeszcze nad systemem podlewania tej nietypowej odzieży. Na razie trzeba ją po prostu spryskiwać wodą.

Z MOCZU I ŁEZ

W Future Materials Lab jest grupa materiałów określanych *human materials*. Wśród nich znajdują się ludzkie włosy. Mają one wysoką wytrzymałość na rozciąganie, izolują termicznie, są elastyczne i lekkie, pochłaniają tłuszcz. Szacuje się, że w samej Europie powstają 72 miliony kg odpadów z ludzkich włosów. Często wcześniej były one farbowane i poddawane różnym zabiegom. Trafiają na wysypiska śmieci, powodując wydalanie toksycznych gazów do środowiska. Projektanci ze **Studio Savine** tkają z nich ręcznie na tradycyjnym krośnie ozdoby ścienne i przestrzenne oraz naszyjniki.

Adriana Pepe i **Pimprae Hiranprueck** poddali „ludzką wełnę" zebraną z salonów fryzjerskich filcowaniu i stworzyli z niej koce oraz poduszki ozdobne. **Human Material Loop** proponuje blond swetry, a **Alix Bizet** – czapki i kurtki. W połączeniu z innymi materiałami, włosy mają jeszcze większy potencjał. **Romy Kaiser** zmienia je w sztywny i błyszczący materiał, **Bela Rofe** łączy z glonami i tworzy tkaniny do różnych zastosowań (np. jako rolety), a **Oksana Bondar** zalaminowała włosy bioplastikiem i skonstruowała taboret toaletowy.

Merle Bergers sięgnęła po inny materiał ludzkiego pochodzenia – łzy. Artystka rozprowadza nawet zestawy do zbierania łez, które następnie można do niej wysyłać. Wypłakany materiał przekształca w klejnot o konsystencji szkliwa, który może stać się np. oczkiem pierścionka. Użyteczny w oczach projektantów jest także mocz. **Sinae Kim** zebrała 280 litrów ludzkiego moczu. Następnie poddała go destylacji i tym, co pozostało, pokryła naczynia z gliny, tworząc błyszczącą powłokę. Minerały w moczu (żelazo, wapń, sód, potas i magnez) mogą odgrywać tę samą rolę co szkliwo lub glina.

Arthur Guilleminot przekornie podszedł do pojęć „czysty" i „nieczysty". Stworzył Piss Soap, czyli mydło z moczu, zużytego oleju kuchennego i popiołu.

LOKALNIE I W RÓWNOWADZE

Przeglądanie zasobów banków ukazuje kreatywność projektantów materiałów przyszłości i podobny sposób podejścia do człowieka oraz jego miejsca w ekosystemie. Wszyscy stawiają na wykorzystanie odpadów i tworzyw z recyklingu, jednocześnie dbając o zrównoważony proces produkcji i lokalność zasobów, z których korzystają. Proponowane rozwiązania często są odpowiedzią na problemy konkretnej społeczności (np. walka z gatunkami inwazyjnymi czy wykorzystanie odpadów poprodukcyjnych) lub na wyzwania globalne, jak projekt **Chiary Tommencioni Pisapii**, która bada potencjał wykorzystania moli odzieżowych i ich enzymów trawiennych do rozkładania włókien tekstylnych.

Przytoczone przykłady to tylko kropla w morzu pomysłów. Inne innowacje będzie można zobaczyć podczas tegorocznego **Festiwalu Przemiany w Centrum Nauki Kopernik, 11-13 października.**

W programie wydarzenia znajduje się **nie tylko wystawa materiałów przyszłości,** ale także **spotkania z ich twórcami.**

NAUKA

SZTUCZNA INTELIGENCJA: CZAS NA DECYZJE

JOËLLE PINEAU, INFORMATYCZKA, WICEPREZESKA META AI:

Potrzebujemy globalnej klasyfikacji zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją i jednolitych sposobów ich mierzenia. Ale rozwiązania prawne musi wypracować całe społeczeństwo.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Po co właściwie Meta inwestuje miliardy w badania nad przetwarzaniem obrazu czy robotyką? To nie wydaje się mieć związku z zasadniczą działalnością firmy.

JOËLLE PINEAU: Mój zespół rzeczywiście często zajmuje się badaniami, które nie mają jeszcze jasnego biznesowego zastosowania. Ale założenie tego zespołu w 2013 r. było doskonałą inwestycją, tak jak świetną inwestycją pozostają badania nad fundamentami sztucznej inteligencji.

Początkowo nasze prace skupiały się nad algorytmami rekomendacyjnymi. W 2012 r. badacze dokonali dużych przełomów w zakresie przetwarzania obrazów, czyli uczenia maszyn rozumienia treści wizualnych. To miało bezpośrednie przełożenie na algorytmy rekomendujące treści czy reklamy. W kolejnej fazie skupiliśmy się jednak na problemie bezpieczeństwa i wiarygodności systemu. Każdego dnia na naszej platformie użytkownicy publikują, niestety, treści, które nie spełniają naszych standardów społeczności. Musimy takie treści usuwać – bardzo szybko i precyzyjnie. Dziś, zależnie od kategorii materiałów, ponad 95 proc. podobnych postów jest blokowanych automatycznie przez algorytmy sztucznej inteligencji. Znaczna część pracy naszego zespołu skupia się na tworzeniu podwalin pod te procesy.

Aktualnie mamy do czynienia z fazą trzecią, czyli generatywną sztuczną inteligencją. Widzimy prawdziwą eksplozję jej potencjału. Publikujemy nasze badania jako oprogramowanie o otwartym kodzie źródłowym i zazwyczaj w ciągu kilku miesięcy nasze algorytmy trafiają do gotowych produktów. Jeśli AI działa dobrze, zazwyczaj użytkownik w ogóle jej nie zauważa.

Prace nad robotyką są nieco bardziej odległe od bezpośrednich zastosowań, ale, przykładowo, mają znaczenie w algorytmach stosowanych przez inteligentne okulary, które muszą rozumieć otaczający użytkownika świat fizyczny.

Skoro jesteśmy przy fundamentach AI – czego dzisiaj ciągle jeszcze nie wiemy?

Bardzo wielu rzeczy. Wśród fundamentalnych kwestii są rozpoznawanie obrazów i komunikacja, ale ogromnym polem badań jest obecnie rozumowanie, czyli zdolność modeli do przyjmowania informacji i przetwarzania ich w taki sposób, by były w stanie planować i podejmować decyzje. To obecnie kluczowy

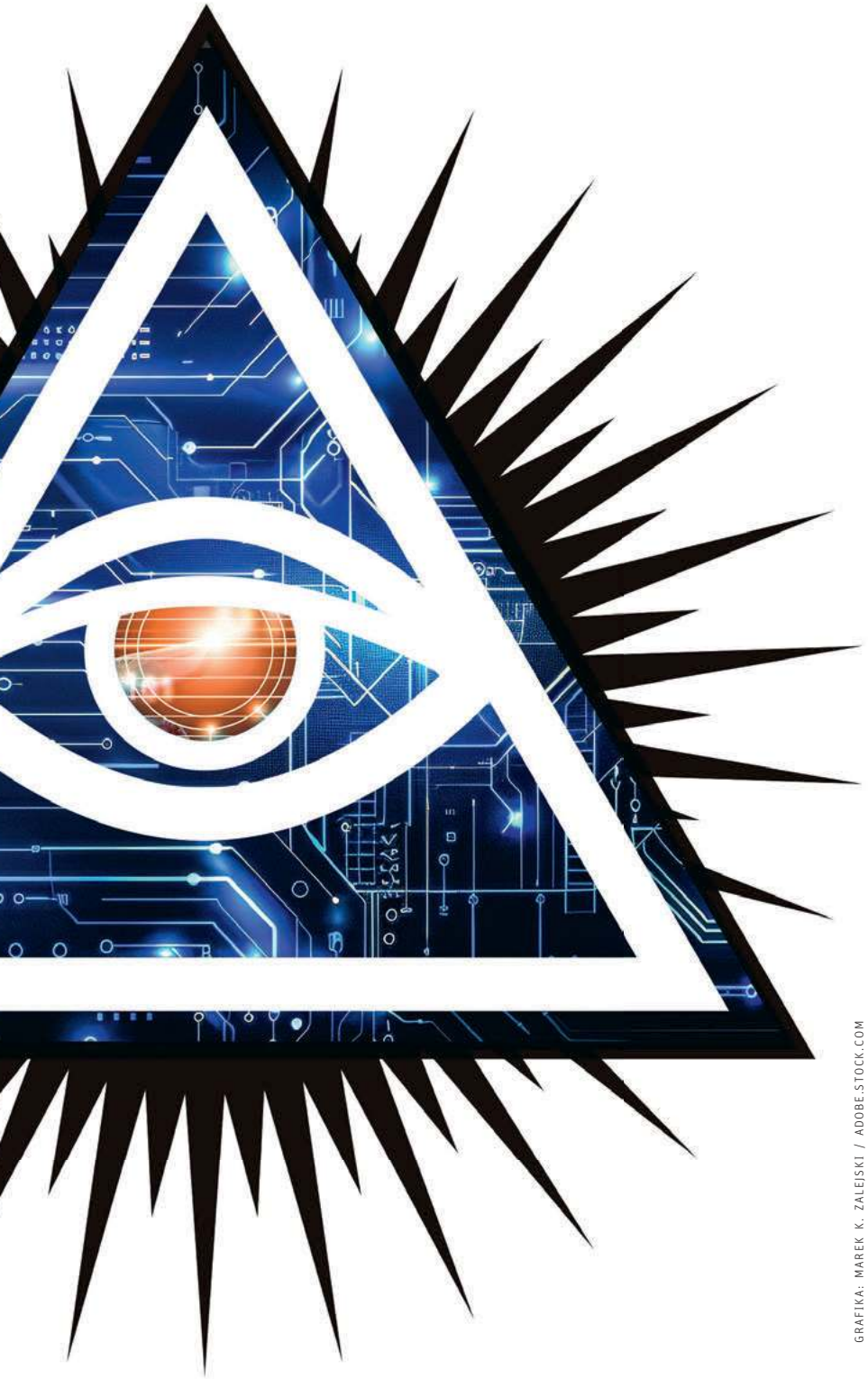

GRAFIKA: MAREK K. ZALEJSKI / ADOBE.STOCK.COM

obszar, choć badania nie są jeszcze tak zaawansowane, jak w innych dziedzinach.

Intensywnie pracujemy też nad tzw. dopasowaniem, czyli dostosowaniem AI do celów, wartości i oczekiwań społecznych. Obejmuje to kwestie takie jak prywatność czy bezstronność. Wciąż musimy wykonać wiele pracy, by upewnić się, że zachowanie naszego modelu jest zgodne z preferencjami użytkowników i wartościami społeczeństwa.

Czy AI nie została przereklamowana? Miała w końcu być prawdziwą rewolucją w niemal każdej dziedzinie naszego życia. W Polsce mieliśmy powódź – sztuczna inteligencja miała przecież pomagać w modelowaniu klimatycznym, prognozach pogody czy koordynacji działań w sytuacjach kryzysowych. Gdzie są te zastosowania?

Nie jestem specjalistką od wykorzystania AI w kwestiach klimatycznych, ale jeśli spojrzymy na zastosowania w prognozowaniu klimatycznym, ochronie zdrowia czy edukacji, wszędzie tam jesteśmy na podobnym poziomie rozwoju. Możemy wskazać bardzo konkretne przypadki, w których AI już dziś zmienia obraz gry, ale to zazwyczaj wąskie zastosowania tych technologii.

Jeśli chodzi o klimat, to w porównaniu z sytuacją sprzed 20 lat dysponujemy dziś o wiele lepszymi modelami. Czy to oznacza, że rozwiązaliśmy kryzys klimatyczny? Oczywiście, że nie. Musimy tworzyć modele pozwalające przewidywać zmiany klimatyczne i ich konsekwencje, ale także podejmować decyzje i wdrażać nowe polityki. Musimy zmieniać nawyki konsumpcyjne i procesy przemysłowe. Nie osiągnęliśmy jeszcze tej głębokiej transformacji, ale modelowanie klimatyczne jest drastycznie lepsze.

Podobną sytuację mamy w opiece zdrowotnej, gdzie dysponujemy już o wiele lepszymi modelami predykcyjnymi odpowiadającymi na bardzo precyzyjnie stawiane pytania. Jesteśmy na przykład w stanie modelować efekty pewnych substancji na poziomie cząsteczkowym. Czy oznacza to, że te modele przekładają się na leki, które już dziś ratują życie pacjentów? Tak, w pewnych dość wąskich przypadkach, ale jeszcze nie w szerokiej skali. Nie wyleczyliśmy jeszcze raka.

Przełomy nastąpiły, ale dzieje się to raczej w wąskich niż w szerokich zastosowaniach. Wynika to także z tego, że sztuczna inteligencja jest zaledwie jednym z elementów tej układanki. Teraz to społeczeństwo ma do odegrania ogromną rolę. Musimy zdecydować, w jaki sposób chcemy budować i stosować te technologie. Ta dyskusja dopiero się zaczyna.

Mowa o tym w otwartym liście do władz Unii Europejskiej, którego jest Pani jedną z sygnatariuszek. „Jeśli firmy i instytucje mają zainwestować dziesiątki miliardów euro w budowę generatywnej sztucznej inteligencji dla obywateli Europy, potrzebują ↦

↦ **jasnych i przewidywalnie egzekwowanych zasad pozwalających na wykorzystywanie europejskich danych" – piszecie. I zauważacie ryzyko, że „następna generacja otwartych modeli AI i produktów na nich budowanych nie będzie rozumieć ani stanowić odzwierciedlenia europejskiej wiedzy, kultury i języków".**

Musimy zapytać o to, w jakim stopniu Europejczycy chcą postawić na innowacje, a w jakim chcą spowolnić ich rozwój. Mamy jeszcze czas na podjęcie kluczowych ustaleń dotyczących sztucznej inteligencji, ale to decyzja, którą musi podjąć całe społeczeństwo.

Czego Pani zdaniem brakuje w unijnej polityce dotyczącej sztucznej inteligencji?

Uważam, że największe obawy budzi w tej chwili brak jasności, szczególnie w odniesieniu do wykorzystywania danych. Unia Europejska dokonała tu postępów, zarówno dzięki dyrektywie o sztucznej inteligencji, jak i RODO, ale nadal pozostaje wiele pytań bez odpowiedzi. To pytania o to, w jaki sposób te dyrektywy będą stosowane w konkretnych sytuacjach i jak wpłyną na naszą zdolność do wykorzystywania pewnych rodzajów danych. Tych pytań nadal jest wiele i bardzo pomogłoby nam wszystkim, gdybyśmy mieli większą jasność na temat przepisów, jakie miałyby nas obowiązywać.

Reguły nie biorą się znikąd. Mają chronić obywateli przed rzeczami takimi jak pornografia dziecięca, naruszenia prywatności, dezinformacja, przemoc wobec partnerów i tak dalej. Te wszystkie zjawiska mogą być wzmacniane przez sztuczną inteligencję. W jaki sposób temu zapobiec bez silnych regulacji? Jak możemy stworzyć takie zabezpieczenia bez zbędnego hamowania rozwoju technologii i biznesu?

No właśnie: jak?

Zdecydowanie zgadzam się, że musimy włożyć wiele pracy w minimalizowanie szkód, i zgadzam się, że potrzebujemy regulacji. Nie chcę, żeby ktokolwiek odniósł wrażenie, że jestem przeciwna silnym przepisom. Potrzebujemy dobrego prawa, ale potrzebujemy także przejrzystości, jeśli idzie o wiele powiązanych z tym problemem kwestii. Chciałabym, żebyśmy znaleźli się w miejscu, w którym będziemy mogli o wiele bardziej transparentnie mówić o tym, jak pracujemy nad redukcją negatywnych zjawisk, jakie techniki są pomocne dla osiągnięcia tego celu i co pozostaje jeszcze do zrobienia.

ALAIN JOCARD / AFP / EAST NEWS

JOËLLE PINEAU jest kanadyjską informatyczką, wiceprezeską Meta AI ds. badań fundamentalnych nad sztuczną inteligencją. Zajmuje się m.in. przygotowywaniem rozwiązań wykorzystywanych w należących do tego samego koncernu serwisach Facebook i Instagram. Specjalizuje się w badaniach nad maszynowym rozpoznawaniem obrazów (w tym diagnostycznych zdjęć medycznych) i maszynowym rozumieniu filmów. Redaktorka branżowych czasopism „Journal of Artificial Intelligence Research" i „Journal of Machine Learning Research". Członkini kanadyjskiego Royal Society i instytutu badawczego Mila Quebec.

W przeszłości byliśmy dość transparentni, jeśli idzie o nasze wysiłki na rzecz stosowania zasad funkcjonowania naszych społeczności. Tworzyliśmy na przykład raporty na temat tego, ile niebezpiecznych materiałów jest usuwanych z platformy, nie tylko globalnie, ale także z podziałem na kategorie. Moglibyśmy równie transparentnie potraktować część z naszych algorytmów. Trudno to precyzyjnie oszacować, ale podejrzewam, że ze względu na to, iż nasze modele sztucznej inteligencji, takie jak wielki model językowy Llama, są publikowane jako wolne oprogramowanie (*open source*), jesteśmy w czołówce prac nad ograniczeniem potencjalnych szkód. Mamy na przykład filtry wyłapujące materiały zawierające pornografię dziecięcą, które są stale udoskonalane i monitorowane. Ciągle szukamy sposobów na to, by były coraz doskonalsze, choć osiągnięcie stuprocentowej skuteczności jest bardzo trudne.

Wszystkie nasze platformy pracują nad minimalizacją szkód w takim samym tempie, w jakim pracujemy nad udoskonaleniami technologicznymi. Dlatego właśnie istotna jest dla mnie kwestia transparentności – zarówno w kontekście zachowania całego systemu, jak i samych metod, które mają zapewniać ludziom bezpieczeństwo.

Jakie zatem są najważniejsze obecnie etyczne problemy powiązane z badaniami i wdrażaniem sztucznej inteligencji? I jak można je rozwiązać?

Staramy się zarządzać ryzykiem. Mamy opracowaną klasyfikację potencjalnych zagrożeń i dla każdego z nich stworzyliśmy metody mierzenia tego, w jakim stopniu odnoszą się one do naszego systemu. Patrzymy więc na zagrożenia z punktu widzenia całego środowiska, w tym danych, i zachowania modelu. Następnie przyglądamy się temu, czy podejmujemy wystarczające działania, by te zagrożenia minimalizować. Typową metodą są na przykład filtry, które pomagają odsiewać problematyczną zawartość. Oceniamy następnie to, czy system działa skutecznie i czy produkt naszym zdaniem jest bezpieczny.

Sytuacja byłaby zdecydowanie lepsza, gdyby istniała wspólna, globalna klasyfikacja zagrożeń i wspólne sposoby ich mierzenia. Wtedy moglibyśmy przedstawiać nasze działania w sposób całkowicie otwarty i zrozumiały dla odbiorców. Obecnie jednak nie ma takiej ujednoliconej klasyfikacji ani ujednoliconych sposobów pomiaru zagrożeń. Wszyscy sądzą, że to ich podejście jest właściwe.

Czy otwarte badania nad sztuczną inteligencją są dziś martwe? Wygląda na to, że im więcej pieniędzy jest na stole, tym bardziej przedsiębiorstwa pracujące nad AI zamykają swoje drzwi. Przykładem jest tutaj OpenAI, które początkowo było bardzo

otwarte, jeśli idzie o prowadzone przez siebie badania, ale dziś dzieli się nimi jedynie w bardzo ograniczonym stopniu.

Otwarte badania na pewno nie są martwe. W lipcu opublikowaliśmy nasz najnowszy, otwarty model Llama 3.1, liczący 450 miliardów parametrów, który jest dziś jednym z najsilniejszych modeli językowych na świecie. Jest taki piękny wykres pokazujący zmianę osiągów modeli otwartych i zamkniętych, który wskazuje, że modele otwarte dościgają modele zamknięte, zwłaszcza w kwestiach stosowania i rozumienia naturalnego języka.

Trzeba jednak powiedzieć, że wiele firm – Google i wiele innych – nigdy nie prowadziło badań w sposób otwarty. Wspomniane OpenAI rzeczywiście istotnie zmieniło swoją politykę. Początkowo byli bardzo otwarci, ale dwa czy trzy lata temu przeszli na model zamknięty. Nie znam dokładnie powodów, dla których tak postąpili, choć podejrzewam, że to była strategiczna decyzja biznesowa. Sądzę jednak, że Meta jest dowodem, iż nadal jest miejsce na modele otwarte. I zgadza się z nami znaczna część społeczności start-upowej.

Na koniec chciałem zapytać o czynnik ludzki. Generatywna sztuczna inteligencja już zawsze będzie nam towarzyszyć i w ciągu najbliższych kilku lat faktycznie może zmienić sposoby, na jakie pracujemy czy się uczymy. Jak się na to przygotować? Jakie umiejętności będą potrzebne i co powinien w tej sytuacji zrobić nasz system edukacji?

To ogromnie szeroki temat. Ale gdybym miała odpowiedzieć na to pytanie krótko, mogłabym zrobić to tak: sama jestem matką czwórki nastolatków i sama zmagam się z pytaniem o to, jak przygotować ich na to, co ich czeka w świecie. Prawda jest taka, że najlepszym sposobem na przygotowanie się do nadchodzących zmian jest zapoznanie się z tymi narzędziami. Stosowanie ich w naszej codziennej pracy, ale w sposób bardzo świadomy.

Zwracanie uwagi na to, co one potrafią, ale i na to, jakie towarzyszą im zagrożenia. Mogę to porównać do korzystania z mediów społecznościowych. Kiedy zakładałam moim dzieciom konta na Instagramie, siadałam z nimi i przeglądaliśmy razem ustawienia prywatności. To kwestia zaledwie 20 minut, ale pomaga im zrozumieć, co dokładnie dzieje się, kiedy dzielą się ze światem jakimiś treściami. Niestety, robi to zdecydowanie zbyt mała część rodziców. Ale podobnie jak w tamtym przypadku, kluczem do efektywnego korzystania z generatywnej sztucznej inteligencji i unikania ewentualnych problemów wynikających z jej wykorzystywania jest poświęcenie czasu na próbę zrozumienia tej technologii i zaznajomienia się z nią. Tego nie da się zastąpić niczym innym.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

PREMIERA
WYDANIA SPECJALNEGO
SZTUCZNA INTELIGENCJA
▪ Jaka jest ▪ Jak działa ▪ Czym grozi ▪ Co daje ▪ Czy zbawia

Znajdź odpowiedź na najważniejsze pytania współczesności.
Wśród autorów i rozmówców praktycy i teoretycy:
Aleksandra Przegalińska, Aleksander Mądry, Jarek Gryz, Michał Kosiński,
filozofowie i pisarze: **Jacek Dukaj, Tomasz Stawiszyński,**
nagradzani dziennikarze: **Agata Kaźmierska, Wojciech Brzeziński, Łukasz Lamża.**

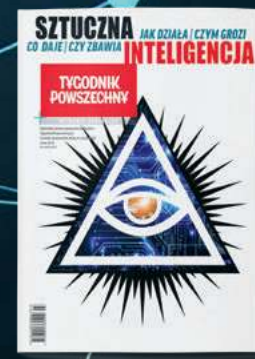

Szukaj w punktach z dobrą prasą

ŻADNEGO Z TEKSTÓW NIE WYTWORZYŁA AI / PISANE, ILUSTROWANE, REDAGOWANE I KOREKTOWANE PRZEZ CZŁOWIEKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JOKER, BIOGRAFIA

Im częściej Joker podpala świat, tym lepiej go rozumiemy. Nawet jeśli kochamy Batmana.

MICHAŁ WALKIEWICZ

„Hahahahaha!" – mawiał nasz klasyk, a teraz sam to zaśpiewa i wystuka obcasami. We wchodzącym właśnie do naszych kin musicalu „Joker: Folie à Deux" Książę Zbrodni z Gotham (powracający do oscarowej roli Joaquin Phoenix) oraz jego muza, Harley Quinn (Lady Gaga) wyznają sobie miłość. Stanie się to na sali sądowej, a także w krainie wyobraźni, gdzie przygrywają im Fred Astaire i Judy Garland. Tytułowe „Szaleństwo we dwoje" oznacza paranoję indukowaną – stan, w którym osoba współuzależniona od paranoika bezkrytycznie przyjmuje jego optykę. To celna metafora naszej długiej i skomplikowanej relacji z Jokerem. Im częściej podpala świat, tym lepiej go rozumiemy.

Pan J

Pod osłoną nocy dwóch facetów ucieka ze szpitala psychiatrycznego. Od wolności dzieli ich kilka metrów, muszą jedynie przeskoczyć na dach sąsiedniego budynku. „Włączę latarkę, a ty przejdziesz po snopie światłą na drugą stronę" – proponuje jeden. „Myślisz, że jestem szalony? – oburza się drugi. – Gdy będę w połowie drogi, wyłączysz latarkę i spadnę".

W finale komiksu „Zabójczy żart" Alana Moore'a i Briana Bollanda Joker opowiada ten dowcip Batmanowi, cementując odwieczną rywalizację, którą uosabiają: porządku z chaosem, czerni z pstrokacizną, postu z karnawałem. Na monolicie pojawia się jednak pęknięcie – Batman, jak nie Batman, zaczyna śmiać się do rozpuku. W chwilowej komunii wrażliwości między arcywrogami niektórzy dostrzegają zapowiedź najgorszego: już za moment, nie mogąc przerwać kręgu przemocy, w którym Joker zaklął miasto Gotham, Człowiek-Nietoperz złamie swoją najważniejszą zasadę i skręci żartownisiowi kark.

Ja wolę „pogodniejszą" interpretację. Dla jednego z szaleńców snop światła jest wiarą w resocjalizację. Drugi wie doskonale, że z tej otchłani nie ma powrotu. Jedynym lekarstwem na nihilizm są pozory, maski, gry.

Na kartach komiksów i na kinowym ekranie Joker był już gangsterem i prankster em, personifikacją chaosu, ofiarą przemocy psychicznej, a nawet zdesperowanym antysystemowcem. Paradoksy jego tożsamości odzwierciedlają paradoksalną naturę samej sztuki. Ta może być przecież jednocześnie monumentalna i błaha, kiczowata i bogata w znaczenia, niepoważna i niebezpieczna.

Śmiech przez łzy

„Czasem pamiętam to tak, a czasem inaczej. Jeśli koniecznie muszę posiadać przeszłość, chciałbym, aby była to przeszłość wielokrotnego wyboru" – mówi jeden z Jokerów o jednej ze swoich biografii. Jego „przeszłość" w historii komiksu da się oczywiście uporządkować i ułożyć w logiczny ciąg. W 1940 r. do życia powołali go Bob Kane, Bill Finger i Jerry Robinson (spór o faktyczny podział praw rodzicielskich trwa do dziś). Przez kolejne dekady jego osobowość zmieniała się w odpowiedzi na społeczno-cenzorskie zapotrzebowanie oraz artystyczne trendy w komiksowym medium... I tak dalej, w ten deseń. „Jestem przewlekły" – podsumowałby to sam zainteresowany.

Ciekawsze od suchych faktów są jednak symbole, figury *pars pro toto*, inspiracje. Na przykład fotografia aktora Conrada Veidta z filmu „Człowiek śmiechu", którą Finger pokazał swoim kolegom z wydawnictwa DC Comics. W ekspresjonistycznej perełce Paula Leniego (i zarazem luźnej adaptacji powieści Victora Hugo pod tym samym tytułem) Veidt gra wędrownego cyrkowca o obliczu wykrzywionym w permanentnym uśmiechu. Pamiętna scena, w której przesuwa dłoń wzdłuż twarzy, odsłaniając naprzemiennie zaszklone oczy i wyszczerzone zęby, pozostaje kapitalną ilustracją dwoistej natury Jokera.

NIKO TAVERNISE / MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

Joaquin Phoenix i Lady Gaga w filmie „Joker: Folie à Deux", reż. Todd Phillips

Faktyczna przeszłość oraz tożsamość arcyłotra była już przedmiotem tylu reinterpretacji, że w zasadzie nie da się jej zamknąć w jednej gładkiej narracji. To raczej bezkształtny żywioł narracyjnego chaosu; splot rymów, repetycji, fabularnych palindromów i kontrapunktów. Niespełniony komik, drobny przestępca z ambicjami, galaktyczny nadczłowiek próbujący zniszczyć wszechświat. Czasem zrodzony z kosmicznej nicości, kiedy indziej – w zbiorniku z chemikaliami. Moją ulubioną maską Jokera jest Oberon Sexton – żonobójca i autor powieści kryminalnych, którego klaun najpierw zabił, a potem przejął jego tożsamość. To jedno z jego „autotematycznych" wdzianek, obnażających nie tylko wielorodną osobowość bohatera, ale i mechanizmy rządzące komiksową konwencją.

Joker zamordował Jasona Todda, czyli drugiego Robina. Sparaliżował Barbarę Gordon, czyli Batgirl. Przeciągnął na ciemną stronę mocy psychiatrę Harleen Quinzel, znaną później jako Harley Quinn. To oczywiście wierzchołek góry lodowej, gdyż – pomijając kosmicznych dyktatorów oraz rozmaitej maści bóstwa – ma na swoim koncie najwięcej ofiar w całym uniwersum DC Comics. A jednak, mimo bogato udokumentowanej historii, wymyka się procesowi popkulturowej „kanonizacji". W ekspresjonistycznym horrorze „Arkham Asylum" autorstwa Granta Morrisona fikcyjna koncepcja „super-poczytalności" legitymizuje jego... niepoczytalność. „W przeciwieństwie do nas, Joker zdaje się nie posiadać żadnej kontroli nad bodźcami oraz informacjami z zewnętrznego świata. Jedynym sposobem, by odnaleźć się w chaosie rzeczywistości, jest roztopienie się w nim, przyjęcie wszystkich bodźców naraz. Właśnie dlatego jednego dnia jest psotliwym klaunem, a drugiego – psychopatycznym mordercą. Każdego dnia odkrywa siebie samego na nowo" – diagnozuje go lekarka ze szpitala w Arkham. ↦

Bacon i bekon

Dwa pierwsze ekranowe wcielenia Jokera – grany przez Cesara Romero kampowy trickster z serialu telewizyjnego z lat 60. oraz mafiozo Jack Napier o twarzy Jacka Nicholsona z „Batmana" Tima Burtona – nie są tak wdzięcznym materiałem dla psychoanalityków. Ten pierwszy pozostaje echem mroczniejszych czasów w historii komiksu, gdy restrykcyjne wymagania tzw. Kodeksu Komiksowego znacznie ograniczały kreatywność oraz uniemożliwiały szeroką dystrybucję drastycznych treści. Ten drugi, wpisany w gotycko-ekspresjonistyczny świat Tima Burtona, odcisnął na popkulturze wyraźniejsze piętno.

W jednej ze scen „Batmana" z 1989 r. Joker urządza demolkę w gothamowskim Muzeum Flugelheima (do dziś nie mogę się nadziwić poziomem wysublimowania burtonowskiej „satyry"). „Ofiarami" spontanicznego aktu destrukcji, rozegranego w rytmie utworu „Partyman" Prince'a, padają między innymi Rembrandt i Degas. Błazen oszczędza jedynie Francisa Bacona. Jego obraz „Figure with Meat" z krzyczącym mężczyzną na tle rozpłatanego wołu wzbudza w klaunie sentymentalną refleksję. „Istota jednocześnie żałosna i przerażająca w swojej intensywności. Skupiająca w sobie cały ból, nieszczęście i szaleństwo świata" – czytamy w późniejszej nowelizacji filmu. Kino ma tu jednak przewagę, gdyż Joker jest żywiołem ruchu, zmiany, do twarzy mu z narracyjnym skrótem. „Ten mi się podoba" – konstatuje i w zamian bierze na cel antyczną rzeźbę.

Joker Jacka Nicholsona pozostaje niszczycielem społecznego porządku oraz kulturowego kanonu, co, znów, rymuje się z jedną z jego komiksowych tożsamości. W Gotham organizuje wielki karnawał, na który – dzięki zamaszystej religijno-ludycznej metaforze – „postny" Batman musi odpowiedzieć przemocą o odwrotnym wektorze. Kultowe powiedzonko Jokera – „Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w świetle księżyca?" – jest zaproszeniem do tej amoralnej zabawy. Żeby prowokowanie chaosu było czynnością wyzwalającą, amoralność musi być intencjonalna – przekonuje złoczyńca.

Sprawiedliwość chaosu

Baconowskie twarze, rozciągnięte w grymasie agonii i zniekształcone gwałtownymi pociągnięciami pędzla, powróciły w kolejnych opowieściach o Jokerze. Reżyser Christopher Nolan dostrzegał w nich efekt zawodnej pamięci, ale też zamrożone na płótnie, tożsamościowe rozwarstwienie. Filmowy makijaż aktora Heatha Ledgera (któremu Nolan podarował album z pracami malarza) miał przypominać o tej dychotomii.

Stojący na ruchliwym skrzyżowaniu, filmowany z żabiej perspektywy Joker z „Mrocznego rycerza" (2008) przypomina bohaterów innego reżysera, czyli Michaela Manna. Kino twórcy „Gorączki" i „Zakładnika" pełne jest socjopatycznych samotników, którzy traktują innych ludzi niczym stado nieistotnych z szerszej egzystencjalnej perspektywy, kosmicznych mrówek. Zza parawanu tej stylizacji wyłania się jednak „agent chaosu", który burzy nasze przyzwyczajenia względem czarnych charakterów i samej konwencji.

Joker zjawia się znikąd i opowiada różne historie: raz o ojcu, który pociął mu twarz nożem, to znów o żonie, przez którą sam się okaleczył. Żadna z tych historii nie jest prawdziwa, ale też „prawda" nie ma tu większego znaczenia, skoro Joker jest u Nolana symbolem bezlitosnego fatum; niebezpiecznej „wolności" płynącej z odrzucenia norm społecznych oraz cechującej anarchię „sprawiedliwości". Mówi o sobie „facet bez planu", choć jego intryga wymaga logistycznej perfekcji. Deklaruje, że pragnie jedynie śmierci Batmana, mimo że chodzi mu o coś więcej; chce udowodnić, że w każdym z nas, za cieniutką membraną kultury, siedzi przerażone, gotowe do ataku lub ucieczki zwierzę.

Widzieliśmy już w popkulturze takich żartownisiów: Johna Rydera, czyli pamiętnego „Autostopowicza"; stawiających się ponad moralnością bohaterów Cormaca McCarthy'ego (sędziego Holdena z „Krwawego południka" i Antona Chigurha z „To nie jest kraj dla starych ludzi"); szatańskich posłańców z filmów Davida Lyncha. Joker w interpretacji nagrodzonego Oscarem Heatha Ledgera wyróżnia się na ich tle efektownym zestawem tików i mlasków, nagłymi zmianami tonu, ekspresji, języka ciała. Lecz jeśli jego rola czegoś dowodzi, to głównie tego, że tlenem Jokera pozostaje Batman.

„Niepohamowana siła kontra nieprzesuwalny obiekt" – ironizuje czarny cha-

PODIUM FILMOWYCH JOKERÓW

LMK / B&E W

MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

3 JACK NICHOLSON I JOAQUIN PHOENIX

Ex-aequo za dwa oblicza krwawej rewolucji. Jeden kocha Francisa Bacona, drugi woli stare musicale. Jeden urządza w Gotham karnawał z piekła rodem, drugi idzie na barykady razem z wyzyskiwanymi mieszkańcami. Obaj zagrani są wspaniale, choć z dwojga złego, chaotycznego i nikczemnego, wolę Nicholsona. Będę się upierał, że bez Batmana nie ma Jokera. A przynajmniej – wielkiej rywalizacji postu z karnawałem.

LMK / B&E W

2 HEATH LEDGER

Szaleństwo jak grawitacja i destrukcja dla samej destrukcji. Zamiast twarzy – maska. Niektórzy dostrzegli w niej klauna z „Wieczoru kuglarzy" Ingmara Bergmana. Inni – echa twórczości Francisa Bacona. Nagrodzony Oscarem Joker Heatha Ledgera nie jest ani figlarnym złoczyńcą, ani frontmanem w trakcie spektaklu zniszczenia. To żywioł chaosu, którego nie da się przekonać, że o świat i ludzi warto walczyć.

MATERIAŁY PRASOWE DC

1 MARK HAMILL

Najlepszy filmowy Joker, choć Księciu Zbrodni z Gotham użyczył wyłącznie głosu. Słychać w nim jednak wszystkie paradoksy osobowości arcyłotra. W serialach animowanych sprasował kilkadziesiąt sprzecznych tożsamości Jokera w jedną. W grach wideo z serii „Arkham" przerzucił pomost między długą i bogatą tradycją opowieści o Jokerze a nowoczesnymi wizerunkami czarnego charakteru. Największa rola w cieniu innych wielkich ról. ©MW

ALAN BAND / GETTY IMAGES

Cesar Romero jako Joker w serialu telewizyjnym „Batman" z lat 60.

rakter, walcząc o haust powietrza w uścisku Batmana. Rozpisany na dwie postaci paradoks omnipotencji jest na ekranie tak intrygujący, gdyż stawką w grze pozostaje dusza „ostatniego sprawiedliwego". Joker chce włączyć szlachetnego prokuratora Harveya Denta do klubu obłąkanych („Szaleństwo jest jak grawitacja. Wystarczy delikatne popchnięcie" – powie). Batman wie jednak, że nie da się naprawić społeczeństwa, będąc jego wyrzutkiem. Finał, w którym Dent zamienia się w komiksowego łotra Dwie Twarze, a Człowiek-Nietoperz bierze na siebie jego zbrodnie, jest fantastycznym symbolem relacji „dobra" i „zła" w opowieściach o Batmanie i Jokerze. Obaj wygrywają i przegrywają w tandemie.

Pan B

W nagrodzonym weneckim Złotym Lwem „Jokerze" (2019) Todda Phillipsa Batmana nie uświadczymy i pewnie dlatego jest to niespełniony film. W poszukiwaniu nowej tożsamości Jokera twórcy cofają się do przeszłości. Wątek niespełnionego komika, który wkracza na ścieżkę zbrodni, pożyczają z „Zabójczego żartu". Obraz targanego społeczno-ekonomicznymi turbulencjami Gotham – z kina Nowego Hollywood lat 70., ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Martina Scorsesego („Taksówkarz", „Król komedii"). By wpisać postać Jokera w konwencję psychologicznego realizmu, sięgają z kolei po motyw jego toksycznej relacji z Matką oraz z Miastem. Matka zaszczepia w nim ujemne poczucie własnej wartości. Miasto zamienia jego realną wartość w puentę okrutnego, ekonomicznego żartu.

Gra toczy się o godność uciskanych, którzy w finałowym akcie – podżegani przez Jokera – zamieniają ulice w pole bitwy z policją. Jest jednak coś felernego w tego rodzaju narracji. Arthur Fleck (Joaquin Phoenix) to żywy katalog chorób psychicznych, które twórcy traktują jak monolit. Bohater przejawia symptomy narcyzmu, depresji, schizofrenii, głębokiej psychozy, a jego niekontrolowany śmiech to tzw. zespół rzekomoopuszkowy. Eskalacja agresji jest zatem ściśle związana z pogarszającym się stanem psychicznym bohatera. Systemowa niesprawiedliwość to zaledwie katalizator; kropelka, która przelewa czarę goryczy.

Sporym problemem filmu jest też strukturalna „samotność" postaci. W najlepszej scenie filmu bohater, już jako pacjent zakładu psychiatrycznego o zaostrzonym rygorze, rozmawia z pracownicą opieki społecznej. Spytany o przyczyny nagłej erupcji śmiechu, wraca wspomnieniami do chwili, w której trącił palcem pierwszą kostkę domina; naraz, w przebitce, widzimy malutkiego Bruce'a Wayne'a, przyszłego Batmana, nad ciałami zamordowanych w trakcie zamieszek rodziców. „Nie zrozumiesz" – odpowiada Joker. Nawet w tej opowieści Mroczny Rycerz wydaje się niezbędny jako filozoficzna przeciwwaga. Jak mawia jego ukochany wróg: „Bez Batmana zbrodnia nie ma puenty".

Nowe szaty błazna

Paradujący w kremowym garniturze i wystylizowany na mafijne legendy czasów prohibicji Jared Leto z „Legionu samobójców"; rozdzielony na dwa ciała braci Valeska i schowany za licencyjnymi konfliktami zbir z serialu „Gotham"; zakochany i w sobie, i w swoim arcywrogu trefniś z filmowego cyklu „LEGO"; wreszcie – balansujący na granicy komedii, horroru i melodramatu Joker w interpretacji Marka Hamilla.

Bez względu na to, ilu Jokerów jeszcze zobaczymy i jak długo będą trzymać Batmana w egzystencjalnym szachu, autorska „logika obłędu" Księcia Zbrodni z Gotham zawsze pozostanie atrakcyjnym, filmowo-komiksowym tworzywem. Batman wierzy, że na filarach moralności i przyzwoitości da się zbudować bezpieczny świat. Podpowiada nam, że życie w zgodzie ze społeczną umową może być aktem odwagi. Joker przekonuje, że jest to odwaga, za którą nikt nas nie nagrodzi. Czy może być zatem lepsza od nihilizmu, entropii i dobrej zabawy? Obaj mają rację. I obaj się mylą. © MICHAŁ WALKIEWICZ

LEONHARD FOEGER / REUTERS / FORUM

Elfriede Jelinek w swoim domu w Wiedniu, 2004 r.

Śmierć i podatki

BARTOSZ SADULSKI

Teatralny tekst „Dane odosobowe" to polifoniczny krzyk w proteście przeciwko izolującej sytuacji, w jakiej narratorkę stawia bezduszna biurokracja.

Od pewnego czasu wraz ze znajomymi, szczególnie tymi, którzy mieli z bliska do czynienia z niemiecką biurokracją, lubimy powtarzać, że „Niemcy się kończą". Stało się to naszym rubasznym refrenem, szyderczym aforyzmem powtarzanym z głęboką satysfakcją przy okazji kolejnych informacji na temat niemieckich dysfunkcji czy coraz mniej lokalnych triumfów faszystów z AfD.

Skromne w rozmiarach i nieszkodliwe *Schadenfreude* jest reakcją sąsiada, u którego wreszcie, po latach klęsk i nieurodzajów, wiedzie się nieco lepiej, lecz swoją genezą sięga daleko w głąb pokojów, zapewne ciasnych i niskich, do których światło wpada tylko przez mały, wysoko położony otwór, w których rezydują organizmy urzędnicze, cichutkie trybiki administracji. Ich zadaniem jest piętrzyć trudności, uniemożliwiać bezsporne i dręczyć petentów. Anegdoty można by mnożyć, niemiecka administracja tkwi głęboko w czasach słusznie minionych, a polskie urzędy zdają się przy niej posterunkami życzliwości i nowoczesności z utopijnego jutra, w którym głód, wojny i kolejki na poczcie zostały powstrzymane dzięki wspólnym staraniom miss świata i Elona Muska.

Dość powiedzieć, że niemieccy urzędnicy regularnie i z lubością nie tylko używają faksów, ale także wysyłają hasła do wszelkiego rodzaju kont internetowych pocztą tradycyjną, listem bynajmniej nie poleconym, co skutecznie uniemożliwia załatwienie nawet najprostszej sprawy. Każdego dnia 52 drzewa są poświęcane, by zasilić złaknioną machinę administracyjną rządu centralnego.

Mroczne miejsce

Niemcy sami sobie znakomicie zdają sprawę ze swojej urzędowej wszetecznej wsteczności: w trakcie tegorocznych wakacji lobbingowa organizacja INSM uruchomiła w Berlinie Muzeum Biurokracji, punktujące absurdy niemieckiego formalizmu. Znalazł się w nim między innymi sadomasochistyczny *darkroom*, symbolizujący dotkliwą wegetację w zbiurokratyzowanym niemieckim świecie.

W takim właśnie mrocznym miejscu, poddawana przez fiskus finezyjnym torturom, spędziła sześć lat Elfriede Jelinek, laureatka Nagrody Nobla z 2004 roku. Przy okazji umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania (napiszmy to: *Doppelbesteuerungsabkommen*) między Austrią a Niemcami, krążąca między Wiedniem a Monachium, gdzie przez lata żył jej partner, zmarły w 2022 roku Gott-

fried Hüngsberg, Jelinek została wzięta na ruszt i oskarżona o unikanie płacenia podatków. Bawarczycy to ludzie poważni i nieznający się na żartach, dlatego z rozmachem wkroczyli do domu pisarki w wiedeńskiej dzielnicy Hütteldorf i zajęli 33 pudła z dokumentami oraz dyskami twardymi, na których znajdowała się także prywatna korespondencja pisarki. Rozpoczęła się dystopijna biurokratyczna poniewierka Jelinek, zupełnie jakby Niemcy lecąc na dno koniecznie chciały ją za sobą pociągnąć.

„Na tym świecie pewne są tylko śmierć i podatki" – napisał Benjamin Franklin w liście do Jeana-Baptiste'a Leroya, a dla Jelinek oba tematy są nierozerwalnie sprzężone. Pojawienie się w jej domu aroganckich służbistów wymachujących słowami „możemy panią zniszczyć" odbiera jej podmiotowość i sprawczość, pisarka zostaje sprowadzona do funkcji oskarżonej, czyli w rozumieniu systemu niemal winnej. System działa dokładnie tak samo jak w „Procesie", gdzie jego celem było „możliwie zupełne wyeliminowanie obrony, obwiniony powinien być zdany we wszystkim na siebie samego".

W swoim tekście o Kafce Hannah Arendt podkreślała, że człowiek uwięziony w biurokratycznej machinie jest już skazany i że nikt nie może oczekiwać sprawiedliwości od procedur sądowych, w których interpretacja prawa jest połączona z administrowanym bezprawiem, a chroniczna bezczynność interpretatorów rekompensowana jest przez biurokratyczną machinę, której bezsensowny automatyzm ma przywilej ostatecznej decyzji. „Od tej chwili nie wierzy się w ogóle człowiekowi, kiedy państwo się o niego upomni" – pisze Jelinek w swojej najnowszej książce.

W takiej sytuacji zabranie głosu we własnej sprawie jest próbą wyjścia z pozycji ofiary, w którą to rolę Jelinek wchodzi z przewrotnym entuzjazmem, jakby tylko ona gwarantowała wysłuchanie. Teatralny tekst „Dane odosobowe" w brawurowym przekładzie Agnieszki Kowaluk to polifoniczny krzyk w proteście przeciwko izolującej sytuacji, w jakiej narratorkę stawia bezduszna biurokracja. „Dopóki mówię, jestem" – pisała Jelinek w swoim krótkim tekście o Thomasie Bernhardzie, jej wielkim prekursorze, „obok którego nikt już nie może przejść obojętnie", lecz te słowa mogłyby być mottem książki wydanej w 2022 roku. Tylko język pozwala jej się utrzymać na powierzchni, nie zginąć w starciu z nieludzką machiną biurokracji.

Tylko wściekłość

W swoim świetnym tekście o biurokracji opublikowanym w „Dwutygodniku" Michał Paweł Markowski zwracał uwagę, że „jeśli jawnie wyznawanym celem biurokracji jest usprawnienie działania społecznego, to celem niejawnym jest wielokrotna izolacja petenta". Poczucie bezsilności, bezradności i nieważności nie dominuje jednak w tekście Jelinek, przebija raczej w pojedynczych frazach. Kiedy narratorka ogłasza, że „z czasem poddaje się bez walki", jest to raczej sygnałem do podjęcia radykalnych werbalnych działań, niż retoryczną białą flagą.

Jelinek wykorzystuje powiedzenie, że „podatek dochodowy stworzył więcej przestępców niż jakiekolwiek inne prawo", do uderzenia w narodowy sport Niemców, czyli uchylanie się od płacenia. Na biurokratycznej giełdzie prawda jest niewiele warta, dlatego pisarka wymyka się fiskusowi z rąk serią zmasowanych i niepohamowanych ataków, bo tylko wściekłość może ją ocalić, zwłaszcza w starciu z „niebezpiecznym, pewnym siebie, nieznającym zwątpienia językiem szykownych technokratów i twardzieli", jak go nazwała w tytułowym eseju ze zbioru „Moja sztuka protestu".

Już wcześniej, głównie w swoich tekstach dla teatru, sięgała po historyczne wydarzenia: burzliwe dyskusje wywołał jej dramat „Burgtheater", o parze aktorów Pauli Wessely i Atilli Hörbigerze uśmiechających się całkiem szeroko do narodowego socjalizmu. Szyderczy dramat „Ulrike Maria Stuart", powstały na bazie dramatu Schillera i historii przywódczyń RAF-u, musiał zostać przez Jelinek ocenzurowany po interwencji córki anarchistycznej męczennicy Ulrike Meinhof. W „Podróży zimowej" piwniczne historie Nataschy Kampusch i Josefa Fritzla wpisała w muzyczny cykl pieśni Franza Schuberta; w „Rechnitz" opowiedziała historię rzezi Żydów podczas balu na zamku baronowej Margit von Batthyány w marcu 1945 roku, zaś w „Das schweigende Mädchen" próbowała zbliżyć się do postaci neonazistki związanej z NSU Beate Zschäpe, skazanej na dożywocie za współudział w 10 zabójstwach na tle rasowym. Nigdy wcześniej jednak nie pisała tak otwarcie o sobie i swojej rodzinnej historii, jak w „Danych odosobowych". Zastrzega jednak, że „oczywiście mówię o sobie cały czas, tylko inaczej, jak gdybym to nie była ja".

W postdramatycznych tekstach Jelinek, które ona sama definiuje jako „płaszczyzny tekstowe", brakuje klasycznych postaci, dialogów czy działania, istnieje jednak silne powinowactwo między sztuką o Zschäpe a „Danymi odosobowymi", wyrażające się nie tylko w sytuacji bycia oskarżoną, lecz także w przestrzeni, którą rozpoznajemy jako salę sądową. O ile jednak w pierwszym tekście Jelinek związuje ze sobą protokoły procesowe i fragmenty biblijne, a proces NSU przepoczwarza się w Sąd Ostateczny, o tyle polifoniczne tyrady, gry językowe i kalambury, kaskady nie zawsze pierwszorzędnego humoru w najnowszej książce noblistki, niewątpliwie sprawiające jej dziką rozkosz, są wymierzone w cały współczesny system finansowy, z jego lukami, niesprawiedliwościami i rajami podatkowymi, w których pieniądze krezusów spędzają czas w klapkach na plaży.

W Niemczech się nie negocjuje

Jelinek przywołując najbardziej znane przypadki migania się od płacenia podatków próbuje niejako wpisać swoją sprawę, ostatecznie zakończoną umorzeniem, w ciąg podatkowych konfliktów i publicznych upokorzeń, bo „w Niemczech się nie negocjuje, tu prowadzi się wojnę". Przypomina sprawy tenisisty Borisa Beckera czy byłego piłkarza i prezesa Bayernu Monachium Ulego Hoeneßa, skazanego na 3,5 roku więzienia, aferę Wirecard, kiedy to pracownicy firmy przez co najmniej osiem lat wynosili z biurowca setki tysięcy euro w siatkach z Aldiego i Lidla, złośliwie przygląda się funkcjonowaniu schronów przeciwko opodatkowaniu – Szwajcarii (dokąd ze swoimi podatkami uciekł między innymi słynny Franz Beckenbauer, zanim nie zwiał ponownie do Austrii) i Cyprowi, ale przede wszystkim z kronikarską rzetelnością odtwarza swoje drzewo genealogiczne.

Kawalkada martwych wujów, ofiar kolejnych uprzedzeń i opresji, defiluje przez jej książkę, zupełnie jakby Jelinek chciała udowodnić swoją historią, że jest, że żyje, że ma oparcie w protoplastach, mimo że „bycie prześladowanym ↦

↦ zdaje się w każdym razie typowe dla mojej rodziny". Podobnie jak w powieści „Dzieci umarłych" to martwi przesądzają o losie żywych, jednak kataklizm zesłany na ziemię ma charakter czysto urzędowy. Historia prześladowania nadal jest jednak historią bycia.

I chociaż Jelinek powtarza, że prawdy nigdzie nie ma, to sama zdaje się jej szukać właśnie w przeszłości, to ona daje jej tyradom solidne oparcie w walce z wysłannikami urzędniczych piekieł. Historia bliskich, którzy padli ofiarą Holokaustu, czyli znakomicie zorganizowanej i zbiurokratyzowanej rzezi, jak kuzyn pisarki Walter Felsenburg zamordowany w Terezinie, rodzi polityczne oskarżenie – Jelinek błyskotliwie otwiera rachunek krzywd, który nigdy nie może zostać spłacony, zamiast prowadzić obłudne, oficjalnie nakazane i inscenizowane w najdrobniejszych detalach rozliczenie z przeszłością.

To jeden z lejtmotywów pisarstwa Jelinek – jak zauważała Monika Gromala, projektowany po wojnie „nowy wspaniały świat" został wzniesiony na szczątkach pomordowanych ofiar. Jelinek oddaje im głos w nekromantycznym geście, z którym żadna administracja i urząd nie mogą sobie poradzić, funkcjonują bowiem w innym, racjonalnym porządku praw i przepisów.

Po brechtowsku

Monika Szczepaniak, badaczka Jelinek, zwróciła uwagę, że teksty austriackiej pisarki to „kompleksowe tekstury przesycone »obcymi« głosami, specyficzne kolaże cytatów, muzyczne korowody materiału językowego. Ta dramaturgia nadmiaru sprawia, że czujemy się zaatakowani, osaczeni, bezradni wobec nieprzerwanego strumienia tekstu, który dodatkowo zaskakuje permanentną zmianą perspektywy i tworzy wrażenie braku panowania nad materią języka". To tylko wrażenie: aktorzy grający teksty austriackiej pisarki wielokrotnie podkreślali, że początkowe wrażenie chaosu i bełkotliwej hermetyczności pęka pod wpływem kolejnych lektur i rozkładu tekstu na mniejsze części. Ich nieusuwalnym elementem pozostaje jednak krytyka społeczna zainstalowana w języku.

Jelinek wielokrotnie podkreślała, że w przeciwieństwie do literatury niemieckiej, literatura austriacka począwszy od wczesnego Wittgensteina i Krausa,

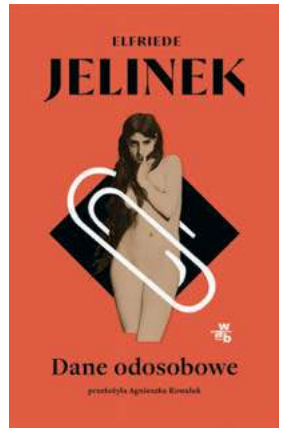

Elfriede Jelinek **DANE ODOSOBOWE** *przeł. Agnieszka Kowaluk, W.A.B., Warszawa 2024*

przez Grupę Wiedeńską, wyróżniała się krytycznym podejściem do języka. Sama wpisywała się w tradycję literatury demaskującej stosunki społeczne nie tylko przez treść, ale także przez sam język. Pisarka po brechtowsku przepisuje rzeczywistość, by ujawniać sposoby, w jakie wzorce ucisku, szczególnie te o charakterze klasowym lub seksualnym, są maskowane przez rządzącą ideologię patriarchalnego kapitalizmu i przedstawiane jako niezmienne fakty o świecie.

Niezmiennym faktem, jaki wyłania się z „Danych odosobowych", jest marksistowskie stwierdzenie, że biurokracja jest państwem fikcyjnym obok państwa realnego, co zdaniem Markowskiego zbliża ją do literatury – podobnie jak ona w swoim nowoczesnym wydaniu „wpędza wszystko bezlitośnie w ruch i nigdzie nie znajduje wytchnienia, bo w tym łańcuchu nieskończonych znaczących nigdzie nie ma ostatecznego znaczonego". To bezsensowna biurokracja napędza tryby językowej machinerii Jelinek, podejmującej ostatecznie grę z fiskusem, ale na własnych zasadach, mając w głębokim poważaniu policję językową.

Brutalne rozliczenie Jelinek z aparatem państwowym jest prowadzone z pozycji oskarżonej w sposób, który tylko ją wzmacnia i konstytuuje jako podmiot, nie pozwalając sprowadzić się ani na moment do roli przedmiotu postępowania. Markowski zaznacza, że biurokracja izoluje człowieka „od niego samego, od jego prywatnego życia, zamieniając w petenta lub numer sprawy", lecz Jelinek pisząc uporczywie o sobie, o własnej historii, wymyka się z rąk systemu, który najbardziej interesuje się żywymi, bo przecież „umarłych nie można jeść". Swoją opowieścią kopie głęboki rów między sobą a biurokracją, rów „głęboki jak groby na cmentarzu pieczonych gołąbków".

Jeszcze nie

Literacka droga Jelinek nie jest naznaczona ekonomicznymi decyzjami – jej teksty przez lata nie były wystawiane ze względu na ich perwersyjny i antyteatralny charakter, a w maju 1996 sama po raz pierwszy zakazała ich wystawiania w Austrii, znosząc embargo sześć lat później. Ostatnią powieść, „Neid", udostępniła za darmo na swojej stronie internetowej, dając do zrozumienia, że jej pisaniem nie rządzą zasady zysku, lecz wyłącznie prawa językowej wściekłości. Czytelnik musi dopuścić do siebie jej roszczenia, dać się im ponieść, żeby odwlec nieuniknione zanikanie i śmierć. „Śmiejemy się z pani poczynań, pani koniec będzie niewiele lepszy" – szydzi jeden z oprawców, a Jelinek z otwartą przyłbicą stawia mu opór.

W „Pianistce" napisała, że „za darmo jest tylko śmierć, a i ona kosztuje życie", ale „Dane odosobowe" są spektakularną ucieczką od niej. Milczenie wobec terroru i opresji technokratów byłoby równoznaczne ze zgodą na własną anihilację, zupełne unicestwienie. Jak się kończy oddanie bez walki w ręce rzekomo rzetelnych formalistów, znakomicie zilustrował Joseph Roth na przykładzie Imre Ziski, notariusza, który po pierwszej wojnie światowej stał się bezpaństwowcem. Prawo do jego bytu rościli sobie zarówno Słowacy, jak i Węgrzy, nie dlatego, że byli dumni ze swojego syna, lecz dlatego, że go nie chcieli.

Jego nazwisko nie figurowało w żadnych księgach wieczystych. Bez zobowiązań i praw, nieuwierzytelniony i problematyczny notariusz żył problematycznie. Oddychał, jadł i pił, więc był. Myślał i żył, w sensie filozoficznym, ale nie otrzymał paszportu, więc dla państwowych urzędów nie istniał, nie miał poświadczonego bycia. Fizycznie notariusz był obecny, jako obywatel nie. Trwał zawieszony na granicy, dosłownie i w przenośni. Dlatego jako urodzony służbista sam przekroczył granicę i w presburskim hotelu odebrał sobie życie, żeby dłużej nie robić nikomu kłopotów.

„Umrzeć każdy potrafi, ja na pewno też, jakoś sobie poradzę" – pisze w nowej książce Elfriede Jelinek, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie. © BARTOSZ SADULSKI

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Nowy dyrektor Marcin Napiórkowski i ministra kultury Hanna Wróblewska na briefingu prasowym dotyczącym Muzeum Historii Polski. Warszawa, 26 września 2024 r.

Historia polska

MICHAŁ OKOŃSKI

Marcin Napiórkowski może być świetnym twórcą hipernowoczesnego muzeum. Jednak procedura zmiany na stanowisku dyrektora MHP przypomina o przekleństwach polaryzacji.

Muzeum Historii Polski nie powinno być instytucją polityczną. Tak postrzegał swoją misję dotychczasowy dyrektor Robert Kostro. „Z mojego doświadczenia wynika, że wbrew pozorom istnieje w Polsce możliwość wypracowania konsensusu co do rzeczy ważnych i fundamentalnych, nawet budzących takie emocje jak narodowa historia" – mówił w ubiegłorocznym wywiadzie dla „TP". O jakości działań Kostry najlepiej świadczą krytyczne opinie na temat jego odwołania, dobiegające z niemal wszystkich środowisk zajmujących się polską historią.

Nawet będący ofiarą PiS-owskich represji były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej Paweł Machcewicz wystawia mu świadectwo człowieka „wyróżniającego się umiarkowaniem, otwartością na dialog i rzeczywistą troską o powierzoną mu instytucję".

Zwłaszcza ta ostatnia fraza Machcewicza warta jest podkreślenia, bo kwestionuje przyczyny, dla których resort kultury przeprowadził procedurę odwołania dotychczasowego dyrektora MHP. Przywołany jako jeden z powodów „niski poziom wykorzystania środków" w latach 2021-22, podobnie jak spór prawny z wykonawcą inwestycji budynku muzeum, może świadczyć raczej o kwalifikacjach byłego szefa placówki. Zresztą zaproponowanie Kostrze przejścia na stanowisko zwierzchnika Instytutu Pileckiego zdaje się mówić, że nie mamy do czynienia z kimś niegodnym zaufania.

„Tygodnik" współpracował z odwołanym dyrektorem. Nowo powołany jest od wielu lat naszym czołowym autorem. Wszystko, co na tych łamach opublikował (np. krytykując antyimigranckie akcenty kampanii PO przed ostatnimi wyborami), świadczy, że nie mamy do czynienia z partyjnym nominatem. Również sukces współtworzonego przezeń musicalu „1989" udowadnia, że o historii Polski potrafi opowiadać językiem żywym, odważnie wykorzystującym tropy popkulturowe; by użyć jego własnej frazy: polifonicznie.

Szybki przegląd publikacji pokazuje horyzont jego zainteresowań, od ostatniej książki Doroty Masłowskiej, przez imperium Lechitów, modę na serialowe sequele, znakomitą książkę o pamięci powstania warszawskiego, po analizy polaryzujących Polaków mitów politycznych. Zaprawdę: gdybyśmy chcieli stworzyć od podstaw hipernowoczesne muzeum dotyczące historii Polski, Europy, edukacji lub popkultury – Marcin Napiórkowski byłby pierwszą osobą, do której należałoby się zwrócić z prośbą o współtworzenie scenariusza.

Tyle że jego nominacja wpisuje się w logikę zwalczanej przez niego polaryzacji. „Zgodziłem się podjąć tej trudnej roli nie dlatego, że miałem poczucie, że w tym muzeum źle się dzieje; zgodziłem się, bo mam wrażenie, że jest to niesamowite miejsce, w którym udało się zebrać wyjątkowy zespół" – mówił na inauguracyjnej konferencji prasowej. Ale co zrobić ze świadomością, że jego poprzednika odwołano w trybie nagłym, przed końcem kadencji – jemu zaś stanowisko powierzono bez konkursu?

Muzeum Historii Polski nie powinno być instytucją polityczną – ale tak naprawdę nią jest. Takie mamy czasy, że kształt wystaw w podobnych placówkach – zajmujących się przeszłością, a zwłaszcza próbą jej interpretacji – budzi gwałtowne spory i fantazje o przejmowaniu „rządu dusz".

Najlepszym przykładem dymisje, połajanki, a nawet wizyta agentów CBA w domu wspomnianego Pawła Machcewicza podczas pozbawiania go przez PiS funkcji dyrektora Muzeum II Wojny Światowej. Debaty na temat kształtu tamtejszej wystawy angażowały nawet członków rządu (przypomnijmy wypowiedź wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, dekretującego za pośrednictwem Twittera, które fragmenty ekspozycji MIIWŚ powinny być zmienione).

Czy w ślad za zmianą dyrekcji przyjdzie zmiana koncepcji wystawy stałej MHP? Jeśli tak się stanie, trudno będzie uciec od pytań o trwonienie zainwestowanych już środków, niejako antytezę powodu, dla którego odwoływano poprzednika. Tworzenie nowego scenariusza mogłoby zresztą narazić Marcina Napiórkowskiego na samotność, jaka stała się udziałem twórców wystawy w MIIWŚ tego lata, kiedy okazało się, że przywrócenie ich pierwotnej, zmienionej za czasów PiS koncepcji nie odpowiada bieżącym interesom politycznym rządzących.

Pytanie, na ile w tak szybko zmieniającym się świecie w ogóle możliwe jest tworzenie jakiejkolwiek wystawy stałej, pozostaje w tej chwili zawieszone. Słysząc o Muzeum Historii Polski, mamy do czynienia z kolejną odsłoną polsko-polskiej wojny, a nie sporem, jak opowiedzieć przyszłym pokoleniom dzieje naszej wolności. ©℗

AGATA KUBIS / MATERIAŁY PRASOWE FPFF

Kadr z filmu „Zielona Granica", reż. Agnieszka Holland

Doniesienia spod wulkanu

ANITA PIOTROWSKA

„Jesteśmy przed wielkim egzaminem. Walczymy o naszą twarz" – mówił podczas gali zamknięcia Festiwalu w Gdyni Wojciech Marczewski, nagrodzony Platynowymi Lwami za całokształt.

W głównym konkursie 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni aż trzy tytuły, w tym film otwarcia, opowiadały o bieżącej wojnie w Ukrainie. Obok nich znalazła się nagrodzona historia o heroicznej białoruskiej opozycjonistce, zaś laur za najlepszy krótki metraż otrzymał Mohammed Almughanni, młody reżyser z Palestyny. Dołóżmy do tego fakt, iż najwięcej nagród zdobyły dwa filmy: obraz duńskiego piekła kobiet wyreżyserowany przez twórcę ze Szwecji oraz mało patriotyczna odsłona rodzimej góralszczyzny. A finalnie Złote Lwy zdobył wyklinany przez „prawdziwych Polaków" i domorosłych geopolityków film o kryzysie humanitarnym na naszej wschodniej granicy.

Powstawały jeszcze za poprzedniej władzy (choć nie zawsze z jej wsparciem), więc tegoroczny festiwal tym bardziej udowodnił, że dotychczasowe pojęcie kina narodowego należy odesłać do lamusa. Jesteśmy częścią dużo większego i bardziej skomplikowanego organizmu, nie tylko jako kinematografia. W tych historiach odbijały się zbiorowe lęki przed wojną, brunatnieniem Europy, powrotem starego porządku w różnej, również totalitarnej postaci. Ale także niezgoda na przemoc naszą codzienną, w bardziej kameralnym i ukrytym, bo rodzinnym czy szkolnym wymiarze.

Polityczne emocje

Z werdyktem festiwalowego jury pod przewodnictwem Małgorzaty Zajączkowskiej bardzo chciałoby się podyskutować, choć może bardziej z zasadami kwalifikacji do konkursu. Główny triumfator, czyli „Zielona granica" Agnieszki Holland, był wielkim nieobecnym poprzedniej edycji festiwalu, miał premierę i zagraniczne sukcesy równo rok temu, sytuując się dzisiaj niejako poza wszelką konkurencją. Mimo że nie okazał się dziełem wyłącznie interwencyjnym, a po zmianie władzy nadal w wiadomym lesie umierają ludzie, to Złote Lwy są nagrodą spóźnioną. W dalszym ciągu jest to kino emocjonalnie angażujące, niewygodne w swoim humanitarnym sprzeciwie i bez wątpienia przetrwało próbę czasu, czego dowodem także nagroda gdyńskiej publiczności. Odebrało jednak szansę innym, świeżo nakręconym i co najmniej równie świetnym tytułom.

Podobnemu testowi na ponadczasowość można by kiedyś poddać dzisiejsze „polskie filmy ukraińskie". Wszystkie zrealizowano w szlachetnym celu jako fabularyzowane świadectwa putinowskiej inwazji i wyraz współpracy międzysąsiedzkiej, jakże różne są jednak ich punkty widzenia i użyte środki. Na przykład Łukasz Karwowski w „Dwóch siostrach" zastosował perspektywę typowo polską: oto dwie dziewczyny (świetne Karolina Rzepa i Diana Zamojska) ruszają autem do Charkowa, by ewakuować rannego ojca (jest tam wolontariuszem). Mają po drodze rozmaite przygody, stykają się z wojennym koszmarem, lecz doświadczają także pomocy, będącej wyrazem ukraińskiej wdzięczności. Przyrodnie siostry załatwiają też swoje rodzinne obrachunki, ale wyprawa na linię frontu kończy się tak, ażeby nie było żadnych wątpliwości, czym jest ta wojna. Jakbyśmy nie korzystali z internetu, nie oglądali dokumentów i potrzebowali zainscenizowanej dosłowności.

Okazuje się to niczym w porównaniu z pornografią wojny, jaką serwują nam Maciej Ślesicki i Filip Hillesland w filmie „Ludzie". Epatują obrazami wymyślnego (chociaż zapewne udokumentowa-

AGATA KUBIS / MATERIAŁY PRASOWE FPFF

Kadr z filmu „Pod wulkanem", reż. Damian Kocur

nego) okrucieństwa, głównie z udziałem dzieci, niewidomych, zwierząt oraz kobiet, co zawsze uderza najmocniej. I jeszcze dają popis filmowej erudycji – cytując schody odeskie Eisensteina, „Idź i patrz" Klimowa, „Underground" Kusturicy czy „Ładunek 200" Bałabanowa. Paradoksalnie ginie gdzieś w tej surrealistycznej szarży banalno-ludzkie bestialstwo rosyjskich „orków" i aż chciałoby się zapytać, czy biorący w tym udział świetni ukraińscy aktorzy (i dzieciaki!) nie doświadczają czasem powtórnej traumatyzacji. Bo zwykli widzowie bez wątpienia.

Można jednak opowiedzieć o tej wojnie zupełnie inaczej. Całkowite zaprzeczenie eksploatacyjnej metody znajdziemy u Damiana Kocura w „Pod wulkanem", który zainicjował festiwal i jednocześnie okazał się (obok „Minghuna" Jana P. Matuszyńskiego) jego wielkim przegranym. Film opiera się na niby-dokumentalnej obserwacji dobrze sytuowanej ukraińskiej rodziny, którą rosyjska inwazja zaskoczyła na Teneryfie, i który w ogóle nie pokazując wojny, mówi o niej bardzo dużo. Toczy się ona bowiem w głowach bohaterów, a poniekąd i w naszych. Dlaczego ów polski kandydat do Oscara, pokazywany niedawno na festiwalu w Toronto, opuścił Gdynię z jedną tylko nagrodą jury, dla nastoletniej Sofiji Berezowskiej za profesjonalny debiut aktorski? Czyżby rodzime kino ciągle nie było gotowe na język pozbawiony literalności, złożony raczej z nastrojów, niewysłowionych lęków i napięć? (Więcej o filmie Kocura, w związku z jego premierą kinową, w najbliższym numerze „Tygodnika").

Na tym tle nie dziwi, iż skromny, wręcz zgrzebny dramat „Pod szarym niebem" Mary Tamkowicz doceniono za debiut reżyserski. Tworząca w Polsce niezależna białoruska reporterka opowiada tu autentyczną historię dziennikarskiej pary, Kaciaryny Andrejewej i Igora Iljasza, doświadczających (przede wszystkim ona) najsurowszych represji za swoją antyreżymową działalność. I nawet jeśli były na festiwalu bardziej intrygujące debiuty (na przykład „Lany poniedziałek" Justyny Mytnik, czyli wybuchowa mieszanka dziewczyńskiej traumy, obrzędowego katolicyzmu i realizmu magicznego), jury najwyraźniej preferowało otwarcie polityczne emocje.

Niedoraźnie

„Dziewczyna z igłą" Magnusa von Horna, duński kandydat do Oscara i najbardziej uhonorowany tytuł polskiego festiwalu, ze Srebrnymi Lwami włącznie, pomimo całej swojej baśniowo-horrorowej stylizacji też ma w sobie polityczność. Ta mroczna przypowieść o seryjnym dzieciobójstwie sprzed stu lat, o pokłosiu Wielkiej Wojny i perwersyjnej siostrzanej sprawczości, to zakamuflowana krytyka systemu, który nie dawał kobietom wyboru.

Jednakże „fabrykantka aniołków" zagrana przez Trine Dyrholm (nagroda za drugoplanową rolę żeńską) pomagając tytułowej dziewczynie, nosi w sobie wiele sprzeczności i film nie poprzestaje na obnażeniu indywidualnej psychopatologii. Domaga się wnikliwej analizy na wielu polach i zawieszenia prostych moralnych osądów, jakkolwiek jego efektowna forma (nagroda za zdjęcia Michała Dymka, za muzykę Frederikke Hoffmeier, scenografię Jagny Dobesz czy kostiumy Małgorzaty Fudali) nie przylega idealnie do treści. Jest ekscesem, który dodatkowo obezwładnia, toteż jego wystudiowane piękno może się wydawać chwilami wręcz podejrzane w obliczu spiętrzonej tu makabry. Tyle że reżyser „Intruza" i „Sweat" zdaje się być całkowicie tego świadomy – zrobił film tylko pozornie kostiumowy i czarno-biały. I bardziej polski niżby mogłoby się wydawać, bliższy jakiejś dystopijnej acz niedalekiej przyszłości niż dawno zamkniętej przeszłości.

Innego rodzaju baśniowy filtr zastosował Marcin Koszałka w „Białej odwadze", drugim tytule obsypanym hojnie nagrodami (za reżyserię, scenariusz Koszałki i Łukasza M. Maciejewskiego, za pierwszoplanową rolę Sandry Drzymalskiej i drugoplanową Juliana Świeżewskiego). Kiedy film wchodził do naszych kin, zbierał mieszane recenzje, czasem skrajne w tych samych kwestiach. Zarzucano mu, że mówiąc o wstydliwym epizodzie, jakim była podhalańska kolaboracja z nazizmem, uraził góralski honor, to znów, że za słabo docisnął temat. Dla jednych wielką i małą historię potraktował nazbyt swobodnie, dla innych wcale nie był filmem historycznym, lecz góralską gawędą o archetypicznym konflikcie dwóch braci. Wszyscy zachwycali się zdjęciami gór, chociaż niektórym przeszkadzało, że film ucieka w „górskie porno".

Od początku doszukiwano się w filmie Koszałki kontrowersji, a równocześnie krytykowano, że na skandalu buduje renomę. Jedno jest pewne: to tytuł, który lepiej sprawdza się bez medialnego wzmożenia, oglądany z większym dystansem, z otwarciem na walory ekranowe i poetyckie licencje. Wtedy widać najlepiej, że ta historia z Goralenvolkiem w tle, wbrew zarzutom z różnych stron, nie jest ani jednowymiarowa, ani wykalkulowana, ale po prostu atrakcyjna filmowo.

Przemoce

Dobrze, że dzisiejsze polskie kino nie zatrzymuje się na oczywistych obrazach przemocy, sprowadzających ją do spektaklu z czasów zaprzeszłych i miejsc oddalonych. W tym roku wyróżniono ↦

dwa debiutanckie filmy (jeden z Konkursu Głównego, drugi z nowej sekcji Perspektywy), w których odbijały się systemowe nadużycia władzy tak oswojone czy wręcz znormalizowane, że prawie niewidoczne w swej patologii.

Korek Bojanowski w mikrobudżetowej „Utracie równowagi" rozprawia się z mechanizmami przemocy działającymi w szkole teatralnej. „Ja was muszę zgwałcić, żeby was życie nie zgwałciło" – taką metodę pedagogiczną stosuje w filmie reżyser przedstawienia dyplomowego. Dostrzeżona przez gdyńskie jury Nel Kaczmarek wciela się w postać ambitnej studentki, która walczy o rolę Lady Makbet i pada ofiarą reżyserskich manipulacji, nazwanych tu eufemistycznie pracą na emocjach. Efektem jest małe laboratorium przemocy, a jej raz rozkręcony mechanizm wymyka się w którymś momencie spod kontroli.

I tak jak film Bojanowskiego nawiązuje do głośnych afer ostatnich lat w szkolnictwie artystycznym, tak „Rzeczy niezbędne" Kamili Tarabury powstały w oparciu o reportaż „Mokradełko" Katarzyny Surmiak-Domańskiej (film właśnie wszedł do kin). Współscenarzystka Katarzyna Warnke zagrała kobietę, która z pomocą zaprzyjaźnionej dziennikarki (w tej roli Dagmara Domińczyk) próbuje uwolnić się nie tylko od traumatycznego dzieciństwa, kiedy była molestowana przez ojca za cichym przyzwoleniem własnej matki (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik), ale z piętnem winy i wstydu.

Razem ze wspomnianym, utrzymanym w zupełnie innej tonacji „Lanym poniedziałkiem" filmy te przełamują tabu i zarazem towarzyszącą mu czasami niezdrową sensację, w imię swojej wewnętrznej prawdy. Podobnie jak pominięta w werdykcie „Kobieta z..." Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta, gdzie intymny dramat polskiej osoby transpłciowej udało się osadzić na tle historycznych przemian i ponadczasowej obstrukcji prawnej. I gdyby nie pojawiający się gdzieniegdzie ton nadmiernie aktywistyczny, pewnie skuteczniej dałoby się wzbudzić empatię wobec bohaterki zagranej przez Mateusza Więcławka i Hajewską-Krzysztofik.

Zdjęcia do tego filmu kręcone były między innymi w Bystrzycy Kłodzkiej – mieście, które „wystąpiło" również jako dawna Kopenhaga w „Dziewczynie z igłą" i miasteczko z „Lanego poniedziałku", które dziś zmaga się z powodzią. Tak oto rzeczywistość wdarła się jeszcze mocniej na festiwalowe ekrany. Lecz pojawiały się, na szczęście, momenty, kiedy te ciemne skłębione zasłony dało się na chwilę rozgonić. Krzysztof Skonieczny we „Wrooklyn Zoo" snuje brawurowe fantazje o wielokulturowym Wrocławiu, gdzie współcześni Romeo i Julia oraz niespodziewany sojusz skejtersko-romski z pomocą dziadka kresowiaka spuszczają łomot miejscowym skinheadom (nagroda za montaż dla Sebastiana Mialika). Jest w tym młodziakowatym kinie mało prawdopodobieństwa, za to dużo wdzięku, a kto pamięta „Hardkor Disko" czy serial „Ślepnąc od świateł" tego samego reżysera, będzie wiedział, czego się spodziewać. Nade wszystko uwodzicielskiej stylówki – dla wykreowanego na ekranie miasta i dla bohaterów. Trzeba też odnotować aktywny udział społeczności Romów w tym przedsięwzięciu, choć naiwnie baśniowa konwencja chcąc nie chcąc wymusiła egzotyzację.

Waga lekka

Spełnieniem kina lżejszej wagi miał być także „Kulej. Dwie strony medalu" Xawerego Żuławskiego. Nie do końca się to udało. Łobuzerska natura tytułowego bohatera i łotrzykowska energia narracji nie zdołały spiąć filmu sportowego o legendarnym polskim pięściarzu z historią obyczajową (Jerzy Kulej jako fatalny mąż i ojciec) i opowieścią o uwikłaniu w gomułkowski reżym. Ciekawym pomysłem na postać zagraną przez Tomasza Włosoka było dopisanie do bokserskiego biogramu historii emancypacyjnej jego żony Heleny (Michalina Olszańska), podejmującej tuż przed Marcem '68 roku pracę w MSW. Aczkolwiek z jakichś powodów wszechwiedzącym narratorem pozostaje za kadrem nie ona, lecz trener Kuleja, odtwarzany przez Andrzeja Chyrę. W efekcie nie jest to opowiedziane ani na serio, ani wystarczająco zabawnie – może z wyjątkiem scen z Konradem Elerykiem i Bartoszem Gelnerem w roli zaprzyjaźnionych cwaniaczków. Ostatecznie film musiał się zadowolić jedynie statuetką za charakteryzację dla Agnieszki Hodowanej.

A za pierwszoplanową rolę męską nagrodę zgarnął Jacek Borusiński, grający w niepozornym „Wróblu" Tomasza Gąssowskiego. W tym akurat filmie czuje się trochę ożywczego powietrza, choć przecież znamy skądinąd te minimalistyczno-prowincjonalne klimaty, ciepłe i cierpkie jednocześnie – kłania się tradycja kina czeskiego czy oldskulowy Aki Kaurismäki. Dawno nie było tak sympatycznego portretu Polaka nieudacznika: samotnego listonosza, który traci pracę, zapalonego piłkarza, który ciągle grzeje ławę, na dodatek ukradli mu rower i z dnia na dzień musi zająć się swoim wyrodnym dziadkiem z DPS-u.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Kadr z filmu „Dziewczyna z igłą", reż. Magnus von Horn

„Dziewczyna z igłą" Magnusa von Horna, duński kandydat do Oscara, oraz nagrodzony „Srebrnymi Lwami" na 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni dla reżysera Magnusa von Horna oraz producentów Mariusza Włodarskiego i Malene Blenkov.

Z kolei świeżą jakość humoru inteligenckiego przyniósł w konkursie Perspektywy „To nie mój film" debiutantki Marii Zbąskiej, nagrodzony Złotym Pazurem im. Andrzeja Żuławskiego. Kiedy zimową porą małżeństwo czterdziestolatków w kryzysie postanawia przejść czterysta kilometrów bałtyckim wybrzeżem, ciągnąc na saniach swój tymczasowy dom, dowiadują się o sobie więcej niż przez całe wspólne życie. A wielu ich rówieśników z widowni ma szansę odnaleźć w owych przekomarzankach i pozach tę bardziej irytującą cząstkę siebie.

Zamiast rytualnych narzekań na polskie kino festiwalowe, porównań z poprzednimi edycjami, wyciągania średniej arytmetycznej i spiskowych spekulacji wolę inne podsumowanie: jeśli festiwal należał do udanych, to na pewno w swojej różnorodności. Również narodowej i językowej, tudzież dzięki tym paru tytułom, które z rozmaitych powodów nie pojawiły się w roku ubiegłym.

Wybrana wówczas nowa dyrektorka artystyczna Festiwalu Joanna Łapińska dopiero w tym roku miała szansę stworzyć imprezę bardziej autorską, a dzięki ostatnim przetasowaniom w czołowych instytucjach odpowiedzialnych za naszą kinematografię i wygranej walce o tantiemy z internetu, dało się odczuć powiew zmiany, wreszcie naprawdę dobrej. Oczywiście, dramatycznie brakuje pieniędzy na filmy, instytucja kina coraz częściej przegrywa ze streamingiem, pojawiają się nowe wyzwania cywilizacyjne, a gruntowne porządki w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej czy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich zajmą jeszcze sporo czasu.

„Jesteśmy przed wielkim egzaminem. Walczymy o naszą twarz" – mówił podczas gali zamknięcia Wojciech Marczewski, nagrodzony Platynowymi Lwami za całokształt. I cokolwiek miał na myśli ten mistrz i mentor, to tegoroczna twarz polskiego kina, zapewne janusowa, zmęczona, niedoinwestowana i na ogół mocno spięta, w większości przypadków wstydu nie przyniosła.

Po tych słowach mimowolnie pomyślałam o mężu „dziewczyny z igłą", który wrócił z okopów bez połowy twarzoczaszki, został cyrkowym dziwowiskiem, ale mimo wszystko nie stał się potworem. To jednak nie jego, ale jej twarz, ekspresyjnie oskarżycielska i wielkooka niczym z kina niemego, wbija się w moją pofestiwalową pamięć najbardziej, podobnie jak twarz ukraińskiej dziewczynki, która pod palmami, w cieniu kanaryjskiego wulkanu, ze zgrozą ogląda karnawałowe fajerwerki. Właśnie dla takich twarzy warto było pojechać do Gdyni.

© ANITA PIOTROWSKA

Lektor:
Pytania czasu końca

▪ *Tomasz Łubieński*
ULICA MAZOWIECKA
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024, ss. 96

„Bić się czy nie bić?" – ten tytuł od dawna żyje już własnym życiem, a zbiór esejów o polskich powstaniach był jedną z najgoręcej dyskutowanych książek lat 70. Tomasz Łubieński łączył bowiem mocną świadomość historyczną z odwagą formułowania niezależnych sądów, czy chodziło o wiek XIX, czy o wrzesień 1939 i powstanie warszawskie. Pamiętam, jak w „Tygodniku" Tadeusz Żychiewicz ostro zaatakował jego „Czerwonobiałego" (1983) – portret Ludwika Mierosławskiego – a bronił Łubieńskiego równie ostro Jacek Woźniakowski; ech, umiano się spierać w owe lata...

Był prozaikiem, autorem dramatów, książek o Molierze, Mickiewiczu, Norwidzie i Janie Karskim. Był współtwórcą środowiska „ResPubliki", redaktorem „Nowych Książek" i taternikiem. Podczas jubileuszu osiemdziesięciolecia mówił: „Jeżeli coś wiem o życiu, ryzyku, odwadze czy śmierci, to właśnie dzięki wyprawom w góry. To był rodzaj lekcji, którą zapamiętałem i do której wracałem podczas pisania o powstaniach, ponieważ dała mi ona ogromne bogactwo przeżyć (...). Wojna mi takiej lekcji nie dała, byłem zbyt mały i nic złego mi się wtedy nie stało. A to właśnie doświadczenie strachu pozwala na wyzwolenie w człowieku odwagi, bo człowiek, kiedy się boi, próbuje temu uczuciu zaradzić i podejmuje walkę".

Zmarł 15 marca tego roku w wieku blisko 86 lat. Zdążył jeszcze wydać autobiograficzno-wspomnieniowy tom „Osiemdziesiąt plus minus", ale „Ulica Mazowiecka" to już prawdziwe pożegnanie. Pożegnanie poetyckie – bo Łubieński pisał też wiersze, choć nieczęsto, i spolszczył fragmenty „Boskiej Komedii". Melancholijna, gęsta od znaczeń i wątków elegia na odejście miłości, ludzi bliskich, ukochanych krajobrazów i własnych sił fizycznych. Czas przemijania „pod rusińską opieką Natalii z Iwanką", czas, w którym władzę nad nami przejmują trzy boginie: Neurologia, Kardiologia i Urologia. Tak, świat to marność – „ale trzeba ją kochać trzeba kochać marność / bo darowana już się nie powtórzy". Cóż, „Pan Bóg, takie jest życie, rzadko się uśmiecha". „Te ważne zapisy egzystencjalnej starości – pisze w posłowiu Radosław Romaniuk – pokazują ją jak czas pełen namiętności i emocjonalnej temperatury. Nic się nie uspokaja, nie odpływa, nie unieważnia". Owszem, „koniec przesądzony", ale wciąż przybywają nowe pytania... To jest książka, do której się powraca . ©℗

OLGA

Drenda:
Proszę państwa, oto miś

Podczas gdy Polska mobilizowała się, by wspierać zniszczone przez powódź miejscowości, internet zajmował się jak zwykle internetowaniem. Nie, nie zamierzam tutaj zżymać się na „hipokryzję sytych społeczeństw" ani nic podobnego. Tego rodzaju akty świeckiego kaznodziejstwa uważam za uwłaczające rozumowi i przyzwoitości – każdy człowiek jest bowiem zdolny do myślenia o kilku niezwiązanych ze sobą rzeczach jednocześnie i nie ma to nic wspólnego z żadnym sądem moralnym. Jestem pewna, że również doświadczając wielkiego nieszczęścia, ludzie przeglądają czasami memy i zupełnie nic z tego nie wynika ani o niczym nie musi to świadczyć.

Dlatego z pewnym opóźnieniem, ale mimo wszystko dotarło i do nas globalne szaleństwo na punkcie pewnego małego zwierzaka o ekspresyjnej mimice. Moo Deng to jeszcze niepełnoletni hipopotamek karłowaty (a właściwie hipopotamka), mieszkający w zoo w Tajlandii. Swoją popularność zawdzięcza charakterystycznym minom, spośród których najbardziej dobitna i chyba najczęściej powielana to ta znamionująca niewysłowioną grozę, gdy opiekun stara się podnieść zwierzątko. Niezapomniana, godna Oscara ekspresja sprawiła, że niejeden młody internauta odnalazł w niej ilustrację własnych uczuć towarzyszących np. wyjściu do szkoły. Nie trzeba szczególnie daleko szukać, żeby znaleźć te memy – hipciowa japa prędzej czy później dopadnie każdego (w sposób zupełnie niegroźny).

Najciekawsze jest bowiem to, że Moo Deng to miniaturowa wersja najbardziej niebezpiecznego ssaka na naszej planecie.

Wyglada groźnie? Może troszeczkę.

OLGA DRENDA

Mimo swojej sympatycznej, okrąglutkiej powierzchowności – pamiętacie być może Mordkopotama z „Tytusa, Romka i A'Tomka" – to właśnie hipopotam (ten duży, nie karłowaty) odpowiada za najwięcej zakończonych śmiercią ataków na człowieka. Ale w pociesznej wersji mini, nie mówiąc już o obcowaniu wirtualnym, można się z tym groźnym stworzeniem, utożsamianym czasami z biblijnym Behemotem, zapoznać w wersji bezpiecznej, laboratoryjnej, przytulić i pośmieszkować. Najwyżej ugryzie kogoś w kolano, lecz go nie pozbawi.

To trochę przypadek znany z historii pluszowego misia. Niedźwiedź budził w dawnych Europejczykach tak wielki popłoch, że bali się wymawiać jego imię (słowo „niedźwiedź" to już nabożny eufemizm). Obłaskawił go w oczach ludzi Theodore Roosevelt, darując zwierzowi życie na polowaniu. Na pamiątkę jego wspaniałomyślności powstał ukochany pluszak świata, Teddy Bear.

Można chcieć tulić bezpieczną miniaturkę i jednocześnie respektować siłę dzikiego stworzenia. Kiedy jakiś czas temu po internecie zaczęły krążyć memy o treści „skoro niedźwiedzie są takie groźne, to dlaczego mają takie słodkie uszka?", pojawili się pod nimi przedziwni dydaktycy spieszący z wyjaśnieniami, jak śmiercionośna jest przeciętna niedźwiedzia łapa. Nie rozumieli (albo świadomie udawali, że nie rozumieją – jestem skłonna wierzyć raczej w tę wersję), że ktoś może wyrażać się niezupełnie serio i chciałby przytulić takie niebezpieczne uszko właśnie dlatego, że jest ono wirtualne.

Ale próba restytucji tabu sama w sobie jest ciekawym zjawiskiem – tak jakby przy pomocy mema można było niechcący przywołać groźnego *HRKTOSA we własnej osobie. Ciekawe, czy przekłada się to na gotowość do zabezpieczenia pełnych łakoci śmietników, które – jak wielokrotnie udowodniono – sprawiają, że dzika fauna chętnie wyprawia się do miast.

Może jednak chodzi o coś innego: o wyolbrzymienie zagrożenia. Tak często dzieje się w odniesieniu do przyrody: nawet gdy jest daleko i nikt specjalnie nie wchodzi z nią w interakcję, zdarzają się ludzie nadmiernie zapobiegliwi, doszukujący się w niej potencjalnego zagrożenia, a zagrożenie lepiej na wszelki wypadek zlikwidować. Trawę, bo mogą w niej być kleszcze; drzewo, bo może usiąść na nim ptak, a ptaki roznoszą zarazki; nie mówiąc już o bardzo świeżym i groteskowym wręcz przypadku „bobra politycznego". To oczywiście przykłady na współczesne zarządzanie poczuciem bezpieczeństwa, które obecnie wydaje się dobrem tak cennym, że wielu jest skłonnych poświęcić dla jego iluzji wszystko inne, włącznie z własnym, już posiadanym uprzednio rozsądkiem. Opłaca się więc ten mechanizm pompować i wyolbrzymiać. A rozsądek zakłada umiejętność radzenia sobie z ambiwalencją i więcej niż jednym odczuciem na jakiś temat. Niestety, jest wysoce nieopłacalny i nieklikalny. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Kluski dla Warhola

Dwie monety w formie dziesięciokąta z profilem króla Karola oraz pszczółkami na rewersie i elegancką jedynką – gdyż taka jest ich wartość – wystarczą, by posiąść najnowszą ikonę popkultury. Tanio, mniej niż bilet na londyńskie metro w pierwszej strefie, gdybyśmy, dajmy na to, chcieli pojechać czarną linią z odlotowej stacji Elephant&Castle, na szczycie której faktycznie różowy słoń dźwiga zamkową wieżę, np. do niebiańskiej stacji Angel. Bez kompleksów, dodajmy na marginesie, bo w poezji tras miejskich i tak nic nie przebije krakowskiej jazdy z Cichego Kącika przez Ugorek do Kombinatu.

Można by więc za te dwa funty wejść w sam środek debaty o kolejne tzw. przywłaszczenie kulturowe. Ale może zechcecie zachować monety do kolekcji, bo właśnie weszły do obiegu te z wizerunkiem nowego monarchy oraz wybranymi przez niego osobiście obiektami ojczystej przyrody. Najbardziej wzrusza jednopensówka z orzesznicą leszczynową. Ta maciupeńka ruda myszka, krewna popielicy, jakby wyjęta z kart Beatrix Potter, w sam raz nadaje się na symbol tego, ile realnie są warte okruchy dziecięcej niewinności. My tu w Polsce powinniśmy na jednogroszówce dać bobra, bo tyle jest warta władza, która głupio poszczuła na to zwierzę.

Ale zapłaćmy wreszcie te dwa funty i podejmijmy wątek spożywczy. Koncern Heinz, rozpoznawalny dzięki globalnemu, ale w sumie jadalnemu keczupowi (to go różni od globalnej arcyherbaty Lipton, której nie da się pić nawet za karę), sprzedaje za tę cenę carbonarę w puszce. I tak jak w przypadku firmy Campbell i jej malowanych przez Warhola puszek z niedobrą zupą, opakowanie przewyższa zawartość. Jasnożółte, apetyczne tło, trochę „elektryczne", a trochę jajeczne, a na tym różowy kartusz, ale w odcieniu wściekle pastelowym, sztucznym, zupełnie nie boczkowym.

Piękne. Chcę to u siebie w kuchni. Ale nie, żeby otworzyć. Inni już to zrobili za mnie, efekt nie był dla nikogo zaskakujący. „Sos" prawie płynny, mazisty, blady, nitki krótkie i rozmiękłe, bez zapachu. Inaczej być nie mogło, technologia, budżet i metalowe opakowanie wykluczają użycie jajek, więc „kremowość" odtworzono, stosując mleko w proszku i skrobię kukurydzianą. Do tego jeden procent boczku, ekstrakt z cebuli oraz liofilizowana natka pietruszki (technolodzy lubią ją sypać wszędzie, może sądzą, że to doda „charakteru"). Fakt, że makaron jest rozgotowany, stanowi przy tym najmniejszy problem: każdy, nawet dobrej jakości i przygotowany w domu, po wystudzeniu w zamkniętym naczyniu, a potem podgrzaniu w mikrofali, nabiera konsystencji gluta.

Producent odpowiada: zwracamy się do młodych, którzy nie mają czasu albo boją się babrania w kuchni i tego, że wyjdzie im jajecznica. Fakt, carbonara cieszy się niezasłużoną opinią trudnej, choć wystarczy przestać się bać, popełnić raz czy drugi błąd, a potem już się umie. Poza tym wiele osób ma atawistyczny lęk przed surowym jajem. Przypomnę: jeśli kupujecie jajka z urzędowo rejestrowanej hodowli, to nie mają salmonelli, bo kurnik przechodzi regularne badania. Inna rzecz to babranie. Mogę to zrozumieć. Jedna z najprostszych zup, a przy tym najlepszych, to czysty barszcz z jesiennych buraków – ale wszyscy wiemy, jak wyglądają potem ręce. Nie dziwię się tym, którzy sięgają po „barszczyk" z kartonu, choć różnica w smaku... no jednak boli.

Dobrze, że ktoś o nich pomyślał. Może dzięki temu iluś ludziom zaświta chęć sięgnięcia jednak po wersję prawdziwą, choćby w knajpie za rogiem. A chór oburzonych Włochów? Grzmiały nawet czynniki oficjalne, spodziewam się noty protestacyjnej MSZ. Ale, jak goście naszej rubryki wiedzą, histeryczny gastronacjonalizm jest objawem schyłku tego kraju. Tolerując barszcz z kartonu, okazujemy się wciąż młodym, prężnym narodem.

Carbonara wegetariańska

Heinz wsadził do puszki śladowe ilości boczku a nie podgardla (guanciale), co purystom dało asumpt do jeszcze większej beki. Nie mam zdania w sporze, co lepsze. I czasami uciekam w bok – w wersję wegetariańską.

4 małe cukinie ▪ 5 jajek ▪ 400 g spaghetti ▪ parmezan ▪ oliwa ▪ pieprz

Kroimy cukinię w drobniutką kostkę, podsmażamy na oliwie na prawie czarno. Musi być naprawdę mocno zrumieniona, żeby symulować smak boczku. W szklanej lub stalowej misce energicznie mieszamy 4-5 żółtek (albo 3 żółtka i 2 jajka) z 5 kopiastymi łyżkami parmezanu. Przerzucamy gorące kluski prosto z wody, bardzo intensywnie mieszamy, by powstał krem, czasem trzeba dodać trochę wody z gotowania, bo wyjdzie za suche. Na to cukinia, no i dalej na talerzu tradycyjnie pieprz i jeszcze garść sera. ©℗

MATERIAŁY PRASOWE HEINZ

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

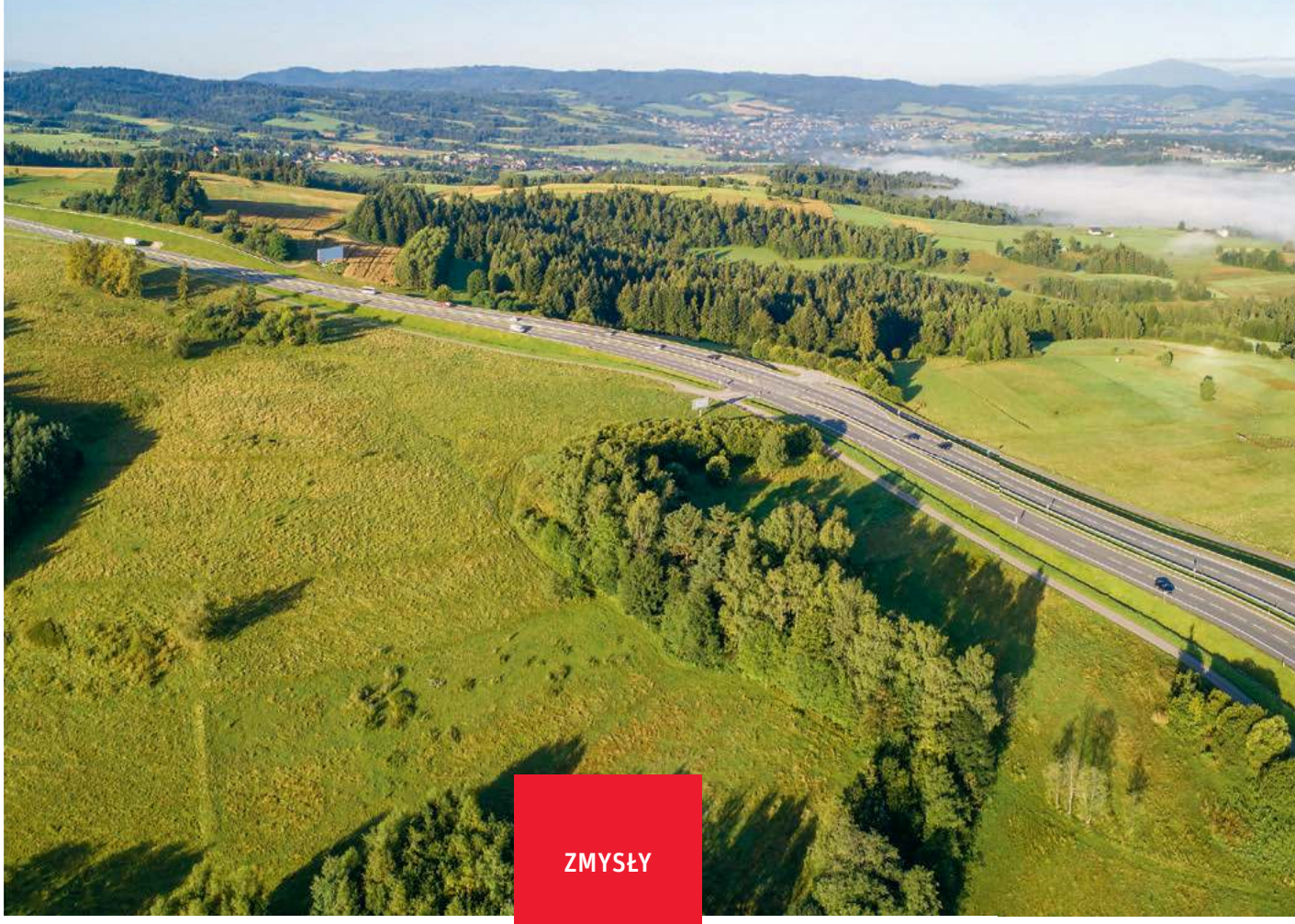

ZMYSŁY

ZAKOPIANKA

Do historii odchodzi właśnie najbardziej mityczna z polskich dróg. Zostanie tylko nazwa. Ubędzie przygód, nie przybędzie już legend.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Pisanie tego tekstu zaczynam stojąc w korku tuż za Nowym Targiem. Tutaj zakopianka na chwilkę staje się transmiejską ekspresówką, po czym wraca do swojego normalnego kształtu, zmuszając kierowców do czekania w „suwaku". Jest piątek wieczorem, więc istnienie korka w tym miejscu o tej porze może się wydawać dziwne, ale od kilku już lat o tej drodze wiadomo jedno – że nigdy nic nie wiadomo. Nigdy nie da się przewidzieć, ile trwać będzie przejazd, choć mimo wszystko nie sądzę, bym jechał do Krakowa wystarczająco długo, żeby udało mi się skończyć pisanie przed dotarciem do celu. Na pewno będę pisał też w drodze powrotnej (tak też się i stało).

Jeżdżę zakopianką regularnie od 33 lat, właśnie na trasie Nowy Targ–Kraków. Jeżdżę wyłącznie środkami komunikacji publicznej, co najmniej raz w tygodniu, zazwyczaj co kilka dni, a bywało, że nawet codziennie. Znamy się dobrze i wiele razem przeszliśmy. Mam z nią staż zaledwie dwa lata krótszy niż moje małżeństwo. To ono sprawiło, że z pochodzącego znikąd potomka wielu wewnętrznych migracji stałem się najpierw nowotarskim „ptokiem", a teraz już chyba „krzokiem" (trzecia, najbardziej zaawansowana kategoria, „pniok", wymaga wielu pokoleń i rozgałęzionych rodowych koneksji). Korzenie mam jednak częściowo wędrowne, bo choć na Podhalu mieszkam, to pracuję w Krakowie i bardzo często jeżdżę dalej. I nieodmiennie pierwszy etap wszystkich moich podróży to właśnie zakopianka.

Jest sławna na cały kraj głównie za sprawą legend o wielokilometrowych korkach, ale mnie nie wydają się one wcale najważniejsze. O wiele ciekawsze jest to, jak zmieniała się w ciągu tych 33 lat, odkąd pozostaję z nią w stałym, choć ruchomym związku. Jak zmieniał się jej wygląd i przebieg, jak zmieniało się to, co widać za oknem, i to, co widać i słychać we wnętrzu wiozącego mnie pojazdu – jak zmieniali się ludzie, którzy towarzyszyli mi w tej drodze, i to, co w jej trakcie robili.

Powtórzę: podróżuję wyłącznie środkami komunikacji publicznej, więc mam sporo czasu na obserwacje i od dawna ko-

NAHLIK / SHUTTERSTOCK

Zakopianka – serpentyny w okolicach Rabki i Chabówki. W oddali widok na pasmo Babiej Góry. Sierpień 2020 r.

rzystam z każdej szansy, by się nimi dzielić. Teraz nadarza się okazja szczególna, bo wszystko wskazuje na to, że zakopianka przestaje istnieć.

Hit the road!

Nie mam wątpliwości, że droga Kraków–Zakopane to temat na książkę, i to grubą, wielowarstwową i wielokształtną. Byłaby studium historycznym, opowiadającym, jak dawny „szlak miedziany" już w pierwszych dekadach XIX w. zamienił się w drogę publiczną, jak jej międzywojenną modernizację przerwał atak nazistowskich Niemiec i jakie czynniki sprawiły, że w latach 60. pokryto ją na całym przebiegu asfaltem, a w połowie lat 70. wybudowano dwupasmowy odcinek Kraków–Myślenice, do początków XXI w. funkcjonujący jako najlepszy fragment całości.

Ta księga byłaby też analizą kulturową, bo istnienie drogi wpłynęło na powstanie fenomenu „Skalnego Podhala", „stylu zakopiańskiego" i innych zjawisk rozwijających się u stóp Tatr. Musiałaby być także studium socjologicznym, pokazującym, jak zmieniał się skład społeczny i wzorce zachowań ludzi jadących zakopianką. No i na pewno musiałoby być w niej całe mnóstwo opowieści strasznych (lista ofiar tej drogi jest naprawdę długa), ale też i zabawnych (podróże, nawet najbardziej uciążliwe, to zawsze źródło anegdot).

Jednak zakopianka to nie jest droga łatwo uchwytna. Nie jest nawet pewne, od kiedy właściwie można mówić o niej jako takiej. Wszak wytyczony przez Austriaków trakt nie był nią, choć w dużej części biegł tą samą trasą, którą teraz jeździmy.

Powstanie fenomenu zakopianki związane było ze zbudowaniem drogi asfaltowej, jednak ruch osób jadących do i z Zakopanego wcale nie przeniósł się na nią tak od razu. Bardzo długo pod Tatry jechało się przede wszystkim pociągiem (osobny temat, kiedyś epicki, dziś raczej z pogranicza czarnego humoru), a droga jako taka istniała głównie dla ruchu lokalnego. Dopiero w latach 70., za Gierka, wraz ze wzrostem dostępności samochodów można zacząć mówić o narodzinach mitu tej drogi – trudnej, a nawet (zwłaszcza zimą) niebezpiecznej i nieprzewidywalnej. Zaś od lat 90., wraz z upowszechnieniem komunikacji samochodowej i dynamicznym rozwojem turystyki, podróże do Zakopca stały się prawdziwie masowe.

W tłoku

Pamięć podpowiada mi, że istniały fundamentalne różnice między podróżami na Podhale w latach 80. i na samym początku 90. a tymi z późniejszej części tej drugiej dekady, nie mówiąc już o XXI wieku.

W latach 80. dostanie się do Zakopanego i Nowego Targu stanowiło dobro reglamentowane, wymagało wielu zabiegów i trudów, było czymś dostępnym dla nielicznych i możliwym w wyjątkowych okolicznościach. Zakopianką nie jeździło się ot tak, po prostu. Oczywiście, własne samochody miało coraz więcej osób, ale ich dostępność nie była wcale tak powszechna i oczywista jak dziś. Posiadanie auta było znakiem wyższego statusu, a już wśród studentów stanowiło wyjątek. Autobusy jeździły zaś stosunkowo rzadko i nikt oczywiście nie zwiększał ich liczby w okresach natężenia ruchu.

↦

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Trasa zakopiańska w okolicy wsi Mogilany. 1938 r.
Po prawej: Korek na Zakopiance na odcinku Zakopane – Biały Dunajec. 16 sierpnia 2007 r.

↦ Wyjazd z Krakowa na Podhale w weekend wymagał albo wcześniejszego wielogodzinnego stania w długiej kolejce do „Orbisu" na św. Marka, gdzie prowadzono przedsprzedaż biletów, albo stoczenia prawdziwego boju przy wejściu do samego pojazdu (często jednego i drugiego).

Dopiero wraz z rozwojem prywatnej przedsiębiorczości i powstaniem jeżdżącego do Zakopanego do dziś Szwagropolu oraz już nie kursującego Transfreja, podróżowanie tym szlakiem stało się czymś względnie dostępnym (choć i dziś w szczycie sezonu lub przed długimi weekendami może się zdarzyć, że w autobusach po prostu nie będzie miejsca). Równolegle posiadanie samochodu stało się czymś zwyczajnym.

W rezultacie tych zmian elitarne i otoczone aurą wyjątkowości Zakopane stało się miejscem, do którego wybrać się mogą właściwie wszyscy, a nie – jak dawniej – wyłącznie ludzie o większych możliwościach finansowych lub szczególnej determinacji.

Tak, ta zmiana zniszczyła samo miasto i jego okolice. W tym miejscu ważniejsze jest jednak to, że dopiero upowszechnienie podróży do stóp najwyższych gór Polski wytworzyło prawdziwy fenomen zakopianki jako drogi szczególnego znaczenia – krętej, biegnącej malowniczymi, ale niebezpiecznymi grzbietami, i bardzo zatłoczonej. Drogi niezwykłej, po której podróżowanie jest zawsze wyzwaniem i przygodą.

Do źródła

Procesy, które dotyczą zasadniczo wszystkich polskich dróg, na zakopiance widać szczególnie mocno. Ze swej natury uwyraźnia ona procesy zachodzące w całym kraju. Samochodów jest już za dużo i że za chwilę nie będzie drogi, która mogłaby je pomieścić. Widać to szczególnie pięknie, gdy na falujących pagórkach między Krakowem a Myślenicami stoją oba pasy aut wracających z Podtatrza (właśnie widzę i opisuję).

Degradujące każde niemal miejsce kraju brutalne i niekontrolowane bezczeszczenie pejzażu przez chciwość szczególnie boli, gdy tym, co zasłaniają roznegliżowane panie reklamujące serwisy opon albo potężnie zbudowani mężczyźni nakłaniający do spożycia napojów energetycznych, jest majestatyczny widok na Tatry. Ale nawet te spektakularne przykłady naszej wciąż nowo kapitalistycznej ślepoty nie decydują o specyfice zakopianki – to można zobaczyć wszędzie, choć nie w takim stężeniu.

Również w zakresie drogowego marketingu widać na tej trasie pewną charakterystyczną odmienność: nadreprezentację góralszczyzny jako marki używanej do przekonywania potencjalnych klientów o autentyczności i wartości towaru. W XX w. Podhale wykonało fascynującą pracę przekonania reszty Polski, że wszelkie drogie nam wartości, w tym narodowe, tylko tu trwają nietknięte, kryształowo czyste, niezłomne, jak kwaśnica, oscypek i żeberka.

Tłumy jadą nią nie tylko w góry (w góry w sensie ścisłym jedzie mniejszość) i nie tylko do Zakopca, ale jadą do mitycznego źródła – do Górala, który od ponad stu lat jest naszym nadczłowiekiem, i do matecznika twardej jak skała rzeczywistości. Nawet ci, którzy nie wychylą nosa poza Krupówki i okolice, patrząc na Giewont, widzą polski kamień węgielny, śpiącego rycerza i Marszałka w jednym. Rzut oka na ten czakram narodowy wystarczy, by umocnić się w przekonaniu, że się jest i trwa, poczuć się częścią czegoś, co ma niekłamany majestat.

By doznać tego stanu dosłownego wywyższenia, trzeba jednak pokonać drogę, na której, tak jak na każdym szlaku wiodącym do źródeł i skarbu, czekają rozliczne przeszkody. To, że jeszcze w XIX w. trakt z Krakowa do Zakopanego tylko w pierwszej połowie poprowadzono dolinami, zmuszając podróżnych do wspinania się w dalszej części na wysokie zbocza, sprawiło, że wyasfaltowana 150 lat później zakopianka mogła spełniać wyobrażenia o „wysokiej drodze". By trafić do celu i odnaleźć skarb, trzeba przecież pokonać rozliczne trudności.

Argonauci

Wspinaczka na stok Lubonia Małego między Krzeczowem a Skomielną, podjazd z Chabówki na Piątkową Górę i potem na skraj Rdzawki – to dwa bodaj najbardziej spektakularne przykłady odcinków, na których podróż traciła turystyczną łatwość, stawała się wyzwaniem, a nawet – pełną niebezpieczeństw ekspedycją.

Zwłaszcza dla ludzi z nizin te wspinaczki miały posmak dawnych „prawdziwych podróży". Wymagały uwagi i odwagi. Działo się tak szczególnie zimą, gdy droga potrafiła pokazać, jak może być niebezpieczna i jak kruche jest nasze przekonanie, że przeciwstawienie się siłom przyrody to jedynie kwestia organizacji i technologii. Wobec prawdziwej zawiei medialne

narzekania na drogowców dowodziły co najwyżej braku rozsądku i pokory.

Każdy, kto jeździł zakopianką zimą, ma swoje opowieści o próbach przedzierania się przez sypiący bez przerwy śnieg, o ciężarówkach unieruchomionych w zaspach i o niezwykłych wyczynach kierowców zjeżdżających z oblodzonych zboczy. Też takie mam. I wiem, że to nie są żadne strachy na lachy, bo wzdłuż zakopianki stoją krzyże (szczególnie dużo ich na „patelni" za Chabówką, gdzie giną motocykliści), a przed Krzeczowem o realności zagrożenia przypomina pomnik ku czci czworga posłów, którzy zginęli tu w październiku 1994 r., gdy jadąca przed nimi ciężarówka nagle się zatrzymała. Do niedawna ten niewielki, ale wyrazisty postument mógł zobaczyć każdy jadący zakopianką.

Znikający świat

W roku 2022 oddano do użytku dwukilometrowy tunel pod Luboniem Małym, któremu zgodnie z niemądrą polityką nomenklaturową ówczesnej władzy nadano imiona Marii i Lecha Kaczyńskich. Odtąd zniknęły z pola widzenia podróżujących i Krzeczów, i Tenczyn. Zniknął jeden z punktów kulminacyjnych całej trasy – długi podjazd skrajem unieśmiertelnionej przez Jalu Kurka wsi Naprawa, wraz z rozciągającą się z jego najwyższego odcinka wspaniałą panoramą na dolinę górnej Skawy i pasmo Babiej Góry. Na horyzoncie majaczyły Tatry. Żadnych szczytów i widoków już nie ma – jest wygodny zjazd pod ziemię...

Zniknięcie Naprawy, która była naprawdę kluczowym punktem podróży „prawdziwą zakopianką", to zwrotny punkt w procesie, który trwa od początku XXI w. – procesie znikania tej drogi i świata, przez który wiodła. Najpierw, między rokiem 2004 a 2008 z zakopianki zniknęły Pcim i Lubień, dwie niegdyś ważne miejscowości, rozcinane drogą na pół i pozostające pod jej ogromnym wpływem. Wybudowanie omijającej je drogi ekspresowej z Myślenic do Lubnia sprawiło, że jedynie majaczą gdzieś za dźwiękoszczelnymi ekranami, a niegdyś wielce znaczące punkty, jak słynny zajazd „Czarny Lew" w Pcimiu, przestały istnieć. Droga oddzieliła się od życia i sama wiele z życia własnego straciła.

Ale prawdziwy przełom nastąpił, gdy wraz z otwarciem tunelu pod Luboniem Małym oddano wreszcie cały kolejny odcinek drogi ekspresowej, z Lubnia na Piątkową Górę (a nawet nieco dalej). To wtedy zniknęły Tenczyn, Krzeczów, Naprawa, a nawet Skomielna Biała, Zabornia i (aż trudno uwierzyć) Chabówka. Wszystkie te kiedyś kardynalne punkty zlały się dla większości podróżnych w jeden ciąg drogi pędzącej przez bezimienne wzgórza gładko i bez większych wspinaczek. Wyjątkiem pozostała tylko Piątkowa Góra, na którą wciąż jedzie się i będzie jechało malowniczymi serpentynami, by po drodze zobaczyć drewniany kościół św. Krzyża i zaraz potem – Tatry.

Testament

Oddanie do użytku drogi ekspresowej do Nowego Targu (wraz z obwodnicą miasta, co ma oficjalnie nastąpić 9 października, a nieoficjalnie nastąpiło już we wrześniu) dopełniło ten proces. Przestanie mieć znaczenie stacja benzynowa na obrzeżach Rdzawki – kiedyś kluczowy punkt dla wracających do domu nowotarżan, zniknie jedna z najpiękniej położonych wsi na trasie – Klikuszowa z kościołem nad strumieniem i figurą górala moczącego wędkę w stawiku przed plebanią. Miejscem znaczącym przestanie też być sam Nowy Targ, bo jadący do i z Zakopanego ominą go drogą biegnącą przez las. Przede wszystkim zaś zniknie droga ze swoją legendą, wyzwaniami i przygodami. Jej miejsce zajmie to, co nieustannie budujemy w naszym bliższym i dalszym otoczeniu – przymilne niemiejsce, które pokonujemy gładko, szybko i bez zwracania na nie większej uwagi.

Od października sunący ku czekającym na nich i dla ich obsługi stworzonym przyjemnościom zatrzymają się dopiero w Szaflarach. Samochód zwolni, współpasażerowie podniosą głowy znad komórek w przekonaniu, że coś się stało, bo skończyła się płynna jazda i realny świat powrócił z całą brzydotą reklam, pozbawionych gustu pensjonatów i korka, który jeszcze długo ciągnąć się będzie do Zakopanego. Te ostatnie dwadzieścia kilka kilometrów będzie wszystkim, co pozostanie z zakopianki, i to na długo. Nie ma bowiem realnych pomysłów, jak i gdzie zbudować ostatni odcinek, by zapewnić oczekującym tego swobodny i wygodny dojazd aż do podnóża gór.

Oto paradoks, który znikająca droga odsłania swoim niemal ostatnim tchnieniem, niczym testament. Likwidujemy przeszkody, by w końcu doświadczyć tego, że nie mamy władzy nad realnym światem. Czyż nie tym właśnie przyciągają nas majestatyczne góry? I czy nie tego uczyła nas z uporem zakopianka?

Więc choć do granic Krakowa jeżdżę teraz krócej (w samym mieście będzie tylko gorzej), to nie dziwcie się, że starej drogi mi żal i że cieszę się, gdy autobusy wciąż na chwilę na nią zjeżdżają (np. między Skomielną Białą i Rabką). Dobrze jest czasem poczuć, że oswojony do znudzenia świat nie ściele się pod nogi, a rzeczywistość nie jest dana tylko po to, by jej używać.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

STANISŁAW

Mancewicz:
On jest rybą

Nasze ambitne obserwacje rozwoju i zmian polskiej myśli politycznej, od kiedyśmy powzięli ten zamiar, przynoszą nam zawsze ogromną frajdę. Ktoś tu powie, że oto poziom myśli polskiej prawicy przebija wszystko, że są one – owe myśli – pełne wątków tak śmiesznych, że wątków smutnych w nich ze świecą szukać. Że oto nic nie jest w stanie rozśmieszyć człowieka równie lub jeszcze bardziej niż prawicowy myśliciel w telewizji, obciążony tytułem akademickim, wcale nie kupionym w sklepie z doktoratami, a zdobytym ciężką pracą, na którymś z renomowanych uniwersytetów z siedzibą w mieście wojewódzkim. Bez różnicy.

Ot, powie ktoś teraz, że to typowe jednostronne i niesprawiedliwe, ohydnie szkalujące podejście do badań i zjawisk, bowiem obecna myśl lewicy polskiej takoż jest i śmieszna, i straszna, i jakby nakierowana na straszenie zarówno malucha, jak średniaka, i starszaka, po równo. Wypada pokiwać głową. To prawda, że polska myśl lewicowa jest podobnie ambitna jak myśl polskiej prawicy, i jej jedyną ambicją jest sianie strachu. Ogólnie rzecz biorąc, wzbudzanie przerażenia należy uznać za cel polskiej myśli politycznej, a komu się to nie wydaje prawdziwe, niech sobie przeczyta dowolny partyjny, półpartyjny bądź bezpartyjny artykuł na dowolny temat. Wszystko, od aktywności zygoty po życie pozagrobowe, w ramach kombinowania politycznego jest przedstawiane tak, byśmy się bali.

Każdy twórca, ile sił w talencie bądź w swym beztalenciu, jako główny cel swej publicystyki politycznej ma na celu przerażenie każdego obywatela, od niemowlęcia po starca. Gdy tak tu sobie nadajemy, po równo, na lewicę i prawicę, wydawać by się mogło, że pominęliśmy myślicieli, których można by określić jako przedstawicieli wymierającego gatunku, czyli centrystów. Wydaje się, że centryści jeśli idzie o myśl polityczną, mają kompleks. Nazwijmy go Kompleksem Małego Wpływu. Z racji swego centryzmu mają ograniczoną możliwość siania strachu, więc się martwią. Ich myśl polityczna wydaje się miękka, wobec twardej myśli konkurentów. Czasem się jednak starają bardziej, i wtedy otrzymujemy tzw. efekt WOW.

Przykładem efektu WOW wywołanego przez centrową myśl polityczną polską niech będzie niedawne straszenie bobrów śmiercią przez tutejszego premiera. Zdawać by się mogło, że bobry nie mają w Polsce reprezentacji w parlamencie, ani nawet w ruchu związkowym. Jednym słowem, mogą być idealnym celem ataku polskiej centrowej myśli politycznej. To założenie, jak wiemy, okazało się pomyłką. Oto bobry mają jednak obrońców. Czy obrońcy zbrodniczych bobrów są Polakami? To pytanie ma solidny polityczny potencjał. Wiadomo. No więc – każde dziecko to wie – bobry są szkodnikami infrastruktury hydrotechnicznej. Ryją w wałach, tną surowiec meblarski i wikliniarski, zżerają liście, wywołują namakanie i podmywanie. Taplają się. Są aktywne głównie w nocy, jak jakieś wampiry. W każdym sensie obwołanie ich wrogami Polaków ma sens, bowiem Polak bez wroga nie jest Polakiem, a polityka polska bez wrogów i strachu nie jest polityką, tylko jakimś niepolskim ględzeniem.

Bobry w polskiej myśli politycznej mają swe miejsce od czasów piastowskich. Dawno temu autorytatywnie uznano, że bobra można zjeść w czasie postu. Ma ogon pokryty łuską i żyje w wodzie. Jest rybą. Szkoda, że premier o tym nie powiedział. Centrowa myśl wpisałaby się jeszcze wyraźniej pomiędzy myśli tutejszej prawicy i lewicy. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TYGODNIK POWSZECHNY

PREMIERA

WYDANIE SPECJALNE
SZTUCZNA INTELIGENCJA

Już w sprzedaży, w najlepszych salonikach prasowych i kioskach.
W środku (150 stron na eleganckim papierze i z kredową okładką, a kosztuje tylko 30 zł).

O AI opowiadają: ▪ Agata **KAŹMIERSKA** i Wojciech **BRZEZIŃSKI** ▪ Łukasz **LAMŻA** ▪ Aleksander **MĄDRY** ▪ Michał **KOSIŃSKI** ▪ Jacek **DUKAJ** ▪ Tomasz **STAWISZYŃSKI** ▪ Michał **KRASENKOW** ▪ Evanna **HU** ▪ Dariusz **KOT** ▪ Katrin **AMUNTS** ▪ Aleksandra **PRZEGALIŃSKA** ▪ Piotr **DURKA** ▪ Olga **DRENDA** ▪ i inni.

Weź, czytaj i rośnij z nami!

Przereklamowana czy nie, sztuczna inteligencja już wśród nas jest. A jej obecność budzi nie tylko ekscytację, mniej lub bardziej adekwatne nadzieje i fantazje, ale także – zasadne niepokoje. Np. o sposób prowadzenia wojen, stan naszej debaty publicznej, przyszłość demokracji, granice między realnością i nierealnością, czy (bliżej ciała) kształt zwykłych, międzyludzkich relacji.

Gotowych odpowiedzi, jak zwykle, nie sugerujemy. I nawet jeśli bez trudu znajdą Państwo chatbot, który przeczyta to wydanie, a następnie spróbuje takie odpowiedzi podsunąć – ośmielam się jednak zaproponować samodzielną lekturę. O tym zresztą również jest tutaj mowa: rewolucja AI może sprawić, że zyskamy więcej czasu na czytanie – dla przyjemności.

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR WYDANIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA

Nowość od Aleksandry i Daniela Mizielińskich!

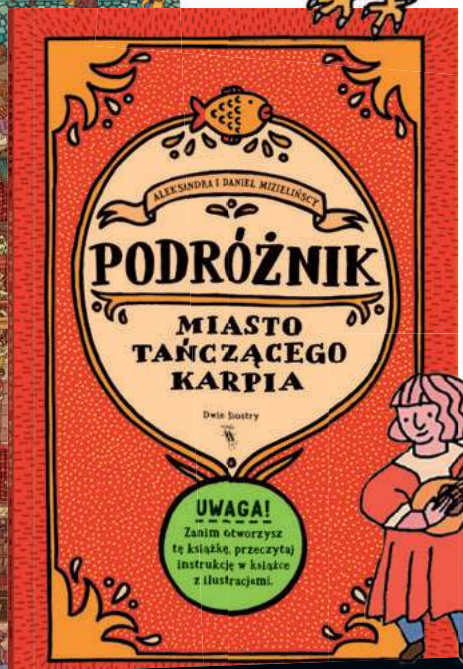

Książka-gra dla poszukiwaczy przygód.

Poznaj inne książki autorów:

dwie siostry

wydawnictwodwiesiostry.pl